ODMÓWIŁY JUŻ FRANCJA, WŁOCHY, WĘGRY I CZECHY

Kto zapłaci za amerykańską broń dla Ukrainy?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 31/640 28 LIPCA–3 SIERPNIA 2025
CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Żurek zamiast „Bążurka" – Ziemkiewicz zjadliwie o tzw. rekonstrukcji rządu

„BABCIA KASIA" KONTRA ROBERT BĄKIEWICZ, CZYLI PODWÓJNE STANDARDY POLSKIEGO WYMIARU (NIE)SPRAWIEDLIWOŚCI

Jak z Instytutu Pileckiego zrobiono Instytut Sznepfa

SILNI RAZEM

– sekta Giertycha w akcji

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

eprasa.pl/dc20b0008

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK POLSKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

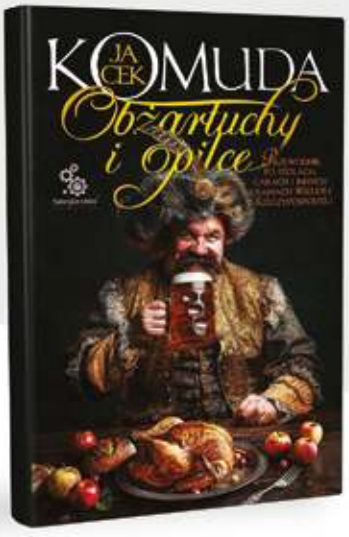

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA: „OBŻARTUCHY I OPILCE" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~575~~ ZŁ

273,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 302 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl fdc20b0008

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Polska w rękach głupców

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy Tuskowy gang Olsena pokazał naprawdę, na co go stać. Oto chronologiczny zapis wybranych wypowiedzi członków „elity" politycznej na temat wyników wyborów prezydenckich z 1 czerwca.

12 czerwca premier Donald Tusk bez ogródek mówi o możliwości sfałszowania wyborów prezydenckich w Polsce. Premier zwraca się do ministra sprawiedliwości, „aby [ten] nie wahał się przed działaniami, nawet utworzeniem specjalnego zespołu, w sprawach zdarzeń być może o charakterze nadużycia lub fałszowania wyborów". Brzmi groźnie, nieprawdaż?

Minister sprawiedliwości reaguje na to wezwanie tak jak trzeba. Dzień później, 13 czerwca, ogłasza: „Zastanowimy się, czy konieczny jest osobny zespół śledczy". Z wielu wypowiedzi premiera, ministra oraz Romana Giertycha wynika niezbicie, że sprawa jest śmiertelnie poważna. Najprawdopodobniej, można wnosić, podczas drugiej tury wyborów doszło do masowego fałszowania głosów przez komisje wyborcze. Giertych, główny zausznik premiera, mówi, że należy stwierdzić nieważność drugiej tury wyborów prezydenckich we wszystkich okręgach. Według niego doszło do „używania nielegalnej aplikacji do blokowania głosowania osobom uprawnionym", „fałszowania protokołów wyborczych poprzez zamianę liczby głosów otrzymanych przez poszczególnych kandydatów ze szkodą dla Rafała Trzaskowskiego" czy „fałszowania głosów w poszczególnych komisjach wyborczych".

16 czerwca do Sądu Najwyższego wpływa protest wyborczy niejakiego dr. Krzysztofa Kontka. Z pracy nikomu wcześniej nieznanego aktywisty wynika, że do nieprawidłowości mogło dojść w 1482 obwodowych komisjach wyborczych, co mogło przełożyć się na 315–487 tys. dodatkowych głosów dla Karola Nawrockiego. Doktora Kontka ze wszystkich sił wspiera wówczas „Gazeta Wyborcza".

Na szczęście szybko reagują inni statystycy. Jeden z nich, profesor Szkoły Głównej Handlowej Tomasz Berent, punktuje Kontka (a ściślej jego analizę) bezlitośnie. Pisze: „Pomijając na chwilę kwestię Twojego sposobu identyfikacji komisji, w których mogło dojść do nadużyć i sposobu dokonywanych przez Ciebie korekt (obie niestety bardzo wątpliwej jakości), musiałeś przecież wiedzieć, że wyniki takiej jednostronnej analizy są po prostu bezwartościowe […]. Czy zdajesz sobie sprawę, że Twoje korekty przenoszące głosy zawsze od Karola Nawrockiego do Rafała Trzaskowskiego są nie tylko arbitralne i kontrowersyjne, ale czasem absurdalne?".

Nic dziwnego, że Sąd Najwyższy odrzuca protesty oparte na opracowaniu pana Kontka. Ale władze nie ustępują. Komentarz ministra Bodnara: „Niepojęte, jak Sąd Najwyższy traktuje konstytucję, wyborców i uczestników postępowania".

25 czerwca Roman Giertych ogłasza, że odkrył grupę spiskowców, którzy sfałszowali wybory: „Obwodowe komisje wyborcze zostały w sposób nielegalny – i to mogę powiedzieć z całą odpowiedzialnością – przejęte przez ludzi typu pana Olszańskiego z jakichś braci kamraci, którzy się zbierali w jakichś grupkach i nagle brat kamrat wystawiał kilkanaście tysięcy członków do obwodowych komisji wyborczych" – powiedział w TVN24 mecenas i poseł PO. Dla ekipy rządzącej źródłem wiedzy są zatem absurdalna analiza nieznanego bliżej dr. Kontka oraz supozycje posła Giertycha. Na podstawie tych danych władze cały czas podważają wyniki wyborów.

Groza narasta. 29 czerwca pojawia się informacja, że prokurator generalny Adam Bodnar powołał specjalny zespół śledczy, badający pracę 296 komisji wyborczych. 1 lipca Adam Bodnar pojawia się w Sądzie Najwyższym i broni tam tez dr. Kontka. „To, że metoda naukowa być może później została skrytykowana, nie powinno pozbawiać tego, że takie działania obywatelskie należy doceniać" – stwierdza.

Napięcie związane z rzekomo sfałszowanymi wyborami jest tak wielkie, że premier polskiego rządu, według Interii, miał namawiać marszałka Sejmu, Szymona Hołownię, by ten nie dopuścił do zaprzysiężenia Karola Nawrockiego. Do całej sprawy włączają się autorytety prawne. Być może najdalej idzie były prezes Trybunału Konstytucyjnego, Andrzej Zoll, który twierdzi, że to Zgromadzenie Narodowe powinno przejąć rolę Sądu Najwyższego, stwierdzić nieważność wyborów i… ogłosić innego zwycięzcę. Zollowi wtórują inne tuzy prawa. I kiedy poziom paranoi osiąga szczyty, nagle bańka pęka.

18 lipca ta sama „GW", która wcześniej dzielnie wspierała najbardziej dziwaczne teorie spiskowe, z bólem i smutkiem przyznaje, że szacunki socjologów się nie potwierdziły. Po przeliczeniu zdecydowanej większości głosów z komisji, gdzie miało dojść do nieprawidłowości, prokuratorzy powołani przez Bodnara ogłaszają, że jeśli chodzi o nieprawidłowości, „to jest mikroskala w stosunku do tego, co było w ekspertyzach. Spodziewaliśmy się tysięcy przypadków, a jest dużo mniej".

Cóż, wnioski są oczywiste. Pierwszy: rządzą nami ludzie niebezpieczni, którzy dla własnego interesu nie wahają się podważać żadnych zasad. Dla zachowania władzy narażą na szwank nie tylko dobre imię Polski (państwo, w którym się fałszuje wybory), lecz także porządek konstytucyjny (projekt zamachu stanu?). Po drugie, są oni na szczęście, co tu dużo mówić, nieudacznikami. ©℗

eprasa.pl fdc20b0008

TEMAT TYGODNIA

14 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
SILNI GIERTYCHA
Najbardziej radykalni sympatycy PO

KRAJ

18 ROZMOWA Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ
DOM NA PIASKU
Donald Tusk prowadzi wściekłą wojnę z opozycją

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NIKT NIE PŁACZE PO BODNARZE

24 ŁUKASZ WARZECHA
KOMU PRAWO ŁASKI?

26 JAN FIEDORCZUK
„MIŚ" CZY ARTYSTA? KRĘTA DROGA MICHAŁA KAMIŃSKIEGO

29 PIOTR SEMKA
NASI, NIE NASI I CZĘŚCIOWO NASI

32 RADOSŁAW WOJTAS
BYŁ INSTYTUT, JEST SUBSTYTUT

34 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
NASZ MAŁY KULTURKAMPF

KULTURA

36 ROZMOWA Z MARTĄ SZTOKFISZ
TEATR, ZBRODNIA I HABIT
Niezwykłe losy Stanisławy Umińskiej

39 KRZYSZTOF MASŁOŃ
WESELE Z PIEKŁA RODEM

40 PIOTR GOCIEK
NARODZINY POTWORA

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 JAROSŁAW LINDENBERG
STRASZENIE NIEMCAMI
Co zagraża naszej suwerenności

50 FILIP MEMCHES
TEOLOGIA WROGOŚCI

52 SŁAWOMIR SIWEK
MINISTER SIKORSKI LICYTUJE

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KATOLICKIE MEDIA W ROZSYPCE?

HISTORIA

56 ROZMOWA Z DR. MARKIEM JEDYNAKIEM
NAJWIĘKSZA TAJEMNICA OBŁAWY AUGUSTOWSKIEJ
Sowiecka zbrodnia na Polakach

ŚWIAT

60 WOJCIECH GOLONKA
WOJNA NA SPRZEDAŻ
Kto zapłaci za amerykańską broń dla Ukrainy?

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
SZASZKĄ I NAHAJKĄ

EKONOMIA

66 JACEK PRZYBYLSKI
KREZUSI WŚRÓD BOGACZY
Rekordowy przyrost milionerów i miliarderów

70 ROZMOWA Z MATEUSZEM ŁAKOMYM
JEST RYZYKO, ŻE ZOSTANIE TYLKO GARSTKA POLAKÓW

WAKACJE

74 CEZARY GMYZ
MIĘDZY ŚREDNIOWIECZEM A LOTNICTWEM
Tratwą po Wiśle

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl fdc20b0008

TYGODNIK POLSKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Brukselа)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adam Chełstowski/Forum**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Rzeź wołyńska

Szanowny Panie Redaktorze,
jestem mieszkańcem Nałęczowa, mam 72 lata. Od kilku lat nosiłem się z zamiarem napisania swoich przemyśleń dotyczących relacji polsko-ukraińskich, a w szczególności rzezi wołyńskiej. Tematy te często poruszacie na łamach tygodnika „Do Rzeczy".

Na Wołyniu (w Radowiczach i Porycku) w 1943 r. zostali zamordowani moi dziadkowie, dwie ciocie i ich najbliżsi (w tym dwoje małych dzieci), razem 11 osób. Moja Mama, która zmarła przed dwoma laty w wieku 106 lat, przeżyła zbrodnię wołyńską tylko dlatego, że przebywała w tym czasie na terenie Generalnej Guberni. Pięcioro rodzeństwa Mamy przeżyło dzięki temu, że wśród Ukraińców znaleźli się tacy, którzy pomogli im przetrwać. Dzięki Bogu, że byli też dobrzy ludzie w tym morzu zła.

W naszym przypadku wiemy, że szczątki pomordowanych członków mojej rodziny były ekshumowane i są pochowane w Porycku – obecnie Pawliwka. Rodziny tysięcy pomordowanych w rzezi wołyńskiej Polaków nie mogą doczekać się ekshumacji i godnego pochówku ich bliskich, nie mówiąc już o przeprosinach ze strony Ukrainy.

Obserwując od lat zachowanie Ukrainy, bywając też na Ukrainie, nie widzę szans na prawdziwe pojednanie. Nie należy oczekiwać od Ukrainy przeprosin za zbrodnię wołyńską, bo byłyby to wymuszone i nieszczere przeprosiny, jednym słowem – nic niewarte.

Uważam, że Polska bezwzględnie powinna wyegzekwować prawo do ekshumacji szczątków pomordowanych i pochowania ich na utworzonej w tym celu nekropolii na terenie Lubelszczyzny lub w Domostawie w pobliżu pomnika Rzezi Wołyńskiej. Takie rozwiązanie umożliwiłoby rodzinom pomordowanych odwiedzać to miejsce, w spokoju i ciszy oddawać Im hołd, organizować uroczystości religijne. Według mnie za takim rozwiązaniem przemawiają następujące okoliczności:

– miejsc, w których tysiące ludzi zostało pomordowanych, tak naprawdę już nie ma. Zniknęły całe wsie, a w ich miejscu są szczere pola;

– wyjazdy rodzin na ewentualne groby nie byłyby proste, bo to i trudna do swobodnego przejazdu granica, a często też złowrogie zachowania miejscowych.

Nie wiem, czy moje przemyślenia zainteresują redakcję, ale czułem potrzebę podzielenia się nimi, dodatkowo zainspirowany wywiadem z Panem Krzesimirem Dębskim („Do Rzeczy" nr 29/2025).

Tadeusz z Nałęczowa
(nazwisko do wiadomości redakcji)

eprasa.pl fdc20b0008

NA PIERWSZY OGIEŃ

Kompleksy i witalizm Izraela

PIOTR SEMKA

Niedawno pisałem na łamach „Do Rzeczy" (nr 30/2025) o Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie w 1955 r. Dla ówczesnych Polaków była to pierwsza po wojnie i w najgorszej fazie stalinizmu okazja do obejrzenia na szerszą skalę gości z zagranicy. Jeden z internautów podzielił się bardzo ciekawym wspomnieniem. „Zdumienie i niedowierzanie mieszkańców Warszawy wzbudziła wtedy delegacja młodzieży z Izraela. Opaleni, rośli, uśmiechnięci, wysportowani i pełni energii w jasnych ładnych ubraniach". W odpowiedzi inny internauta przypomniał, że w okresie pierwszej izraelskiej wojny z krajami arabskimi w latach 1948–1949 w Polsce krążyły jeszcze podszyte antysemickimi kliszami dowcipy. I zacytował jeden: „Tu Radio Tel Awiw. Nadajemy komunikat z frontu. Dzisiejsze straty naszych dzielnych oddziałów: jeden zabity, trzech rannych, 10 ciężko przestraszonych".

Trzeba było kolejnych wojen w 1967 r. oraz wojny Jom Kippur, aby świat ujrzał i przyjął do wiadomości istnienie armii izraelskiej, która imponowała bitnością, odwagą, a także skutecznością. Sam pamiętam, jak ten stereotyp zanikł w latach 80., gdy Żydzi zaczęli się kojarzyć z jedną z najskuteczniejszych armii świata. Żartowano wtedy: „Świat się kończy. Polacy handlują lepiej niż kiedyś Żydzi, Niemcy walczą o pokój, a Żydzi mają najlepszych żołnierzy na świecie".

Przyczyniły się oczywiście do tego także PRL-owskie media, które w dziennikach telewizyjnych pełnych oburzenia interwencjami Izraela w Libanie czy okupacji Wzgórz Golan z lubością zamieszczały filmowe migawki, jak kolumny izraelskich czołgów wjeżdżają do arabskich wiosek. Jednocześnie w epoce PRL wielu Polaków – na zasadzie przekory wobec oficjalnej propagandy – podziwiało w 1977 r. sprawność izraelskich komandosów przy odbijaniu zakładników na lotnisku w Entebbe.

Dziś świat zapomniał o stereotypie lękliwego Żyda i przyjął nowy stereotyp. Żołnierza Cahalu (izraelskiej armii) walczącego z Arabami na wszystkich frontach.

Żydzi mogli odetchnąć, że skończyły się już kpiny z ich bojaźliwości, ale szybko odkryli, że ten nowy wizerunek został szybko zastąpiony kolejną kliszą. Lewica uznała armię izraelską za uczniów bezwzględności Niemców z lat drugiej wojny światowej. I dziś demonstranci na całym świecie od Seattle do Neapolu wymachują transparentami, na których żydowscy bojownicy stylizowani są na esesmanów. Tak to już w życiu bywa, że ktoś, kto walczy ze stereotypem słabości (oczywiście nie bez wpływu faktu bycia otoczonym ze wszystkich stron przez nienawistnych wrogów), sam przesuwa się w kierunku drugiej skrajności – łatwości do używania bezwzględnych metod i lekceważenia bezpieczeństwa innych. I to jest pewnie też powód, dlaczego tak wielu Polaków patrzy z przerażeniem na sytuację w Strefie Gazy.

Jeszcze inni nie mogą się zdecydować, co przeraża ich bardziej – arabskie zapowiedzi zepchnięcia Żydów do morza czy izraelska twardość. W tamtym rejonie świata nie ma miejsca na nic pośrodku. ©℗

FOT. DAN BASHAKOV/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

MASOWE PROTESTY NA UKRAINIE

Tysiące osób demonstrowały w ubiegłym tygodniu w Kijowie, we Lwowie, w Odessie oraz w kilkunastu innych ukraińskich miastach, skandując takie hasła jak: „Korupcja zabija", „Ręce precz od NABU", „Oddajcie Europę" czy „Nie za to zginął mój ojciec". Protestujący wyrażali sprzeciw przeciwko podpisaniu przez prezydenta przegłosowanej przez parlament ustawy, która ogranicza autonomię Narodowego Biura Antykorupcyjnego Ukrainy (NABU) oraz Specjalistycznej Prokuratury Antykorupcyjnej (SAP). ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl fdc20b0008

POLACY I WĘGRZY NA WOJNIE Z BOLSZEWIĄ

Fundament wiktorii 1920 r. – Jak biedna, dopiero co odrodzona Polska wyposażyła milionową armię i jaką rolę odegrała w tym pomoc z Węgier

Czerwony sztandar nad Budapesztem – Przez kilka krwawych miesięcy 1919 r. Węgrzy na własnej skórze przekonali się, jak wyglądają bolszewickie „porządki"

Czarna noc papiestwa – Wydawać by się mogło, że pod względem etycznym i moralnym Stolica Piotrowa najniżej upadła w epoce renesansu. Nic bardziej mylnego – w wiekach IX i X papieże bywali zepsuci w sposób wręcz karykaturalny

Ratunek przed rozbiorami – Aż do samego końca istnienia I Rzeczypospolitej dało się odwrócić upadek i uratować państwo – mówi w wywiadzie Jacek Komuda, historyk i pisarz, autor głośnej książki „Upadek"

Zaginiony świat Edo – Na przełomie wieków XVII i XVIII najludniejsze miasto ówczesnego świata wcale nie znajdowało się w obrębie cywilizacji zachodniej. Tym megalopolis było japońskie Edo, siedziba szogunów z rodu Tokugawa

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl fdc20b0008

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Ministerstwo wdrażania

Donald Tusk wykombinował coś, co zapewni mu miejsce w historii. Tego nie wymyślił jeszcze nikt – może najbliżej była sławna grupa Monty Pythona ze swoim „ministerstwem głupich kroków", ale to był przecież tylko kabaret.

Chodzi o rekonstrukcję rządu. Prawdziwa nowa jakość tej rekonstrukcji to „minister do spraw nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu", Maciej Berek. Minister, który „zbuduje zespół kontrolingu i egzekucji tego, do czego się ministrowie zobowiązali". „Będziemy to kontrolowali i rozliczali na bieżąco" – pogroził swoim ministrom premier. Dodał jeszcze: „Nie będzie tłumaczenia".

Słyszał świat o czymś podobnym? Nie. Na świecie z zasady uważa się, że kontrolowanie, jak ministrowie wykonują otrzymane od premiera zadania, to robota premiera właśnie. W ogóle wszelkie rządzenie na tym polega: wydaję polecenie i sprawdzam, jak je wykonano. Do legendy przeszły kiedyś słynne zeszyty Jarosława Kaczyńskiego, w których zapisuje on – ręcznie, długopisem, bo to człowiek z pokolenia ery analogowej – co ustalił z danym podwładnym, by potem w jego obecności ustalenia te przypominać i sprawdzać, czy i jak zostały zrealizowane.

Ale żeby powołać sobie osobnego ministra do wyręczania premiera w sprawdzaniu, co robią inni ministrowie – na to nie wpadł jeszcze nikt: ani polityk, ani tym bardziej żaden menedżer w największej nawet korporacji. W normalnym świecie ogłoszenie czegoś podobnego odebrane by zostało jako publiczne przyznanie się do niekompetencji albo skrajnego, dyskwalifikującego lenistwa. Tusk najwyraźniej się tego nie boi. Bo wie, że wszyscy o jego braku kompetencji i lenistwie wiedzą, ale i tak nie mają go kim zastąpić. Zresztą, jak wiadomo, lenistwo jest przyczyną wielkich wynalazków – takich właśnie, jak ministerstwo do spraw wdrażania przez rząd rządzenia – więc czemu miałby się go wstydzić? ©℗

WIĘCEJ O REKONSTRUKCJI RZĄDU NA STR. 22

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Nieoczekiwany nacjonalizm

MAREK JUREK

Wiesław Chrzanowski opowiadał w „Pół wieku polityki", jak kardynał Wyszyński w 1957 r., podczas jednej z audiencji, zaskoczył katolickich prawników (po części przedwojennych chadeków) stwierdzeniem, że „dziś musimy być »nacjonalistami«". Prymas miał świadomość zarówno szans, które przed Polską otworzyła destalinizacja, jak i nieuchronności konfrontacji z komunistyczną władzą. Wiedział, jak wielką sztuką będzie deliberacja między prawami narodu a narodową odpowiedzialnością. Ktoś mógłby szukać jednak sprzeczności między „nacjonalistycznym" wyznaniem Prymasa a skierowaną parę lat później do Niemców deklaracją „wybaczamy i prosimy o wybaczenie". Niepotrzebnie.

W połowie lat 60. Prymas miał świadomość, że walka Polski o narodową podmiotowość wymaga zbudowania niezależnych od kolaboracyjnych władz kanałów komunikacji z Niemcami, ale przede wszystkim – otwartego myślenia, niepoddającego się manipulacjom komunistycznej propagandy. A na temat Niemiec Stefan Wyszyński miał bardzo przemyślane poglądy, w podstawowym zrębie ustalone już przed wojną. Gdy czyta się jego studium „Z walk religijnych w Niemczech", napisane krótko po dojściu Hitlera do władzy, uderzają dwie rzeczy. Przede wszystkim niezwykle klarowne widzenie wielowymiarowego zła niemieckiego totalitaryzmu. Z drugiej jednak strony – docenianie wszelkich sprzeciwów niemieckich katolików wobec nazizmu i szacunek (!) dla niemieckiego patriotyzmu jako takiego.

Nacjonalizm to istotnie dobra perspektywa dla takiego uniwersalistycznego myślenia. Pozwala rozumieć innych nawet tam, gdzie musimy się im zdecydowanie przeciwstawiać. Uczy też odróżniać normy absolutne od podzielonych (z reguły nierówno) racji. W tym drugim wypadku nie popada w relatywizm, bo wie, że nikt nie zapewni przyszłości narodowi, który nie troszczy się o nią sam. ©℗

eprasa.pl fdc20b0008

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O perfidii

W zeszłym tygodniu chciałem was uraczyć lamentem nad nędzą moralną profesji dziennikarskiej, która coraz częściej wysługuje się kłamstwu zamiast prawdzie. W prawicowym dzienniku „Libero" ukazał się spory tekst ociekający jadowitym szyderstwem i świętym oburzeniem.

Autor David Cebuloni zajął się palestyńską dziennikarką Bayan Abu Sultan, która z krwią na okaleczonej twarzy, spodniach i koszulce mówiła do kamery, że właśnie padła ofiarą izraelskiego ataku rakietowego na port, a przy okazji internetową kafejkę w Gazie, gdzie pracowała, gdy uderzył pocisk. Zdjęciu towarzyszyło drugie: ta sama Bayan, ale czyściutka i uśmiechnięta, której ktoś układa fryzurę. Dziennikarz przekonuje, że przed występem przed kamerą ekipa zrobiła Bayan krwawy makijaż i oblała keczupem. I proponuje, by przyznać jej Nagrodę Pulitzera za dziennikarstwo i dwa Oscary – za aktorstwo i charakteryzację.

Chciałem wam opowiedzieć o haniebnym bezeceństwie Bayan, ale coś mnie tknęło. Przypomniała mi się żartobliwa porada starszego kolegi, gdy zaczynałem pracę w Polskiej Sekcji BBC w Londynie: ja wiem, że „Pana Tadeusza" napisał Słowacki, ale zawsze sprawdzam. Zacząłem więc sprawdzać. Bez większego trudu dotarłem do zdjęć i krótkich filmików ilustrujących to, co wówczas naprawdę wydarzyło się w kafejce i na przyległym placu. Natychmiast stało się jasne, że drugie zdjęcie, kadr z krótkiego filmiku, zrobiono po, a nie przed pierwszym ujęciem. Chodziło nie o charakteryzację, a usuwanie spośród włosów Bayan grudek gruzu. Naprawdę trudno uniknąć podejrzeń, że Cebuloni dokonał perfidnej manipulacji celowo.

Przy okazji przypadkowo natknąłem się na wpis Bayan na Instagramie z 10 października 2022 r. Makabrycznym zdjęciom pomordowanych przez Hamas Żydów towarzyszył podpis: „Jeśli macie zły humor, to przypomnijcie sobie, co się stało trzy dni temu".

Nie lepsi ruscy. Wrzucili do sieci filmik, na którym Ukraińcy proszą Rosjan o przebaczenie i zakończenie wojny. Zapomnieli usunąć ikonkę informującą, że filmik wykonała sztuczna inteligencja. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl fdc20b0008

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

EKONOMICZNY SZTURM GRANICY

Aktorka Maja Ostaszewska była gościem tegorocznego Festiwalu Góry Literatury, organizowanego przez Fundację Olgi Tokarczuk. Znana z całkowitego niezrozumienia istoty problemu kryzysu migracyjnego gwiazda po raz kolejny podjęła temat. Trzeba jednak przyznać, że Ostaszewska jest chociaż konsekwentna, ponieważ tak jak oburzała się na działania służb za czasów PiS, tak oburza się teraz. Jej zdaniem dziś na granicy z Białorusią jest „nawet gorzej" niż w poprzedniej kadencji. – Ja z rozpaczą stwierdzam, że na granicy nie zmieniło się nic, a nawet jest gorzej, bo jest większa bezkarność służb. Ale pamiętajmy, że na granicy polsko-białoruskiej to jest tak naprawdę ciągle, w stosunku do 38 mln Polaków, którzy żyją w tym kraju, garstka – podkreślała „aktorka zaangażowana". Według niej do Polski próbują się przedrzeć osoby z wyższym wykształceniem oraz takie, które marzą o studiach. – Na ogół w tę podróż wyruszają ci, którzy w ogóle mają marzenia o tym, że można o coś zawalczyć w swoim życiu. Najprostsi ludzie boją się takiej podróży, bo wiedzą, że sobie w niej nie poradzą. Wiele z tych osób to są pielęgniarki, lekarze, ekonomiści. To są osoby, które bardzo by mogły też nam pomóc albo chcą się szkolić w takim kierunku – przekonywała podczas festiwalu Tokarczuk. Refugees Welcome!

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

WSTYD, POLAKU!

Ciekawe, czy wśród „uchodźców" są też architekci, bo ci polscy chyba trochę za bardzo gardzą rodakami. A przynajmniej jeden. Niejaki Krzysztof Miruć, znany z programów telewizyjnych, takich jak „Zgłoś remont" czy „Weekendowa metamorfoza", nie może pojąć, dlaczego polską specjalnością jest pralka w łazience. – Pralka w łazience. My wpadliśmy na pomysł, że musi być w łazience. Nie może być w przedpokoju, szafie. Nie rozumiem tego – ani to funkcjonalne, ani przyjemne [...]. Jestem zwolennikiem, żeby pralkę zrobić w przedpokoju – mówił w rozmowie z WP Lifestyle. Na tym nie poprzestał. Tym razem architekt skrytykował to, że Polacy umieszczają śmietniki pod zlewem w kuchni. – To jest obciach. Kto trzyma śmieci w domu pod zlewem? – oburzał się. – Dlaczego pod zlewem? Dlaczego w ogóle? Proszę, wytłumaczcie mi. W szafce, w której jest najmniej miejsca, bo tam jest syfon i cała miska. Kosz czy separator w szafce obok, w którym rzeczywiście można te śmieci posegregować albo pozamykać, żeby nie było czuć tego, to klasa. A pod zlewem obciach. A jak ja wynosiłem śmieci, to nienawidziłem tego, bo jeszcze wiaderko za moich czasów było na dole wyściełane gazetą. Ja ten zapach pamiętam do dzisiaj – dodał Miruć. Dawać tych migrantów! Szybko!

ANTYK PONAD KATOLICYZM

Nad nagością na ekranie dywagowała w wywiadzie udzielonym „Super Expressowi" aktorka Katarzyna Warnke. Czy lubi się rozbierać na ekranie? Odpowiedź na tak postawione pytanie Warnke podniosła do rangi filozoficznego wywodu. „Seksualność jest po prostu częścią naszego życia – to jest siła, która nas napędza. I dla mnie to jest trochę taka moja osobista krucjata. Nie dlatego, że się chętnie rozbieram. Ale dlatego, że wierzę, że to też jest część mojej pracy" – zauważa. „Po coś jestem aktorką. I jeśli mogę – to chcę cieszyć oko jak najdłużej. Bo to, jak wyglądamy, jak się poruszamy, jak jesteśmy odbierani wizualnie też jest ważne w tym zawodzie. A szczególnie w Polsce, gdzie nasza rzeczywistość tak mocno przesiąknięta jest katolicyzmem i wstydem. A przecież ten wstyd często bywa zupełnie niepotrzebny. Potrzebujemy mniej tabu, mniej perwersji, a więcej zmysłowości. Potrzebujemy normalności w cielesności" – apeluje celebrytka. Warnke zaznacza, że jako aktorka chce pracować na „wszystkich warstwach człowieczeństwa. „Bo nagie ciało najpierw budzi pożądanie, to naturalny odruch. Ale na tym nie możemy się zatrzymać. Po to jesteśmy – my, artyści – żeby pójść dalej. Przez emocje, przez duszę, aż do tej warstwy duchowej. Ja w ogóle kocham antyk. Bardziej jestem z antyku niż z katolicyzmu, szczerze mówiąc. Dla mnie ciało to punkt wyjścia do opowieści o człowieku" – podsumowała.

Z SERCA

Trwa drama Ewy Chodakowskiej. Chociaż trenerka fitness wycofała się z reklamowania badań rzekomo diagnozujących endometriozę, to internautki nie mogą jej tego zapomnieć. „Choda" odniosła się do fali krytyki. Podkreśla, że nie ma zgody na hejt. „To moment, w którym stawiam granicę. To moment, w którym pęka coś we mnie. Nie dlatego, że jestem słaba, ale dlatego, że mam serce. I ono po prostu tego nie unosi. Przez ostatnie dni spadło na mnie wiele słów, ocen, zarzutów. Niektóre z nich były tak dalekie od prawdy, że do tej pory trudno mi je znieść" – podkreśla. Gwiazda zaprzecza, że chodziło jej tylko o korzyści finansowe. „Chcę to jasno podkreślić: motywacją do udziału w tym projekcie nigdy nie były pieniądze. Chciałam pomóc. Moją intencją zawsze była i jest troska o Was. O Wasze zdrowie, samopoczucie, siłę. Nie kieruje mną chciwość. Kieruje mną serce" – zapewnia Chodakowska. ©℗

eprasa.pl fdc20b0008

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, straszliwe informacje dochodzą do nas z Wilanowa. Otósh, jak donoszą media, istnieją plany, iżby w tej prestiżowej lokalizacji postawiony został pewien market na literę „D", który kojarzony dotychczas był głównie z mniejszymi ośrodkami, mniej prestiżowymi (o, i to zdecydowanie), mniej zamożnymi, odwiedzanymi zapewne przez ludzi gorzej wykształconych.

Mieszkańcy Wilanowa, szeroko cytowani przez media, zwracają uwagę, iż market estetycznie nie wpisuje się w lokalną zabudowę, nie będzie tam pasował i że w ogóle „wygląda jak kurnik". Nas zastanawia, skąd mieszkańcy Wilanowa wiedzą, jak wygląda kurnik? Albo wskazują, iż „wygląda jak sklep pod Przasnyszem". Skąd mieszkańcy Wilanowa wiedzą, jak wyglądają ośrodki handlowe w okolicach Przasnysza?

No chyba nie stąd, iż zjechali się do tego Wilanowa z niewielkich ośrodków w województwie mazowieckim (albo nawet z dalszych okolic – my kiedyś widzieliśmy Dino w Ludwikowicach Kłodzkich, ale słowo dajemy, że byliśmy tam tylko przejazdem). Naprawdę, łączymy się w bólu i nadziei, iż jednak do tego nie dojdzie, iż nie po to osoba się pakuje w kredyt hipoteczny na resztę życia, żeby potem na tym prestiżowym osiedlu musieć doświadczać takich przykrości.

Poza tym po raz kolejny się okazuje, jakim niezrozumieniem, brakiem szacunku i pogardą Polska B darzy środowiska wielkomiejskiej inteligencji. Jakbyśmy nie mogli się umówić, iż każdy żyje w swojej Polsce, nie wchodzi drugim w paradę, nie wybiera im prezydenta, nie mówi, jak mają żyć, na każdym kroku nie wyśmiewa... Niech Wilanów będzie Wilanowem, a Przasnysz Przasnyszem, apelujemy!!!

Widzieliśmy w mediach społecznościowych zdjęcie z jakiegoś nadmorskiego chyba ośrodka wypoczynkowego czy tam hotelu lub restauracji, gdzie na szybie naklejone były: flaga LGBT+, uśmiechnięte psiecko oraz przekreślony obrazek niemowlaka ludzkiego. Na właścicieli spadł zupełnie niezasłużony hejt.

My też nie możemy przejść obojętnie wobec tego, jaka spirala hejtu w necie jest nakręcana pod adresem psieci. Wystarczyło tylko jedno zdjęcie, gdzie ktoś zaznaczył wyraźnie, iż woli psieci niż bombelki, a umówmy się, ma do tego prawo, a już prawa strona Internetu wylała szambo swoich nienawistnych poglądów.

A tymczasem, zauważmy, iż to na psieci wciąż nie ma „800+" a na bombelki jest. Psiecka nie można zostawić na cały dzień w żłobku dotowanym przez państwo, a bombelka można. To bombelki mają legitymacje szkolne i wynikające z nich różnego rodzaju zniżki ustawowe lub regulaminowe, a psieci nie.

Sami widzicie, jaka to dyskryminacja. Już nie mówimy o tym, iż na psieci częściej decydują się osoby lepiej wykształcone, z wielkich ośrodków, sfokusowane na karierę, które zostawiają temu krajowi więcej podatków. A bombelki kto ma? Podkarpacie żerujące na „800+" i innych świadczeniach socjalnych. Takie „300+" np. na wyprawkę do szkoły. A psiecko nie dość, że do szkoły pójść nie może, to jeszcze na żadną państwową wyprawkę nie może liczyć. I to jest, kochani, skandal. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Trzydniowy dzień pracy

Dobra, Maciek, to teraz tak: ty będziesz karbowym, co tydzień będziesz siedział w innym ministerstwie i pilnował, żeby robota szła.
Dobrze, Donek, ale...

Żadnego „ale". Ja się narobiłem, strasznie mnie to premierowanie już zmęczyło. Ja robię teraz pilotaż trzydniowego dnia pracy. Ja rozumiem, ale...
Jeśli ktoś nie będzie chciał cię słuchać, to możesz powiedzieć, że będzie miał ze mną do czynienia. Z tym że od wtorku do czwartku.

Tak, ale czego ja mam w zasadzie pilnować, jak my nie mamy żadnego programu?
Pilnuj, żeby wyglądało, że coś się dzieje. Wymyśl coś. Teraz muszę lecieć, meczyk gram w Sopocie i samolot już czeka. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Hołownia, za zaprzysiężenie Karola Nawrockiego na prezydenta, powinien stanąć przed Trybunałem Stanu".

ELIZA MICHALIK, *publicystka, na swoim kanale na YouTube*

eprasa.pl fdc20b0008

dwaj panowie g

Po długiej rekonstrukcji planowanej rekonstrukcji rządu dokonano jego długo oczekiwanej rekonstrukcji. Nie byliśmy tak podekscytowani od czasu, kiedy znajomy uraczył nas opowieścią o tym, jak odróżnić krzywiznę bananów z południowego Quitos od krzywizny bananów z północnego Quitos. Do tej pory trzęsiemy się z wrażenia.

Dla tych, którzy woleliby bardziej merytoryczne podsumowanie rekonstrukcji: oto ludzie, których nazwiska chcielibyście jak najszybciej zapomnieć, zostali zastąpieni przez ludzi, których nazwisk nigdy nie chcielibyście poznać. To mniej więcej wyczerpuje temat.

Mało kto wie, że w odnowionym rządzie Tuska znalazł się King Kong. To ksywa, którą nadano posłowi Rutnickiemu jeszcze w Sejmie, gdy nie był ministrem sportu. Kochany marszałek Hołownia ukarał za to posła Jacka Ozdobę skromną karą w wysokości 4 tys. zł. Ale ksywa się przyjęła, a to jest przecież bezcenne.

Postanowiliśmy podsumować rekonstrukcję także przy pomocy popularnej piosenki, której oryginalną wersję nuci wielu Polaków w sierpniu i we wrześniu, za sprawą historycznych rocznic. Nasza wersja brzmi:

Siekierski, Motyka, bimber, Żurek:
Jeden na dół, drugi w górę;
Sikorski i Sobierańska-Grenda
jaka rządu jest agenda?
Cienkowska, Rutnicki wzmocnią rząd...
Kiedy oni pójdą stąd?

Niestety, nie udało się przeprowadzić rekonstrukcji 22 lipca, w związku z czym nie możemy mówić o nowym rządzie, że jest to koalicja 22 lipca. Ale możemy mówić, że jest to rząd koalicji 23 lipca. Co jest jeszcze lepsze. 23 lipca 1792 r. król Staś August Poniatowski dołączył do konfederacji targowickiej.

Podczas gdy chłopcy bawią się w rekonstrukcję rządu (jacy chłopcy? No, nasi chłopcy, a dokładnie: ich chłopcy), mężczyźni zajmują się poważniejszymi sprawami, czyli kompletowaniem Kancelarii Prezydenta elekta Karola Tadeusza. Chcielibyśmy zdementować doniesienia, jakoby prezydent Andrzej Sebastian namówił elekta Karola Tadeusza, by pozostawić w robocie Wojciecha Kolarskiego. Otóż z taką inicjatywą wystąpił sam Karol Tadeusz. Co nas cieszy, gdyż Kolarski to porządny gość i porządny minister.

Apropos nadchodzącego zaprzysiężenia elekta Karola Tadeusza: będzie tłoczno. Nie jest jednak prawdą, jakoby PiS miał płacić za przyjazd licznych autokarów z elektoratem. Gdyż nie musi. Po apelu szeregowego posła Jarosława Kaczyńskiego odzew okazał się nadspodziewanie duży i pół Polski garnie się do Warszawy na ochotnika. Lokalni baronowie PiS zaczęli nawet współzawodniczyć, kto zachęci więcej elektoratu. Jak tylko poznamy nieoficjalne wyniki, to podamy.

Chociaż do zaprzysiężenia Karola Tadeusza jeszcze chwilka została, to już zaczęła się wyprowadzka Andrzeja Sebastiana. Jednym z najpoważniejszych problemów było opróżnienie pałacowej piwniczki. Otóż trzeba wam wiedzieć, że osoba głowy państwa nie tylko rzuciła przed laty papierosy, lecz także od chwili wybuchu wojny na Ukrainie przestała brać alkohol do ust. Tymczasem rozmaici goście, nie mając tego świadomości, zasilali prezydencką piwniczkę trunkami nie tylko z Polski, lecz także z całego globu. No i nagromadziło się tego tyle, że nie dało się upchnąć w nowym domu państwa Dudów. Ale od czego ma się przyjaciół. Jeden z druhów Andrzeja Sebastiana zaproponował, że sam przysposobi sobie z tych zapasów piwniczkę. A że mieszka w poniemieckim pałacyku w Lubuskiem, to ma gdzie trunki trzymać. Zawsze mówimy – prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Wciąż urzędujący prezydent nie tylko rzucił fajki i alko, lecz także zlikwidował zakładową stołówkę. Nie znaczy jednak, że porzucił również jedzenie. Po prostu kuchnia w pałacu pozostała, ale przygotowuje posiłki jedynie dla rodziny głowy państwa oraz prezydenckich ministrów. Pośledniejsi pracownicy kancelarii żywią się na mieście. Miasto nie jest odległe, gdyż znajduje się naprzeciwko pałacu, a konkretnie w innym pałacu należącym niegdyś do Potockich i Czartoryskich, gdzie znajduje się Ministerstwo Kultury. Tam stołówki jeszcze nie zlikwidowano. W wielkiej konfidencji zdradzimy, że każdy może się tam posilić. Jadłodajnia znajduje się w prawym skrzydle, patrząc od frontu.

Tymczasem nową szefową resortu kultury została niejaka Cienkowska, która już dorobiła się ksywy Sołtyska lub Dresiara. I nie są to żadne przezwiska wymyślone przez wrogów. Otóż nowa pani minister, która dotychczas była wickiem w tym resorcie, pochwaliła się, że czuje się właśnie jako sołtyska, a częściowo również jako dresiara. Przez grzeczność nie będziemy się spierać.

Osoba głowy państwa rzutem na taśmę mianowała na stanowisko ambasadora w Izraelu niejakiego Macieja Hunię. Nasze wiewiórki twierdzą, że szansę na nominację ma jeszcze Jan Tombiński w Berlinie, sprawujący obecnie funkcję kierownika placówki nad Szprewą. O dziwo, Tombiński nie okazał się germanofilem, lecz realistą, jeśli chodzi o Niemców. Na prawicy odnotowano też jego inne osiągnięcie. Otóż niejednokrotnie już poprawił demografię Polski. A dokładnie 10-krotnie, gdyż tyle ma potomstwa. Nie bez znaczenia jest też to, że ma dobre kontakty w Watykanie, gdzie swojego czasu urzędował jako ambasador Unii Europejskiej. ©℗

Systemy smart home coraz bezpieczniejsze

Jak nie dać poznać, że w domu nas nie ma

Trzymane w garażu ukochane cacka motoryzacji, dzieła sztuki na ścianach czy sejf z oszczędnościami skryty w podłodze. O to, co cenne w domu, nie trzeba drżeć. Wystarczy zainstalować nowoczesny system smart home. Co ciekawe, rynek tego typu urządzeń rośnie jak na drożdżach, a poziomy zabezpieczeń dorównują już tym bankowym

Zainteresowanie systemami smart home rośnie nie tylko w obawie przed utratą kosztownych dóbr, które trzymamy w naszych domach. To, co dziś coraz częściej skłania Polaków do instalacji tego typu rozwiązań, to wygoda, prywatność i mentalny spokój. Ten ostatni objawia się choćby tym, że inteligentne domy z powodzeniem pozwalają zapomnieć o wykonywaniu naszych rutynowych obowiązków – automatycznie zamykają bramy wjazdowe, wyłączają światła, kontrolują temperaturę.

Mówiąc wprost: uwalniają nasze głowy od zmartwień. A to, że się martwimy, nie ulega żadnej wątpliwości. Aż 54,5 proc. ankietowanych* przyznaje, że minimum raz wróciło z drogi, by sprawdzić, czy drzwi lub brama w naszym domu są zamknięte. Obawy dotyczą też rachunków za prąd czy naszej prywatności. Aż 66 proc. Polaków obawia się niekontrolowanego wzrostu cen energii w najbliższym czasie – podał w czerwcu Urząd Regulacji Energetyki. 78 proc. Polaków obawia się z kolei o swoje cyfrowe bezpieczeństwo – wynika z raportu pt. „Test z cyberbezpieczeństwa" firmy IBRiS.

Ale nowoczesne rozwiązania smart home pozwalają dziś tego typu obawy łatwo niwelować. Automatyczne rozwiązania mogą być tak zoptymalizowane, aby wyłączać w odpowiednim czasie światło (a nie wtedy, gdy sobie o tym przypomnimy), opuszczać rolety o zmierzchu czy aktywować alarm i obniżać temperaturę (zaraz po zamknięciu drzwi wejściowych).

Co ciekawe, smart home potrafi też symulować obecność domowników –

oświetlenie i rolety funkcjonują tak, jak podczas zwykłego dnia, nawet gdy np. jesteśmy na wakacjach. Dzięki temu dom nie sprawia wrażenia opuszczonego i nie kusi nieproszonych gości.

Odpowiednie „uscenariuszowienie" naszych urządzeń i sparowanie tych ścieżek uruchamiania poszczególnych funkcji z naszymi codziennymi rytuałami może realnie pomóc oszczędzać nam i energię, i pieniądze. Przykładowo: faktyczne zmniejszenie rachunków za prąd zauważyło 63 proc.** użytkowników automatycznych osłon zewnętrznych (np. rolet).

„Jaki mi polecacie czujnik dymu powiadamiający o pożarze, który da się połączyć z Ios?" – pyta na jednej z facebookowych grup Andrzej. Tomek z kolei chce się dowiedzieć, „jak zainstalować i skonfigurować urządzenie Zigbee, które pozwala sterować roletami". Dziś w internetowych grupach roi się od setek porad poświęconych tematyce smart home. Inwestorzy, właściciele domów, a także ci planujący budowę prześcigają się w pozyskiwaniu coraz bardziej precyzyjnych informacji o technologiach takich jak io-homecontrol, RTS, Z-Wave, Zigbee czy centralach typu switch pozwalających podpiąć dziesiątki urządzeń do jednego panelu sterowania, który można obsługiwać głosowo lub z aplikacji smartfona.

Wszystko po to, aby zaplanować swoją inwestycję w sposób, który maksymalnie zwiększy nasze bezpieczeństwo. Stuprocentowej gwarancji żaden system nie daje, ale dziś można myśleć o jego podniesieniu poważnie, bo współczesna technologia daje nam niesamowite możliwości. Krzysztof Majewski, country manager Somfy Polska, podkreśla, że bezpieczeństwo od zawsze było priorytetem właścicieli domów, ale dziś jego definicja się zmienia – od tradycyjnych kluczy i ochrony do systemów zarządzania domem z dostępem do danych w czasie rzeczywistym. I zauważa, że obecnie coraz więcej użytkowników – zwłaszcza w segmencie premium czy wśród inwestorów instytucjonalnych – zwraca uwagę na to, czy system posiada odpowiednie potwierdzenia jakości. Dobrym przykładem może być choćby certyfikat UL Gold IoT Security Rating, świadczący o spełnieniu przez TaHoma switch rygorystycznych, międzynarodowych wymagań w zakresie ochrony danych i cyberbezpieczeństwa. Warto dodać, że zastosowane zabezpieczenia dorównują dziś poziomem tym, które znamy z bankowości elektronicznej.

Z badań SW Research wynika, że coraz więcej właścicieli domów (37 proc.) już korzysta z inteligentnych rozwiązań do zarządzania dostępem. 40 proc. rozważa dziś taki krok. Prognozy Statista przewidują zaś, że w Polsce w latach 2024–2028 wartość sprzedaży w segmencie smart home zwiększy się o 1,3 mld zł, do 3,55 mld zł. Symulowanie swojej obecności w domu za pomocą zdalnie włączanego z urlopu oświetlenia i systemu automatycznych rolet brzmi niewątpliwie coraz bardziej kusząco.

*Badania SW Research na zlecenie Somfy.

**Badania ASM na zlecenie Somfy.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl fdc20b0008

Silni Giertycha

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Najwytrwalsi z wytrwałych, najtwardsi z twardych. Internetowa grupa Silnych Razem, z nieformalnym liderem w osobie Romana Giertycha, pozycjonuje się na skrajnej flance obozu władzy. Wśród głównych wrogów są PiS i dziennikarze symetryści

Rusza największa akcja tej kampanii! Przyłącz się już dziś, zawieś banner wyborczy Koalicji Obywatelskiej na swoim ogrodzeniu, balkonie. #SilniRazem wygramy" – ogłosiła we wrześniu 2019 r. Koalicja Obywatelska (szefem Platformy Obywatelskiej był wtedy Grzegorz Schetyna). – Uruchamiamy infolinię oraz formularz kontaktowy i jedziemy w Polskę. Zachęcamy wszystkich ludzi dobrej woli, żeby się do nas zgłosić – żebyśmy wspólnie działali w kampanii – mówił Krzysztof Brejza, szef sztabu wyborczego w tamtej kampanii parlamentarnej.

Jednak to nie KO wymyśliła hashtag #SilniRazem, a jedynie wzięła go na swoje sztandary. A wraz z nim grupę internetowych aktywistów, których podstawowym przesłaniem było obalenie rządu Zjednoczonej Prawicy. – Początków akcji #SilniRazem należy doszukiwać się w czerwcu tego roku, kiedy wraz z użytkowniczką BlonnDella postanowiliśmy zmobilizować elektorat opozycji do wzięcia udziału w wyborach parlamentarnych. Nasza społeczność na Twitterze była rozproszona i nie mogła przebić się ze swoim zdaniem: publikowane przez sympatyków opozycji wpisy były wyśmiewane przez zwolenników PiS, a ich autorzy atakowani – mówił w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej" z 2019 r. użytkownik „kfnde2".

Tak jak wtedy, tak dziś wielu użytkowników serwisu X (dawniej Twitter) występuje pod pseudonimami. Kiedyś tłumaczyli to obawą przed represjami ze strony władzy. Obecnie, gdy tzw. silniczki (określenie używane wobec tej grupy internautów przez jej krytyków) żyją w Polsce rządzonej przez hołubionego przez siebie premiera, anonimowość zdaje się dawać im poczucie większego przyzwolenia na polityczny hejt. Bo trzeba zaznaczyć, że wraz z przejęciem władzy przez koalicję pod wodzą Donalda Tuska „misja" Silnych Razem wcale się nie skończyła. Nadal krytykują PiS, domagając się jednocześnie szybszych i bardziej radykalnych rozliczeń opozycji.

ZAFIKSOWANI NA PIS

Wśród inicjatorów internetowego ruchu była sześć lat temu Tatiana Saternus. To jedna z niewielu osób ze środowiska Silnych, która wypowiadała się pod nazwiskiem. Ujawniła, że pomysł utworzenia hashtagu o zabarwieniu politycznym wzięła z USA. – Od dawna uczestniczę w ruchu #Resisters, który skupia wokół siebie zwolenników amerykańskich demokratów i osoby pozostające w opozycji do prezydenta Trumpa. To stamtąd zapożyczyłam pomysł oznaczenia pięciorga osób z Twittera i zachęcenia do używania wspólnego hashtagu – mówiła. Podkreślała, że żaden z kilku inicjatorów akcji, która zaczęła rozkręcać się w wakacje roku 2019, nie przypuszczał, że wkrótce stanie się ona motywem przewodnim

eprasa.pl fdc20b0008

FOT. TOMASZ CZEL/PAP

KO. Hashtag prezentowano m.in. na busach kampanijnych. Obecnie Saternus występuje w sieci pod pseudonimem favoreq i – jak sama zaznacza – „dostarcza lolcontent o kosmosie, poważną wiedzę też. Piszę o psychologii, uzależnieniach, zaburzeniach odżywiania".

Inny Silny, użytkownik piotr_chy, przekonywał, że grupa zrzesza nie tylko zwolenników KO. „Są wśród nas również sympatycy Lewicy, Polskiego Stronnictwa Ludowego i mniejszych opozycyjnych ugrupowań. Jesteśmy zadowoleni, że KO skorzystała z naszych pomysłów. Zachęcamy do tego również inne ugrupowania" – mówił „DGP", gdy rządziła Zjednoczona Prawica. Podkreślał, że spoiwem jest chęć odsunięcia PiS od władzy.

„Sklejenie" się KO z Silnymi nie u wszystkich przedstawicieli ówczesnej opozycji wywołało pozytywne reakcje. „To prawda, że aktywność w mediach społecznościowych może wpłynąć na wynik wyborczy. Obawiam się jednak, że powiązanie KO z akcją #SilniRazem, która została zaprezentowana w rządowych mediach jako ucieleśnienie hejtu, przyniesie nam więcej szkody niż pożytku" – mówił jeden z polityków PO.

Ruch ten skrytykowała również Anna Maria Żukowska (w 2019 r. była rzecznikiem prasowym Lewicy), jednak nie ze względu na wątpliwą retorykę Silnych: „To niedopuszczalne przejęcie obywatelskiego hasztaga przez jeden komitet wyborczy. Zawłaszczenie wspaniałej ponadpartyjnej akcji i wykorzystanie osób, które przecież nie popierają tylko KO, do generowania zasięgu jednemu tylko komitetowi".

Prawo i Sprawiedliwość głośno sprzeciwiało się działaniom sztabu Koalicji. – Od kilkunastu tygodni, może nieco więcej, w Internecie funkcjonował, rzekomo oddolnie, spontanicznie utworzony hasztag #SilniRazem. Dzisiaj w czasie konferencji członków sztabu KO okazało się, że jest to akcja zaplanowana, akcja firmowana przez pana posła Krzysztofa Brejzę i posła Adama Szłapkę. Treści, które się znajdują pod tym hasztagiem, są nie tylko oburzające, ale i wulgarne – przekonywał ówczesny szef KPRM Michał Dworczyk.

– Ja sam na Twitterze czy innych kanałach społecznościowych byłem wielokrotnie przez te grupy pod hasztagiem #SilniRazem atakowany, i to naprawdę w taki ordynarny sposób – komentował z kolei rzecznik rządu Piotr Müller. Dodał, że „z punktu widzenia wyborczego to kolejny prezent, bo odsłania hipokryzję tej partii". Dlaczego? Ponieważ jawne przyznanie przez partię Schetyny, że zgadza się ze sposobem komentowania rzeczywistości uprawianym przez „silniczki", było potwierdzeniem, iż PO popiera polityczny hejt.

Silni Razem są traktowani jako jedna z najbardziej zacietrzewionych i wulgarnych społeczności o charakterze politycznym w sieci. Ich wrogiem są przede wszystkim: PiS (na pierwszym miejscu; niezależnie, czy rządzi czy akurat zasiada w ławach opozycji), Konfederacja, koalicjanci Tuska, którzy mu się sprzeciwiają, oraz dziennikarze symetryści. Ich „bronią" są chamskie, ośmieszające memy oraz kopiowane w setkach internetowe hasztagi. Największa chluba? Kiedy dostaną na X „follow" od któregoś z prominentnych polityków KO, o samym „kierowniku" nie wspominając. W sierpniu 2019 r. oficjalny profil akcji ogłosił: „Z wielką radością i dumą ogłaszamy, że Pan Premier Donald Tusk dołączył do

eprasa.pl fdc20b0008

społeczności #SilniRazem. Rozumiemy, że jest to wyraz jego poparcia dla inicjatywy oddolnego wspierania opozycji demokratycznej, ponad partyjnymi podziałami". Do dziś profil (obecnie nieaktywny) obserwują oprócz Tuska m.in. minister zdrowia Izabela Leszczyna oraz Tomasz Piątek.

Użytkownicy utożsamiający się z tą grupą często wpisują do nazwy profilu hasztag (niejednokrotnie w towarzystwie flagi UE oraz barw LGBT). Przeglądając konta Silnych, można dostrzec opisy: „wolność kocham i rozumiem"; „racjonalista, ateizm jest OK"; „PiS i jego akolici pod sąd"; „NIGDY nie głosowałam na PiS"; „team Tuska"; „Polak, Europejczyk. Liberał. Demokrata" i bardziej rozbudowany: „Miejsce KonfoKacapii jest na śmietniku historii, PiSu, Ziobry, Obajtka, Morawieckiego, Mejzy, Mateckiego w więzieniu".

Choć deklarują się oni jako zdroworozsądkowi demokraci, to nie mają oporów przed powielaniem niesprawdzonych treści – byle tylko pasowały do profilu ideologicznego. Z autoopisów można wysnuć wniosek, że wśród aktywistów są osoby głównie w średnim wieku i starsze, które budując internetową społeczność, realizują specyficznie pojmowany „obowiązek obywatelski".

Dobrze oddający istotę SR portret nakreślił w swoim felietonie Rafał Woś. „To grupa najtwardszych antypisowców, którzy w minionych ośmiu latach wytworzyli swój własny świat. W tym świecie istnieje tylko zło (w postaci PiS-u) i dobro (czyli oni, którzy się PiS-owi przeciwstawiają). Grupka ta byłaby pewnie nieważna, gdyby nie fakt, że Donald Tusk swój pomysł na powrót do wielkiej gry oparł właśnie na Silnych Razem. W efekcie powstał system nieformalnego zarządzania mediami, którym kręci – jak ptaszki ćwierkają – nieformalny wicepremier w osobie rosłego posła. To on poprzez swoich ludzi urządza naloty i nagonki na tych ludzi mediów po stronie antypisowskiej, którzy się wobec najtwardszej linii partyjnej wychylają. Jednostki załatwić tak można" – pisał na portalu Interia.

Jednym z najbardziej jaskrawych przykładów promowania politycznego hejtu przez SR było podłapanie obraźliwego wobec Szymona Hołowni określenia „kałownia". „Kasując perspektywę wspólnej listy opozycji, pomaga się Kaczyńskiemu. Kałownia '2023" – napisał w styczniu 2023 r. Tomasz Lis, oburzając się na lidera Polski 2050, który sceptycznie odnosił się do pomysłu Tuska w sprawie utworzenia na wybory parlamentarne jednej, wspólnej listy całej opozycji. Stosowny, wulgarny hashtag natychmiast zdominował portale społecznościowe.

Krzysztof Brejza (z lewej) i Adam Szłapka podczas konferencji prasowej Koalicji Obywatelskiej „Silni Razem", 16 września 2019 r.
FOT. TOMASZ GZELL/PAP

Dołączyć do Silnych można poprzez wytrwałe publikowanie właściwych treści, komentowanie postów innych, podbijanie hasztagów. Niedawno dominowały te dotyczące rzekomego fałszowania wyborów oraz kolejna odsłona hejtu pod adresem Hołowni.

JAK W FABRYCE

Nieformalnym liderem „silniczków" został Roman Giertych. Na jednym z kont spod tego znaku opublikowano niedawno wpis następującej treści: „Jeśli Twoim zdaniem Roman Giertych powinien zostać ministrem sprawiedliwości po rekonstrukcji rządu i rozliczyć działania PiS – podaj dalej". Post został udostępniony ponad 1,5 tys. razy, zyskał ponad 4 tys. polubień. Obok licznych, kpiących ze wzmożenia najzagorzalszych zwolenników PO komentarzy pojawiły się także też pełne goryczy. Ich autorami są osoby zawiedzione obecnym rządem, a raczej brakiem twardych rozliczeń. „Nikt nas nie słucha, możemy sobie pisać" – komentuje „zosia1963". A „kabanka28#Trzaskowski2025" stwierdza: „Nie pozwolą na to. A to jedyny, który naprawdę by chciał i się nie bał". Inny komentarz brzmi: „Ten rząd, łącznie z Tuskiem, nie ma woli i determinacji, żeby kogokolwiek z pisowskich złodziei rozliczyć".

Internetowi aktywiści pokładają nadzieję w mecenasie, bo jako jeden z nielicznych odnosi się do nich bezpośrednio. Roman Giertych niekiedy odpowiada na wpisy internautów, a w 2023 r., na bazie SR utworzył „Sieć na wybory". „Projekt zakłada dobrowolną i zaangażowaną pracę wielu ludzi w celu ułatwienia zwycięstwa opozycji w wyborach. Dbamy o zasady. Promujemy brak wulgaryzmów, mówienie prawdy i unikanie mowy nienawiści" – ogłosił. Aby dołączyć do „SnW", trzeba było wpisać komentarz pod ogłoszeniem Giertycha. Koordynatorzy kontaktowali się z wybranymi osobami.

Akcja polegała na zalewaniu portali internetowych treściami tworzonymi przez tego polityka. Niemal każdego dnia promował on konkretny, bijący w PiS hasztag, a członkowie „sieci" mieli za zadanie uczynić go najpopularniejszym na X. Giertych narzucał tematy, zagrzewał do internetowej walki. PiS wskazywał, że „SnW" to kolejne wcielenie symbolizowa-

eprasa.pl fdc20b0008

nego przez Silnych Razem hejtu. „Działamy jawnie i transparentnie. Wszelki hejt i wulgaryzmy są zabronione. Jesteśmy zrzeszeniem wolnych obywateli i mamy prawo współpracować, aby zwalczać kłamstwa i obelgi populistów. Zapraszamy wszystkich zwolenników koalicji 15 października do »Sieci na Wybory«! Wystarczy napisać komentarz, a odezwiemy się. Przyłącz się do SnaW. Nikt bardziej nie wkurza PiS niż my (nie licząc oczywiście samego Donalda Tuska)" – odpowiadał poseł KO.

Sieć działała jeszcze długo po przegranych przez Zjednoczoną Prawicę wyborach parlamentarnych. Jej członkowie zaangażowali się m.in. w obronę działań rządu w czasie powodzi, która jesienią ubiegłego roku dotknęła południowo-zachodnią Polskę. Działalność internetowych antypisowców chwaliła publicystka Eliza Michalik. „W czasie powodzi »Sieć na Wybory« faktycznie przeprowadziła z trollami PiS trudną i zwycięską bitwę, tyle że była to bitwa o prawdę. Gdyby bowiem nie »Sieć«, PiS błyskawicznie zalałby wtedy Internet, jak zaczął to robić od pierwszych godzin powodzi opowieścią, że ta tragedia jest winą PO. Podczas gdy naprawdę wielu nieszczęść związanych z powodzią dałoby się uniknąć, gdyby nie zaniedbania rządu PiS, co trafnie i w punkt opisywał wypromowany przez »Sieć na Wybory« hasztag #PotopZalewskiej" – wskazywała. Odpierając zarzuty o hodowanie przez Romana Giertycha farmy internetowych trolli, Michalik pisała: „Wszyscy tam są sobie równi, dyskutują, podrzucają tematy i hasztagi, śledzą i komentują pisowską aktywność w sieci, a kiedy zauważą, że PiS kłamie, co zdarza się praktycznie codziennie – robią słuszną »awanturę« i natychmiast nagłaśniają, jaka jest prawda".

Znany na portalu X prawicowy komentator polityki „Profesor Pingwin" swego czasu przeprowadził „śledztwo" – udało mu się dostać do kilku grup w ramach „Sieci Na Wybory". „Powiem Wam, że to, co tam się odbywa, to jest jakieś szaleństwo. Każdy z jego koordynatorów (co najmniej kilku, ale jest ich chyba więcej) ogarnia po kilkadziesiąt (!) oddzielnych grupowych czatów, w których są zgrupowani ludzie (po kilkadziesiąt/kilkaset osób na jednym) zaprzęgnięci do promowania jego codziennych hashtagów. Czaty mają nadane numerki, jak w jakimś obozie pracy. Presja jest tam ogromna, od rana jest jak na zmianie w fabryce: koordynator wrzuca grafikę z hashtagiem dnia i zaczyna się spamowanie oraz wzajemne podbijanie sobie zasięgów. Każdy ma się wykazywać i aktywnie spamować hashtagiem cały dzień, no i oczywiście podbijać posty największych guru Silnych Razem. Dosłownie przed chwilą było pisane, że hashtag: »FujaraZiobro« słabo idzie i trzeba podbijać. Efekt? Już jest najpopularniejszy. Możemy sobie tu śmieszkować i wrzucać codziennie jakiś hashtag, żeby podenerwować Giertycha, ale on stworzył taką machinę propagandową, że aż ciarki przechodzą: tak, on stworzył realne farmy trolli idące w tysiące osób" – opisywał.

CIĄGŁE WRZENIE

Dość szybko Silni Razem zostali porzuceni przez Platformę Obywatelską. Już w lutym 2023 r. Izabela Leszczyna odcinała się od internetowej polaryzacji. Zapytana, czy wpisy takie jak np. ten: „PiS za pomocą socjalu stworzył wielką klasę swoich zwolenników", wychodzące spod palców „silniczków", bardziej pomagają czy szkodzą jej formacji, odparła, że mowa jest o „grupie założonej spontanicznie na Twitterze, bez wpływu polityków PO". – Opinie o tym, jaka jest partia i jacy są jej politycy, wyrabiać powinniśmy sobie chyba jednak na podstawie słów i działań tych polityków. Nie słyszałam w ustach polityków mojej partii słów dyskryminujących, wulgarnych. Raczej krytykujemy działania i zjawiska, używamy wtedy ostrych słów i być może one rzeczywiście tę polaryzację wzmacniają – przekonywała w Radiu TOK FM.

Choć przyznała, że sama śledzi osoby, które w opisie profilu mają hasło „Silni Razem", to zapewniła, że nie przywiązuje do wpisów większej wagi. – Chyba żaden polityk nie ma czasu, żeby śledzić te profile i wiedzieć, co dany człowiek powiedział zawsze. Robię like czy retweet, jeśli uznaję, że dane twierdzenie jest OK i ja się z nim zgadzam. I nie interesuje mnie, co dany człowiek powiedział wcześniej czy później, bo ja nie jestem internetowym researcherem – podkreślała.

Działalność SR budzi kontrowersje także wśród publicystów, których trudno posądzić o sprzyjanie PiS, a którzy są atakowani przez aktywistów, ponieważ zdarza im się skrytykować Tuska. – W tej subkulturze najbardziej radykalnych zwolenników PO, tam jest ten drugi efekt, że oni straszą wyborców opozycji, tam jest taka bratobójcza walka, oskarżanie się, że tu ktoś współpracuje z PiS, dziennikarze są obdzwonieni – oceniła Dominika Sitnicka z OKO.press.

Wrogiem Silnych jest także Marcin Meller. – Radykałowie PO, czyli Silni Razem mówiąc wprost, dla nich wrogiem numer jeden nie jest PiS. Piaseckiego by wsadzili, Sroczyńskiego przynajmniej wysłali do Izraela lub na Madagaskar. To jest masakra. Oni są kokietowani przez szefostwo PO, zastraszają dziennikarzy, żądają wyrzucenia z pracy – to nie są żarty – mówił w maju 2023 r.

Zrozumienie dla funkcjonowania tej – jak określają SR niektórzy – „sekty" wyraziła Dominika Wielowieyska z „Gazety Wyborczej". – Ona zaspokaja emocje swoich najbardziej radykalnie antypisowskich wyborców, ponieważ chce ich utrzymać we wrzeniu, tak żeby promieniowali i mobilizowali innych – wyjaśniała.

Istotę funkcjonowania tej grupy dobrze oddaje nazwa – razem czują, że są silni, dlatego wolno im wszystko. Także przekraczać granice cywilizowanej dyskusji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fdc20b0008

Z prof. Ryszardem Legutką, filozofem, kawalerem Orderu Orła Białego, w latach 2017–2024 przewodniczącym Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim
rozmawia Ryszard Gromadzki

Dom na piasku

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

RYSZARD GROMADZKI: Nowa francuska doktryna obronna przewiduje, że do 2030 r. w Europie wybuchnie nowa wojna o dużej skali. Kanclerz Niemiec Friedrich Merz ogłosił z kolei, że Bundeswehra stanie się wkrótce najsilniejszą armią w Europie. Panie profesorze, czy nowa wojna w Europie jest nieunikniona? Czy układ sił ufundowany w Jałcie w 1945 r., a zredefiniowany po upadku Związku Sowieckiego i zjednoczeniu Niemiec w 1990 r. będzie zastąpiony nowym rozdaniem?

PROF. RYSZARD LEGUTKO: Sądzę, że nie, choć nie da się niczego definitywnie wykluczyć. Pamiętajmy, że na skutek amerykańskiego parasola siła militarna Europy była dość mizerna, a społeczeństwa odzwyczaiły się od wojska, wojny i myślenia w kategoriach militarnych. Do tego doszły narastające problemy ekonomiczne Niemiec i Francji, w wypadku Niemiec – bardzo głębokie. Modernizacja i rozwój wojska wymagają mocnego uzasadnienia, np. przez wskazywanie poważnych zagrożeń. Stąd wezwania w Niemczech do mobilizacji dla stworzenia najsilniejszej armii w Europie, potwierdzenia pozycji ekonomicznego giganta kontynentu, wielkiej reindustrializacji kraju, a przy okazji straszenie wojną.

Nam, Polakom, to się bardzo źle kojarzy, ta retoryka już wybrzmiewała w niemieckiej historii.

Oczywiście. Problemem dla nas są z jednej strony słabe Niemcy, od których Polska – poza okresami rządów prawicy – uzależniała się i nadal przy obecnym rządzie uzależnia politycznie, choć właśnie teraz to dobry okres, by nieco wyzwolić się spod tej niemieckiej nadopiekuńczości. Z drugiej strony, kiedy Niemcy się wzmocnią i znów staną się potężną siłą gospodarczą i militarną, jak obiecuje Merz, to będzie gorzej i znacznie trudniej. Wracając do pana pytania, nie wiadomo, kto i o co miałby toczyć nową europejską wojnę.

Minister obrony Niemiec, Boris Pistorius, mówił ostatnio, że niemieccy żołnierze znów będą gotowi zabijać Rosjan, jeśli ci zaatakują któreś z państw NATO.

W przeszłości Niemcy toczyły z Rosją krwawe wojny, ale równie często dochodziły z nią do porozumienia. Nie bardzo chce mi się wierzyć w nowy militarny konflikt między nimi. Bo niby o co? Armia niemiecka przychodząca z pomocą Estonii zaatakowanej przez Rosję? Wolne żarty. Tym bardziej że politycy niemieccy mniej lub bardziej otwarcie stwierdzają, że „Rosja jest w Europie". A jeśli tak, to trzeba z tą Rosją prędzej czy później dojść do porozumienia. Mówią sobie,

eprasa.pl fdc20b0008

że jeżeli będziemy silniejsi, to Rosja być może zadowoli się częścią Ukrainy i sprawa się skończy. Niedawno jeden z polityków niemieckich dawał mi słowo honoru, że Rosja nie zaatakuje państw bałtyckich. Można to potraktować jako anegdotę, ale myślę, że ona pokazuje rzeczywisty punkt widzenia Niemiec. Sądzę, że te opowieści o przyszłej wojnie w Europie mają za cel mobilizowanie społeczeństwa do podjęcia zbiorowego wysiłku na rzecz odbudowy potęgi Niemiec. Nie jest oczywiście przesądzone, że Niemcom uda się taka odbudowa. Ale w przeszłości podobne próby się udawały, a teraz mimo problemów Niemcy wciąż zachowują znaczącą pozycję w świecie, również w instytucjach finansowych. Mają więc realne szanse na stanie się europejskim mocarstwem. Nie trzeba dodawać, że z punktu widzenia Polski jest to oczywiste zagrożenie, bo oznacza także odbudowę osi Berlin – Moskwa. Polska znów znajdzie się między silnymi Niemcami z jednej strony a imperialną Rosją z drugiej.

W strefie zgniotu... Jakie pole manewru ma Polska w takiej sytuacji?

Znaleźliśmy się ponownie w wyjątkowo niedobrej sytuacji, bo Polska na skutek błędnej polityki jest właściwie sama. Lista zaniechań i błędów nie ma końca. Nie utrzymujemy żadnych znaczących sojuszy w naszej części Europy. Grupa Wyszehradzka praktycznie przestała istnieć. Projekt Trójmorza został zawieszony. Obecny polski rząd mocno przyssał się do Niemiec i instytucji europejskich, ale zarówno Niemcy, jak i instytucje europejskie przeżywają kryzys. Pozycja Polski jest tam jednak żadna, bo istnienie tego rządu i jego międzynarodowe poparcie zależy od bycia posłusznym. Dla rządzącej Polską elity, nie tylko politycznej, lecz także kulturowej, jakiekolwiek zbuntowanie się jest mentalnie nie do wyobrażenia. Gdyby jakimś cudem Tusk zaczął stawiać opór, to UE i Niemcy uznałyby to za głęboko niepoważne, bo przecież polski rząd nie ma żadnych atutów w ręku. Nie może liczyć na poparcie z niczyjej strony. Nic więc dziwnego, że Unia coraz bezczelniej narzuca nam swoje władztwo. Rząd zupełnie bezsensownie atakuje Węgry, minister spraw zagranicznych angażuje

eprasa.pl fdc20b0008

się w pyskówki, w których obraża Węgrów i ich premiera. To przejaw pospolitego szczeniactwa. Nie mówię już o Ameryce. Zanim Donald Trump zdążył wygrać wybory prezydenckie, czołowi politycy Platformy potrafili go wielokrotnie obrazić, paląc na starcie wszystkie mosty. W efekcie nie mamy nic. Nie wiadomo też, jak budowana będzie nowa amerykańska polityka globalna. Idea „Make America Great Again" może nam sprzyjać, ale niekoniecznie musi się tak stać. Relacje z Ukrainą są, jakie są. Okazało się, wbrew początkowym nadziejom na stworzenie atmosfery dobrej współpracy i sojuszu, że realne postępy nie są duże. Antypolskie sentymenty Ukraińców są na tyle silne, że tamtejsza władza, która chce mieć wpływy, musi z tymi sentymentami się liczyć. Jedyne, co nam zostaje w tej sytuacji, to robić to, czego obecny rząd nie robi, czyli wzmacniać się na każdym polu, również militarnym. Na razie niewiele wskazuje na to, że zmiany polityczne na świecie będą dla nas korzystne. W naszym regionie niebezpieczeństw raczej przybywa, niż ubywa. Wzrost znaczenia Rosji po prędzej czy później wygranej wojnie na Ukrainie nie ułatwi Polsce życia.

Nie ma pan złudzeń co do wyniku wojny na Ukrainie. Tymczasem kolejne polskie rządy podtrzymują narrację o zachowaniu integralności terytorialnej Ukrainy jako niezbywalnym warunku przyszłego pokoju. Rzeczywistość pokazuje, że to czysta iluzja, bo nic nie wskazuje na to, żeby Rosja była gotowa zwrócić Ukrainie ziemie, które zajęła w wyniku trwającej od 2014 r. agresji.

Tak, to scenariusz oparty na iluzjach. Jeśli wojna ustanie i Putin zachowa zdobycze terytorialne na Ukrainie, to w oczach Rosjan będzie zwycięzcą tej wojny, a Zachód odetchnie z ulgą. Granice Ukrainy sprzed 2014 r. to dla Zachodu rzecz niewarta większego zaangażowania.

Pozostaje nam więc budować własną siłę.

Tak. Powtórzę raz jeszcze, że musimy wzmacniać się na wszelkie możliwe sposoby. Gdyby niemieckie odrodzenie się nie udało, a Polska wzrosła w siłę, to nasze położenie zdecydowanie by się poprawiło, bo stalibyśmy się mocniejszym graczem w naszej części Europy. Na razie wszystkie wielkie rozstrzygnięcia dotyczące tej części kontynentu dokonywały

Gdyby niemieckie odrodzenie się nie udało, a Polska wzrosła w siłę, to nasze położenie zdecydowanie by się poprawiło

się i nadal dokonują bez naszego udziału. Dopiero zmiana tego stanu rzeczy będzie twardym dowodem, że zaczęliśmy się liczyć. Ale żeby tak się stało, to albo rząd musiałby zmienić politykę o 180 stopni, co jest nieprawdopodobne, albo nastąpi zmiana władzy w Polsce i nowa polityka przez nią prowadzona będzie popierana przez większość Polaków. Pamiętajmy, że Polska jest krajem słabym również z tego powodu, że jest wewnętrznie rozbita, także w kwestii polityki zagranicznej. Tusk prowadzi wściekłą wojnę z opozycją, a to politycznie osłabia Polskę na arenie międzynarodowej. Zapanowanie względnego spokoju w sprawach dla nas kluczowych to wstępny warunek wzmocnienia państwa. Inaczej – jeśli powołać się na ewangelistę – nasz skłócony dom, zbudowany na piasku, nie przetrwa.

Owo wewnętrzne rozbicie jest polskim przekleństwem od wieków. To ono było głównym powodem upadku I Rzeczypospolitej i przyczyną deficytów naszego państwa także współcześnie. Widzi pan jakieś symptomy zmian, które pozwoliłyby nam wyjść poza ten przeklęty podział i być może uczynić kiedyś Polskę wielką?

Ten podział dramatycznie się pogłębił w roku 2005. Oczywiście on istniał wcześniej. Pomijam XVIII w. czy konflikt między sanacją a endecją w czasach II RP. Współcześnie linia podziału dla nowego konfliktu pojawiła się już podczas obrad Okrągłego Stołu, który według jego architektów skupił tę przyzwoitą i oświeconą część Polaków, a reszta została uznana za zagrożenie. Odwołując się do koncepcji Michnika, niebezpieczeństwo komunistyczne wygasło, a w jego miejsce pojawiło się zagrożenie nacjonalistyczne. Cała późniejsza historia III RP rozgrywała się według tej dramaturgii, gdzie rzekomi oświeceni nieustannie i furiacko delegitymizowali rzekomo nieoświeconych. Dzisiaj dostrzegam pewne powody do nadziei w fakcie kompletnej degrengolady tych rzekomo oświeconych. Paradoksalnie, uważam, że wszystkie próby zamachu stanu podjęte przez rządzących po wygraniu wyborów prezydenckich przez Karola Nawrockiego tylko wzmocnią jego pozycję. Coraz więcej ludzi dostrzega, że polityka Tuska nie tylko jest nieudolna, lecz także niszczy Polskę i gwałci normy współżycia. Można oczekiwać, że odejście Tuska spowoduje częściowy detoks przestrzeni publicznej. Być może wówczas dotrze do większej liczby ludzi przekaz o stanie, w którym jest Polska, jaka jest jej realna pozycja międzynarodowa i dlaczego, a także poważnych zagrożeniach dla wolności i suwerenności. Mam nadzieję, że straci na znaczeniu owa idiotyczna mantra, że im bliżej będziemy trzymać się Unii, tym Polska będzie bardziej bezpieczna. Jest odwrotnie. Im bardziej będziemy uzależniać się od Unii, tym będziemy mniej bezpieczni, bo odpowiedzialność za losy Polski będzie znajdowała się nie w Warszawie, a gdzie indziej. Często nawet nie wiadomo gdzie dokładnie, z racji notorycznej nietransparentności Unii i nierozliczalności jej funkcjonariuszy. Jeśli odkłamany przekaz przekonałby większą część Polaków, to polityka polska nabrałaby większej racjonalności. Mamy wciąż własną walutę, a polska gospodarka do niedawna dobrze się rozwijała, wykazując większą odporność na różne kryzysy niż gospodarki innych krajów. To nasz potencjał. Niemożność wykorzystania tego potencjału wynika również z tego powodu, że wielu Polaków opuścił zdrowy rozsądek i dali zatruć swoje umysły wielkiemu kłamstwu. Jak ratować Rzeczpospolitą, kiedy duża część narodu gwałcenie demokracji nazywa umacnianiem demokracji, szalejące bezprawie – przywracaniem praworządności, monopol ideologiczny – pluralizmem, a niszczenie prawa, polityki i gospodarki przez Unię – solidarnością europejską?

To jedna strona medalu. Udział w tym, że Polska jest słaba i wewnętrznie rozbita, ma też Prawo i Sprawiedliwość. PiS nie zdobył się dotąd na żadną głębszą refleksję dotyczącą odpowiedzi na pytanie, dlaczego stracił władzę w wyniku wyborów w 2023 r. Myślę, że to nie jest dobry prognostyk dla Polski, w sytuacji kiedy formacja prezesa Kaczyńskiego znów przymierza się do rządzenia państwem.

eprasa.pl fdc20b0008

Zgoda, że polityka europejska Mateusza Morawieckiego kulała. Nie tylko dlatego, że okazała uległość wobec Unii, lecz także dlatego, że kompromitował ją kontrast między niepodległościowo-suwerennościową retoryką a tym, co się działo faktycznie. Jeżeli się ustala kształt polskiego prawa poprzez negocjacje z komisarzem, to trudno to uznać za oznakę suwerenności. Notabene nie wiem, czy ten komisarz już jest w więzieniu czy się tam wkrótce znajdzie.

Chodzi oczywiście o komisarza Didiera Reyndersa oskarżonego przez belgijską policję o pranie brudnych pieniędzy?

Właśnie o niego. Nie można wysyłać sygnału tak głęboko sprzecznego. To był niewątpliwy błąd Morawieckiego i jego ludzi. Pewnie dałoby się znaleźć jeszcze kilka innych. Jak dalece świadomość tych błędów obecna jest w PiS, trudno mi powiedzieć, bo jestem już poza partią. Zbliża się kongres programowy, więc zobaczymy, czy będzie jakaś wyraźna oferta, która przebije się do świadomości Polaków. Nie będzie to łatwe. Sfera publiczna i media są pełne hałaśliwego jazgotu. Trudno dzisiaj dotrzeć z konkretną treścią do obywateli. Jest ona natychmiast przekręcana, zamieniana w karykaturę. Później takie wypaczone, skarykaturyzowane formy krążą w Internecie, wprowadzając chaos w umysłach ludzi. Aby dać przykład, społeczeństwo w Polsce w większości nie zgadza się na imigrację z Afryki i Azji, a jednak zbojkotowało referendum, które miało być mocnym świadectwem tej niezgody. Brak komunikacji, nawet na poziomie elementarnym, jest problemem całego świata. W Polsce ma on dodatkowe znaczenie, bo grozi nam z jednej strony polityczne ubezwłasnowolnienie, a z drugiej – potworny recykling kulturowy, który zniszczy resztki naszych związków z polską kulturą.

Czy główna siła opozycji, którą pozostaje Prawo i Sprawiedliwość, ma obecnie zdolność koalicyjną? Bez tego trudno będzie odzyskać władzę. Tymczasem otwarcia na Konfederację, najbardziej prawdopodobnego partnera koalicyjnego, w PiS nie widać.

Zdolność koalicyjna to pojęcie mylące. Od pewnego momentu wszystkie siły polityczne były zwrócone przeciw PiS, bo odrzucały suwerennościowy kierunek tej partii. To raczej głęboki podział co do wagi suwerenności niż kwestia zdolności koalicyjnej. Nie zdradzę niczego nadzwyczajnego, jeśli powiem, że jeszcze przed poprzednimi wyborami parlamentarnymi toczyły się negocjacje z PSL, które na początku nawet nieźle rokowały. PSL jednak nie zdecydował się na porozumienie. Prawdopodobnie w obawie, że stając po stronie uznawanej za nieoświeconą, stanie się celem takiego wściekłego ataku, którego teraz doświadcza Hołownia. Od pewnego czasu mamy oczywiście Konfederację, która buduje swój potencjał na krytyce PiS, chcąc stać się silnym podmiotem prawej strony.

Ten manewr chyba się powiódł. Konfederacji udało się – jak pokazały niedawne wybory prezydenckie – zbudować trwałe poparcie. Zdjąć z siebie odium partii sezonowej.

Tak, choć stworzenie prawicowej koalicji na pewno nie będzie łatwe. Mamy złe doświadczenia z tzw. PO-PiS, od którego zaczęła się przecież wojna polsko-polska. Nie wiem, kto teraz rządzi Konfederacją – czy Bosak czy Mentzen, czy na lidera wyrośnie tam ktoś trzeci – ale mam nadzieję, że ktokolwiek by to był, nie ma w sobie niczego z podłego charakteru Donalda Tuska. Rozmowy koalicyjne są zawsze trudne, a współrządy, gdy każdy z koalicjantów chce utrzymać swoją wyraźną tożsamość i nie dać się wchłonąć innym, to przedsięwzięcie pełne napięcia i konfliktów. Czy jest wola takiej prawicowej koalicji? To jest pytanie do przywódców Konfederacji i Prawa i Sprawiedliwości.

Nie wiem, kto teraz rządzi Konfederacją – czy Bosak czy Mentzen, czy na lidera wyrośnie tam ktoś trzeci – ale mam nadzieję, że ktokolwiek by to był, nie ma w sobie niczego z podłego charakteru Donalda Tuska

Po prawej stronie jest jeszcze partia Grzegorza Brauna. Czy jego Konfederacja Korony Polskiej może też być uczestnikiem prawicowej koalicji czy przekreśla to temperament jej lidera?

Grzegorz Braun najwyraźniej uparł się, żeby nie być partnerem dla nikogo, i popadł w jakąś manię, której nawet nie potrafię nazwać. Jego zachowanie jest zupełnie absurdalne. Trzeba się zdecydować: albo się jest kontrowersyjnym publicystą, albo politykiem. Ostatnie wypowiedzi Brauna, kwestionujące istnienie komór gazowych w obozie koncentracyjnym w Auschwitz, były ciosem w całą prawą stronę sceny politycznej. Braun staje się trędowatym, z którym żaden z polityków nie chce mieć czynienia, bo nie wiadomo, z czym on nagle wystrzeli kolejnym razem.

Ale to wyborcy „trędowatego Brauna" w istotny sposób przyczynili się do zwycięstwa Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich...

Pytanie: Co z przekazu Brauna jest tym, co przyciąga do niego wyborców? Myślę, że nie były to hasła kwestionujące istnienie komór gazowych w Auschwitz czy te o budowie jakichś obiektów dla Żydów w związku z CPK, a raczej postulaty antyunijne i narodowe oraz – być może – także jego błyskotliwa, choć dość perwersyjna inteligencja. Nie wiemy, jak się dalej będą zachowywać wyborcy Brauna. Karolowi Nawrockiemu udało się przyciągnąć różne grupy i powinien teraz starać się utrzymać ten elektorat, a być może go zwiększyć. Poparcie, które zyskał, jest innego rodzaju niż poparcie partyjne. Sądzę dlatego, że jest szansa, by i część wyborców Brauna – niezależnie od ich stosunku do harców przywódcy – wspierała nadal propolską politykę prezydenta.

Jakie nadzieje wiąże pan z prezydenturą Nawrockiego?

Nie ukrywam, że duże. Nie liczę na zakończenie konfliktu w Polsce, ale poszerzenie sfery środowisk patriotycznych, takich, które chcą dobra Rzeczypospolitej i nie ulegają ogłupiającym mistyfikacjom, że gwarancji tego dobra trzeba szukać poza Polską.

Odpoczywa pan od aktywnej polityki? Myśli pan o powrocie?

Nie, już nie. Rozstałem się z europarlamentem, gdzie – jak sądzę – zaznaczyłem dość dobitnie obecność polskiego konserwatywnego punktu widzenia. Teraz zajmuję się wyłącznie pisaniem i czytaniem. I myśleniem oczywiście.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fdc20b0008

Rafał A. Ziemkiewicz

Nikt nie płacze

Waldemar Żurek wchodzi do rządu w zupełnie odmiennej sytuacji, niż wchodził jego poprzednik. Dziś nie ma już cienia entuzjazmu czy bodaj obojętnego przyzwolenia dla „przywracania praworządności”. Znacznie powyżej połowy uczestników sondaży deklaruje się jako przeciwnicy obecnej władzy

Żartobliwie można by rzec, że swojemu elektoratowi, rozczarowanemu przegraną „Bążurka”, postanowił Donald Tusk dać na pociechę przynajmniej Żurka. Mniej żartobliwie – powtórzyć to samo innymi słowami. Bez wątpienia cała rekonstrukcja rządu została przeprowadzona przede wszystkim dla zdeklarowanych wyborców Platformy Obywatelskiej, by osłodzić im rozczarowanie klęską Rafała Trzaskowskiego i upadek wiary, że uda się jeszcze dowieść „sfałszowania wyborów” albo w jakiś inny sposób je unieważnić. Zresztą sam Tusk nie próbował tego ukryć, wielokrotnie powtarzając na różne sposoby podczas ogłaszania zmian, że „jedna wywrotka nie oznacza przegranej w wyścigu”, że jego formacja podnosi się po przegranej i „idzie do przodu”.

Spośród licznych powodów rozczarowania „żelaznego elektoratu” fiasko zapowiadanych półtora roku temu bardzo gromko „rozliczeń z PiS” nie jest zapewne największe – badania fokusowe prowadzone w tej grupie wskazywały, że bardziej boli ją zawód, iż rządy „naszej partii” nie poprawiły jej materialnego bytu, że nie nastąpiła oczekiwana likwidacja programów socjalnych PiS i odwrócenie transferów finansowych do wielkich miast i „wanna be klasy średniej”. Ale ze wszystkich tych rozczarowań tylko w sprawie „rozliczeń” miał Tusk kogo rzucić sfrustrowanym wyznawcom na pożarcie. Adam Bodnar przez kilkanaście miesięcy sprawowania funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego rozczarował bowiem wszystkich, stracił cały kapitał zaufania, jaki zdołał uciułać wcześniej jako obrońca praw człowieka Fundacji Helsińskiej i Rzecznik Praw Obywatelskich, oraz skompromitował się pod każdym względem i w oczach wszystkich. Ostatnimi zaś działaniami po prostu się ośmieszył. Wniosek do Trybunału Konstytucyjnego (którego wszak Bodnar, jak wielokrotnie deklarował, nie uznaje) i do Izby Odpowiedzialności Cywilnej Sądu Najwyższego (którą także uważa za „nieistniejącą”) o uchylenie immunitetu pierwszej prezes Sądu Najwyższego, Małgorzacie Manowskiej, po to, żeby pociągnąć ją do odpowiedzialności za rzekome uniemożliwienie legalnego stwierdzenia ważności wyborów prezydenckich, polegające na tym, że w posiedzeniu stwierdzającej to Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych (również uznawanej przez Bodnara za „niebędącą sądem”) nie wzięło udziału dwóch sędziów, którzy pal sześć, że sami się z prac izby wyłączyli, ale którzy jako „neosędziowie”, rekomendowani przez „neo-KRS”, zdaniem Bodnara nie są sędziami i nie mają prawa orzekać – to już taki szczyt absurdu, że Mrożek się chowa.

BRAK LOGIKI

A przecież to spektakularne zaplątanie się przez ministra prokuratora generalnego na supeł uwieńczyło wiele wcześniejszych kompromitacji. Adam Bodnar zaczął urzędowanie od zaprzeczania, punkt po punkcie, wszystkiemu, co głosił przed ministerialną nominacją – jako RPO, by zacząć od pierwszego z aktów hipokryzji, wniósł wniosek o uznanie za niezgodne z konstytucją jednoosobowe zmienianie przez ministra, dysponującego większością udziałów w spółce Skarbu Państwa, władz spółek. Jako minister poparł takie właśnie działania kolegi z rządu, Bartłomieja Sienkiewicza, w odniesieniu do TVP, PR i PAP, które zresztą okazały się tak sprzeczne z prawem, że sam Sienkiewicz po tygodniu się wycofał i zastąpił je fikcją postawienia tych spółek w stan likwidacji, wystawiając Bodnara na pośmiewisko. Jako RPO protestował głośno przeciwko „aresztom wydobywczym” i spektakularnie ujmował się za prawami mordercy „upokorzonego” poprzez założenie mu podczas konwoju kajdanek zespolonych, jako minister i oberprokurator patronował znęcaniu się nad wytypowanymi jako „wyjścia” aresztowanymi, w tym zakuwaniu w „upokarzające” kajdanki byłych urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości na czas przesłuchań. W końcu ośmieszony został przed całą Polską, gdy jak niedouczony student wysłuchać musiał reprymendy sędzi Marii Szczepaniec, wytykającej mu brak logiki w traktowaniu statusu Izby, którą uznał, kiedy decydowała o ważności jego mandatu senatora, a odmawia jej uznania, gdy mowa o wyborze prezydenta z przeciwnej mu strony politycznego sporu.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Taki brak logiki był stałą cechą działań Bodnara – wspomnijmy jeszcze o innym absurdzie – o zwróceniu się do prokuratora Dariusza Barskiego, by dokooptował do Prokuratury Krajowej prokuratora rejonowego Dariusza Korneluka, a potem mianowaniu tegoż Korneluka na miejsce Barskiego z oficjalnym uzasadnieniem, że Barski nigdy skutecznie urzędu Prokuratora Krajowego nie objął (ergo, mianowanie do PK Korneluka było „nieistniejące”, a więc pozostaje on wciąż prokuratorem rejonowym, zatem nie mógł być przez Bodnara mianowany „pełniącym obowiązki prokuratorem krajowym” – abstrahując już od faktu, że prawo w ogóle nie przewiduje takiej funkcji).

Słowem, dla wszystkich uczciwych i traktujących prawo poważnie prawników Adam Bodnar stał się człowiekiem

eprasa.pl fdc20b0008

FOT. ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

po Bodnarze

skrajnie skompromitowanym, zwykłym służalcem, wykonującym dla swego szefa, i to nieudolnie, brudną robotę, który nie tylko wcielił jego doktrynę „prawa, jak my je rozumiemy” w życie, lecz także rozwinął ją do formuły: „jak my je rozumiemy w tym akurat momencie”. Jeśli w prawniczym świecie istnieją jeszcze jakiekolwiek zasady, poza serwilizmem wobec partii i jej wodza, to Bodnar powinien zostać z niego definitywnie wykluczony.

Co najbardziej żałosne, to oczywiste służalstwo wobec Tuska wcale nie zyskało byłemu RPO poklasku jego wyznawców. Śledztwa, które rozpoczął, ugrzęzły; podejrzani, którzy pomimo zastosowanych zabiegów „wydobywczych” odmówili złożenia oczekiwanych zeznań obciążających polityków PiS, zostali przez sądy powypuszczani z aresztów, a i te zeznania, które zdobyć się udało (w sprawie Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych), sąd uznał za wymuszone oraz niespójne i je odrzucił. Żadnej „afery PiS” tam, gdzie wskazywały lewicowo-liberalne media, nie udało się znaleźć, a wzmaganie presji dało tylko ten skutek, że kolejne „zespoły prokuratorskie” i agendy ministerstwa zaczęły pozorować działania lub się rozpadać – co najmniej kilku szefów owych „specgrup” poszło na emerytury, długotrwałe zwolnienia lekarskie lub w ogóle odeszło z zawodu.

AUTORYTET TYLKO DLA SEKTY

Podobnie, pomimo sięgnięcia po oczywiste bezprawie i odwoływanie „na piechotę” prezesów sądów, nic nie udało się Bodnarowi osiągnąć w kwestii usunięcia ze stanu sędziowskiego „neosędziów”, co pozostaje podstawowym postulatem uczestników sędziowskiego rokoszu ze stowarzyszeń Iustitia i Themis. Jego działania spotęgowały tylko podział w środowisku sędziowskim, zaostrzenie emocji między grupą beneficjentów postmagdalenkowego sędziowskiego „państwa w państwie” i recydywy rządów PO a coraz liczniejszą grupą sędziów przez nich sekowanych i atakowanych – tym samym pojawienie się wśród sędziów pro-PO obawy, że po zmianie władzy ci drudzy zechcą się zemścić. Chaos w sądach przekroczył wszelkie dotychczasowe granice, a ustawa, którą pod naciskiem wściekłych rokoszan w końcu Bodnar wysmażył, dzieląca sędziów na trzy oznaczane kolorami kategorie i poddająca odpowiedzialności zbiorowej wszystkich, którzy awansowali w czasach PiS, okazała się tak sprzeczna z konstytucją i ze zdrowym rozsądkiem, że nawet nie przesłano jej do Sejmu.

Już kilka godzin po ogłoszeniu nominacji Waldemara Żurka na następcę Bodnara grająca od lat w propagandowej orkiestrze Tuska „Polityka” zamieściła na swej stronie internetowej tekst, streszczający oczekiwania, jak tam się pisze, „środowiska sędziowskiego” wobec nowego ministra – nazywanego w sekcie antypisu „sędzią niezłomnym” i „męczennikiem”, „najbardziej prześladowanym przez rządy PiS”. Lista jest przewidywalna, ale nawet przyznająca tym żądaniom słuszność autorka „Polityki” przyznać na koniec musiała, że nie zostały one zaspokojone nie przez nieudolność Bodnara, ani – jak tłumaczy sobie sekta Silnych Razem – przez jego rzekomy „nadmierny” szacunek dla prawa, tylko dlatego, że zarówno Komisja Wenecka, jak i TSUE (ostatnio wsparte w tym decyzją KE) stanowczo zakazały kwestionowania statusu „nowej” KRS i rekomendowanych przez nią „neosędziów” (a także Trybunału Konstytucyjnego). I że opinii tych ciał, na których oparte były wszystkie nadzieje i rachuby sędziów PO, nowy minister nie będzie mógł zignorować tak samo jak jego poprzednik.

Dodajmy, że nowy minister wchodzi do rządu w zupełnie odmiennej sytuacji. Pomijając już, że nie zrzekł się w porę statusu sędziego i być może w ogóle nie będzie mógł jeszcze długo objąć urzędu, dziś nie ma już cienia entuzjazmu czy bodaj obojętnego przyzwolenia dla „przywracania praworządności”, znacznie powyżej połowy uczestników sondaży deklaruje się jako przeciwnicy obecnej władzy, a podwładni, których rękami miałoby być dokonywane bezprawie „rozliczeń”, spodziewają się już zmiany władzy i zwyczajnie boją się odpowiedzialności, z której może „ważne figury” z Tuskiem na czele zdołają się jakoś wyplątać, ale oni, zwykłe pionki, na pewno nie. Poza tym Bodnar, zanim zaprzedał się Tuskowi, miał spory autorytet, nawet w części środowisk prawicowych. Żurek dla ludzi spoza sekty, która widzi w nim „sędziego niezłomnego”, jest przede wszystkim człowiekiem, który utajnił swój ogromny majątek, obejmujący wiele nieruchomości i nie wiadomo, jakim cudem uciułany z sędziowskiej pensji, który własną córkę pozwał o zwrot alimentów łożonych na nią, zanim stała się pełnoletnia, i który zażądał od państwa odszkodowania za wstawienie sobie zębów, bo swoje starł, kompulsywnie zgrzytając nimi wskutek doznanych od PiS prześladowań (wielu nie wierzy, że to nie żart – otóż tak, pozew taki został przez Waldemara Żurka złożony i ostatecznie odrzucony w Sądzie Okręgowym w Katowicach).

Czy Tusk nie wie, że Żurek nie ma szans zrobić tego, za niezrobienie czego zapłacił głową Bodnar? Zapewne wie, ale liczy, że samym swym pojawieniem się na jakiś czas odbuduje nadzieje najtwardszego elektoratu na „rozliczenia”. Możliwe też, choć mało prawdopodobne, że rację mają ci, którzy sądzą, iż Tusk chce jednak „rzutem na taśmę” uniemożliwić objęcie urzędu przez prezydenta elekta i wymyślił coś, co nawet Bodnar przestraszył się firmować. Zostawiając nowego ministra na boku, o jego poprzedniku powiedzieć trzeba, że chyba nikt nigdy tak dobitnie nie pokazał, że – parafrazując znane powiedzenie – „nie warto być nieprzyzwoitym”. Stracił wszystko, nie zyskując niczego poza pogardą, zarówno poza elektoratem PO, jak i w tym elektoracie, któremu Tusk rzucił go ostatecznie jako kozła ofiarnego, obwiniając za fiasko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fdc20b0008

Łukasz Warzecha

Za rzekomo bezzasadne zatrzymanie w czasie czarnych protestów w 2020 r. Katarzyna Augustynek otrzymała 20 tys. zł zadośćuczynienia. Nie od dzisiaj jest też pod specjalną ochroną. Zupełnie inaczej potraktowany został Robert Bąkiewicz, który wtedy atakowanych świątyń bronił

Katarzyna Augustynek słynie z prowokacyjnych zachowań FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Za obronę świątyni Robert Bąkiewicz stanął przed sądem FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

Komu prawo łaski?

W sieci pojawia się wpis. Wpis wykrywa czujne Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości – specjalna jednostka policji, która zajmuje się przestępstwami w Internecie: wyłudzeniami, kradzieżami, w tym tożsamości, identyfikowaniem i zwalczaniem grup pedofilskich. Policja natychmiast kieruje do spółki Meta wniosek o ujawnienie danych autora wpisu. Spółka odpowiada po dwóch dniach. Wtedy dopiero na policji pojawia się adwokat adresata wpisu i dostarcza oświadczenie klienta, że ten czuje się ogromnie z powodu wpisu zagrożony. Tego samego dnia w domu autorki wpisu pojawia się mocna policyjna ekipa, na czele z pierwszym zastępcą miejskiego komendanta policji. Niestety, groźnej przestępczyni nie ma w domu. Dlatego dzielna policja dobija się do mieszkania już następnego dnia o godz. 6. Kryminalistka zostaje zatrzymana, jest przesłuchiwana przez kilka godzin w związku z art. 190 Kodeksu karnego: „Kto grozi innej osobie popełnieniem przestępstwa na jej szkodę lub na szkodę osoby dla niej najbliższej, jeżeli groźba wzbudza w osobie, do której została skierowana lub której dotyczy, uzasadnioną obawę, że będzie spełniona, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3". Policja rekwiruje jej telefon. Przestępczyni dostaje zakaz opuszczania kraju, musi wpłacić 300 zł poręczenia, a w dodatku musi się trzy razy w tygodniu stawiać na policji. Prokurator zatwierdza nakaz przeszukania mieszkania podejrzanej. Postępowanie trwa, prokuratura nie śpi. Jest wszak wyposażona w wytyczne od samego prokuratora generalnego!

To historia ze stycznia br. Nasze dzielne organy ścigania pod politycznym nadzorem ministrów Adama Bodnara i Tomasza Siemoniaka wykryły i zneutralizowały zagrożenie, które wobec świeckiego św. Jurasa Owsiaka od Złotego Melona stwarzała 66-letnia emerytka z Torunia. Powodem jej problemów był wpis treści następującej: „Giń człeku i to jak najszybciej dość okradania dość twego dorabiania się z naiwności Polaków twoje wille za granicą, twoja willa w Polsce twoje dzieci uczą się za granicą i pensje twoje i twojej żony dość rozlicz się i zmień okulary bo takie noszą LGBT" (oryginalna pisownia).

SĄDOWE KURIOZUM

Przewińmy teraz taśmę do lipca br. Pojawia się wiadomość, że prezydent Andrzej Duda ułaskawił Roberta Bąkiewicza, inicjatora Ruchu Obrony Granic, wcześniej związanego ze Stowarzyszeniem Marsz Niepodległości. Kara, na którą został skazany Bąkiewicz, dotyczyła czynu, którego dopuścił się podczas czarnych protestów wobec Katarzyny Augustynek, nazywanej „Babcią Kasią". Wkrótce na Facebooku pojawia się jej reakcja: „Andrzej Duda, jesteś najgorszym skur..synem, jakiego ziemia nosi. Obyś sczezł!". O wpisie szeroko informują media.

I… nic się nie dzieje. Policja nie dobija się do drzwi pani Augustynek o godz. 6 ani nawet o 16. Nie słychać o żadnym postępowaniu. Nie ma przeszukania w celu szybkiego zabezpieczenia urządzeń elektronicznych, jak to było w przypadku emerytki z Torunia. Pani Augustynek nie musi wpłacać żadnych poręczeń ani meldować się na policji, może za to swobodnie prowokować na kolejnej demonstracji – tym razem skierowanej przeciwko masowej imigracji – z której policja ją wynosi.

Spójrzmy na te wydarzenia od strony prawnej. W pierwszym przypadku podstawą do podjęcia działań był cytowany już art. 190 Kodeksu karnego. W paragrafie drugim mówi on, że ściganie następuje na wniosek pokrzywdzonego. Do dzisiaj nie wiemy jednak, na jakiej podstawie policja podjęła działania, jeszcze zanim pojawił się adwokat Jerzego Owsiaka z jego oświadczeniem, jak bardzo czuje się on zagrożony słowami 66-letniej emerytki. Słowami, które

eprasa.pl fdc20b0008

dla każdego posługującego się w miarę sprawnie językiem polskim nie oznaczają bezprawnej groźby, ale są związkiem frazeologicznym, którego nie należy rozumieć dosłownie, tak jak nie rozumie się dosłownie słów „żeby cię szlag trafił" czy „bodajś zdechł". Można bez dużego ryzyka pomyłki założyć, że gdyby na policję zgłosił się nie adwokat św. Jurasa, ale zwykły Kowalski, przynosząc identyczny wpis na swój temat, dyżurny postukałby się w głowę i odesłał go do domu.

Natomiast w przypadku wpisu pani Augustynek mamy ewidentne podstawy do ścigania autorki z art. 135 Kodeksu karnego, którego paragraf drugi brzmi: „Kto publicznie znieważa Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3". Tu nie ma co dyskutować: znieważenie jest niewątpliwe, podobnie jak niewątpliwe jest, że było ono publiczne. W tym wypadku mówimy o przestępstwie ściganym z urzędu, więc żaden wniosek ze strony Kancelarii Prezydenta nie jest konieczny.

Skoro zaś słowa „giń człeku" wystarczyły, aby zdaniem policji wypełnić znamiona art. 190 Kodeksu karnego, to chyba powinny je wypełniać także słowa „obyś sczezł" – z tym że tutaj musiałby się pojawić wniosek ze strony prezydenta, a to się raczej nie wydarzy.

W tej historii pierwszoplanową bohaterką jest „Babcia Kasia". Nazywanie pani Augustynek „babcią" jest rodzajem szczególnej perwersji, ponieważ w języku polskim słowo „babcia" kojarzy się z kimś ciepłym, serdecznym, kochanym. Tu właściwsze byłoby raczej słowo „babsztyl". Pani Augustynek nie ma ani wnuków, ani dzieci, ma za to wścieklicę, która sprawia, że jej znakiem firmowym stała się skrajna wulgarność, a nawet agresja fizyczna. I to do tego stopnia, że wywołuje to już nawet sprzeciw po lewej stronie. Posłanka Lewicy Anna Maria Żukowska napisała na X: „Mam prośbę: nie róbcie z osoby, która jest agresywna, prymitywnie lży i bije ludzi, bohaterki. Ja nie chcę być kojarzona z osobą, która podchodzi do policjantki tylko po to, by jej wykrzyczeć »Ty stara k…o, liżesz d.pę Kaczyńskiemu«, oraz okłada ludzi kijem od flagi". Żukowska niczego nie zmyśliła – takie właśnie zachowania Katarzyny Augustynek zostały utrwalone i nietrudno znaleźć w sieci filmy je pokazujące.

Poza tym, że mamy do czynienia z wulgarnym babskiem, mamy też do czynienia z prowokatorką, która na swoich działaniach zarabia. Za rzekomo bezzasadne zatrzymanie w czasie protestów w 2020 r. pani Augustynek otrzymała 20 tys. zł zadośćuczynienia. Nie od dzisiaj jest też pod specjalną ochroną. W 2021 r. pani Augustynek wzięła udział w kolejnej manifestacji pod Sądem Najwyższym, gdzie wyzywała policjantów oraz miała ich zaatakować fizycznie. Od zarzutu najpierw uniewinnił ją sąd okręgowy, prokuratura wniosła kasację, a Sąd Najwyższy potwierdził uniewinnienie. Uzasadnienie należy umieścić wysoko na liście sądowych kuriozów: jakkolwiek faktycznie, zdaniem sądu, „Babcia Kasia" była wulgarna i agresywna wobec funkcjonariuszy, jednak miało to „znikomy ładunek społecznej szkodliwości", a poza tym miała prawo się zdenerwować, bo policjanci próbowali naruszyć wolność gromadzenia się. Innymi słowy – można policjantów lżyć, jeśli się jest na nich wystarczająco wkurzonym. I jeżeli jest się wulgarnym babskiem pod specjalną ochroną.

NIEKONSEKWENCJA PREZYDENTA

Dla pełnego obrazu sytuacji trzeba jeszcze wrócić do sceny, która rozegrała się w październiku 2020 r., kiedy czarne protesty odbywały się pod kościołami, a protestujący niejednokrotnie próbowali się do nich wdzierać – co czasem się udawało – aby zakłócić nabożeństwa. Kościoły były także niszczone poprzez malowanie na ich murach czy drzwiach haseł Strajku Kobiet.

Wtedy pojawili się obrońcy świątyń, wśród których byli również Robert Bąkiewicz i członkowie Straży Marszu Niepodległości. Scena rozgrywała się pod kościołem św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Pod schodami prowadzącymi do świątyni zebrał się tłum skandujący wulgarne hasła. Na podeście (wejście do kościoła jest powyżej poziomu chodnika) w towarzystwie policjantów, jednej młodej kobiety i Bąkiewicza spośród protestujących znajdowała się tylko Katarzyna Augustynek, która odmawiała opuszczenia – jak tłumaczył policjantom Bąkiewicz – terenu parafii. Pani Augustynek zaczyna w pewnym momencie krzyczeć: „Wyp…….ć, wszyscy wyp…….ć!". Do stojącej obok dziewczyny krzyczy: „Karlico! Spadaj!". Obecni proszą ją grzecznie, żeby zeszła ze schodów, na co ta odkrzykuje: „Jestem stara i głucha!". Robert Bąkiewicz zdejmuje pani Augustynek z pleców tęczową flagę i zrzuca w tłum na dole. „Babcia Kasia" jest coraz bardziej rozhisteryzowana. Jej wrzaski kontrastują ze spokojnym tonem, jakim mówią stojący obok niej.

W tym momencie wyraźnie słychać słowa policjanta: „Nie, my nie wyprowadzamy, my możemy asekurować. Panowie chcą wynieść – proszę bardzo". Dalej członkowie Straży Marszu Niepodległości upewniają się, że mogą agresywną niewiastę wyprowadzić. „Jak najbardziej, to jest wasz teren" – oznajmia funkcjonariusz. Wtedy właśnie dochodzi do sytuacji, która stała się podstawą wydania wyroku na Bąkiewicza: bliska stanu skrajnej histerii pani Augustynek zostaje siłą przez niego i jeszcze jedną osobę sprowadzona ze schodów. Sąd orzekł wobec Bąkiewicza rok prac społecznych w wymiarze 30 godzin miesięcznie – to naprawdę dużo – i 10 tys. zł nawiązki dla pani Augustynek.

Jeśli spojrzymy na sytuację w całości, a nie jedynie na jej poszczególne fragmenty, to decyzja Andrzeja Dudy nie wygląda już na tak dziwną, jak mogło się wydawać, skoro uciążliwość wyroku nie była przesadnie duża – nie było tam przecież mowy o pozbawieniu wolności. Bardziej zatem należy ten akt łaski widzieć jako swego rodzaju przywrócenie równowagi w systemie sprawiedliwości, do czego prezydent ma pełne prawo – istotą prawa łaski jest przecież jego dowolność.

Inna sprawa, że nawet w tej sprawie Andrzej Duda nie wykazał się ani konsekwencją, ani stanowczością, co jest chyba już znakiem firmowym jego prezydentury i co zostało trafnie skrytykowane przez Zbigniewa Ziobrę, byłego ministra sprawiedliwości. Akt łaski nie objął bowiem całości kary, a tylko prace społeczne. Nie dotyczy ani zatarcia skazania, ani – co w tym kontekście najgorsze – nawiązki. I to jest niepojęte. Prezydent na koniec swojej drugiej kadencji próbował się okazać asertywny, a okazał się znów miękki. Wulgarny babiszon kolejny raz za swoje chamstwo i agresję zainkasuje zaś okrągłą sumkę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fdc20b0008

„Miś” czy artysta? Kręta droga Michała Kamińskiego

Jan Fiedorczuk

Zaczynał jako narodowiec i konserwatysta, by z biegiem lat odkryć w sobie liberała, zwolennika aborcji i obrońcę LGBT. Kariera Michała Kamińskiego to jedna z najbarwniejszych politycznych historii III RP

W nocy z 3 na 4 lipca doszło do głośnego spotkania Szymona Hołowni z politykami PiS. W warszawskim mieszkaniu europosła Adama Bielana marszałek Sejmu miał spotkać się z Jarosławem Kaczyńskim oraz wicemarszałkiem Senatu Michałem Kamińskim. Największe cięgi od strony lewicowo-liberalnej za nocne schadzki zebrał sam Hołownia – jego samowolne dysputy z Kaczyńskim potraktowano jako jawną zdradę koalicji. Niewiele mniejsze oburzenie wywołał jednak Michał Kamiński. I to właśnie on, słynny „Miś”, jak się mawia o nim w środowisku, może ponieść realne konsekwencje.

W ostatnich dniach media informowały, że Koalicja Obywatelska naciskała na PSL w sprawie wycofania rekomendacji dla Kamińskiego na stanowisku wicemarszałka Senatu. Marcin Kierwiński z KO otwarcie mówił, że Kamiński powinien stracić funkcję wicemarszałka Senatu, ponieważ „z powrotem spodobał mu się Kaczyński”. Wtórowała mu poseł PO Dorota Łoboda, której zdaniem Kamiński „okazał się nielojalny” i próbował rozbić koalicję.

Faktem jest, że od pewnego czasu Kamiński podgryzał władze Platformy Obywatelskiej, do których ma ewidentny uraz za to, że kilka lat temu wyrzucono go z partii. W kwietniu twierdził, że jego kierowca dostał z Senatu pisemne polecenie o przekazywaniu informacji na temat jego „zdrowia i życia rodzinnego”. Wicemarszałek mówił, że jest szpiegowany, a władza stosuje „ubeckie metody” wobec niego. Po kilku dniach Kamiński wycofał się z zarzutów i przeprosił marszałek Senatu Małgorzatę Kidawę-Błońską za „nadmierną reakcję”.

eprasa.pl fdc20b0008

FOT. MARIAN ZUBRZYCKI/PAP

Z kolei tuż po przegranych wyborach prezydenckich Kamiński w bardzo ostrych słowach krytykował Donalda Tuska, de facto obarczając go odpowiedzialnością za klęskę. – Czy do kogoś, kto obrzucał błotem amerykańskiego prezydenta i nie jest w stanie go za to przeprosić, mam zaufanie? Moja odpowiedź brzmi: nie. Czy mam zaufanie do kogoś, kto losy mojej koalicji i wszystkich wartości, które są mi drogie, powierzył w ręce ludzi, których wieczorem, w niedzielę w noc wyborczą, widziałem, jak skaczą na własnym pogrzebie? – grzmiał polityk w czerwcu.

ARTYSTA I MENEDŻER

Z głośnym spotkaniem Kaczyńskiego z Hołownią wiąże się jeszcze jeden ciekawy szczegół, który umyka większości komentatorów. Jak ustalił Onet, mieszkanie pierwsi opuścili prezes PiS oraz marszałek Sejmu, jednak Michał Kamiński pozostał w apartamencie Bielana do godz. 2. Kamiński i Bielan znają się od lat, długo byli serdecznymi przyjaciółmi. Kamiński był świadkiem na ślubie Bielana, a z kolei Bielan jest chrzestnym córki Kamińskiego. To dopiero polityka podzieliła i rzuciła ich na dwie przeciwne strony barykady. Ich przyjaźń to jedna z wielu ofiar na wojnie PO-PiS.

Poznali się w 1995 r. w sztabie Hanny Gronkiewicz-Waltz, która ubiegała się o urząd prezydenta (Kamiński był rzecznikiem kampanii, a Bielan wolontariuszem). W 1997 r. obaj dostali się do Sejmu z list AWS, której częścią było Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, do którego należeli. W 2001 r. obaj weszli do Prawa i Sprawiedliwości, a po jakimś czasie narodził się pomysł, by zostali spin doktorami partii. Jak wynika z relacji polityków i dziennikarzy, mieli różne talenty i charaktery, dzięki czemu się uzupełniali. „Michał jest artystą, a Adam jego menedżerem" – miał kiedyś powiedzieć Jacek Kurski. Szczytem kariery tego duetu było podwójne zwycięstwo PiS w 2005 r., gdy Lech Kaczyński wygrał wybory prezydenckie, a Jarosław Kaczyński – wybory parlamentarne.

Trzęsienie ziemi przyszło pięć lat później, gdy po przegranych wyborach prezydenckich obaj politycy odeszli z PiS i związali się z nowo powstałą partią Polska Jest Najważniejsza, zrzeszającą byłych polityków PiS i PO. Po pół roku Adam Bielan został wyrzucony z PJN, a przyjaźń obu polityków powoli zaczynała obumierać. Bielan z czasem zaczął szukać powrotu na łono PiS, Kamiński tymczasem obrał kurs na partię Donalda Tuska. Artysta poszedł swoją drogą, menedżer – swoją. Dwa lata później „Miś" wydał wywiad rzekę, który przeprowadził z nim dziennikarz TVN24 Andrzej Morozowski. Książka przeszła do historii głównie za sprawą tytułu, który rzeczywistość miała niedługo boleśnie zweryfikować. „Koniec PiS-u", bo tak była zatytułowana publikacja, szybko trafił z księgarń do marketów na stoiska z przecenionymi pozycjami, gdzie znalazł poczesne miejsce obok poradników kuchennych i tanich kryminałów. Niemniej książka ta dobrze oddawała nastrój polityczny, który przyświecał Kamińskiemu. Bielan w rozmowie z „Newsweekiem" przekonywał po kilku latach, że jak widzi swego dawnego przyjaciela w telewizji, to zmienia kanał, żeby się nie denerwować. – On się nakręca nienawiścią do Kaczyńskiego. Przez nią odszedł od Kościoła i zaczął głosić lewicowe poglądy – mówił.

W 2014 r. Kamiński został kandydatem Platformy Obywatelskiej w eurowyborach. Jednak pomimo pierwszego miejsca na liście w okręgu lubelskim nie uzyskał reelekcji. Od tego czasu „Miś" był już całkowicie związany z PO. W kolejnym roku został sekretarzem stanu w kancelarii premiera, obejmując nadzór nad Centrum Informacyjnym Rządu, a następnie został głównym doradcą Ewy Kopacz, która po wyjeździe Donalda Tuska do Brukseli przejęła funkcję premiera. Kampania do parlamentu w 2015 r., której twarzą była właśnie Kopacz, okazała się fatalna. To zapewne najgorsza kampania w historii Platformy Obywatelskiej, a sam Kamiński, mimo że uzyskał mandat posła, nie miał powodów do radości – PiS po ośmiu latach wracał do władzy. Rok później, gdy władzę w PO przejął Grzegorz Schetyna, polityk został wyrzucony z partii za „wielokrotne złamanie" klubowego regulaminu. Jak sam przekonywał, był potraktowany niesprawiedliwie i nie krył żalu do Ewy Kopacz, która się za nim nie wstawiła.

Kamiński trafił do Unii Europejskich Demokratów, partii efemerydy o tak nikłym poparciu, że nawet sondażownie jej nie uwzględniały. Byłby to zapewne jego koniec, gdyby nie nagły ratunek w postaci sojuszu z PSL, który w 2019 r. pozwolił mu uzyskać mandat senatora. W 2023 r. wystartował z listy Trzeciej Drogi, uzyskując reelekcję.

OD PINOCHETA DO LGBT

Od narodowo-chrześcijańskiego ZChN i wielbiciela Augusta Pinocheta, przez członkostwo w PiS i PO, aż do Unii Europejskich Demokratów i Trzeciej Drogi. Partie i poglądy się zmieniały, a Michał Kamiński dalej utrzymywał się na politycznej powierzchni. – Przeszedłem długą drogę, ewolucję ideową. Każdy ma prawo się zmienić – przyznawał kilka lat temu Kamiński.

eprasa.pl fdc20b0008

Faktycznie, droga była długa. Kamiński zaczynał bowiem na antypodach lewicowo-liberalnej Koalicji Obywatelskiej – za młodu działał w Narodowym Odrodzeniu Polski oraz publikował artykuły w czasopiśmie „Młodzież Narodowa". Jeszcze w 2001 r. wyruszył do Jedwabnego, aby protestować przeciwko planom prezydenta Kwaśniewskiego, który chciał przepraszać Żydów za zbrodnię z czasów wojny. – Nie wolno oskarżać całego społeczeństwa Jedwabnego i Polaków o Holokaust. To służy ogólnoświatowej nagonce na Polskę – przekonywał Kamiński.

Droga z nacjonalistycznej prawicy do ZChN, a następnie PiS nie była tak zaskakująca, jak jego kolejne wybory polityczne. Jeszcze w 1998 r. zwracał się z trybuny sejmowej do posłów lewicy: „Jak na was patrzę, panowie, to wiem, że o generale Pinochecie nie trzeba mówić, tylko go trzeba naśladować". Rok później zresztą spotkał się osobiście z chilijskim dyktatorem, gdy ten był przetrzymywany w Anglii. Kamiński wręczył mu wówczas ryngraf z Matką Boską. Po latach wstydził się młodzieńczej fascynacji, przyznając, że żałuje słynnego wyjazdu do Anglii. – To była głupota, którą jestem w stanie wyjaśnić. Dość szybko to zrozumiałem. Do Pinocheta podchodziłem na prostej zasadzie: jeśli komuniści go opluwają, to jest dobry. Ale to tak nie jest. Żałuję tego – twierdził w rozmowie z „Rzeczpospolitą".

To, czego trudno nie zauważyć, to ciągłe łagodzenie kursu – przez lata była to jedyna stała tendencja w karierze „Misia". W młodości polityk był związany z silnie konserwatywnymi środowiskami, a jeszcze w 2000 r. w rozmowie z dziennikarzem wyśmiewał się ze „stowarzyszeń pedałów". – No ludzie tak mówią, to jak mam mówić? Przecież to są pedały – mówił dopytywany przez dziennikarza, czy dobór słów nie jest jego zdaniem obraźliwy.

Jednak wraz z dryfowaniem w kierunku centrum również jego podejście do religii zaczęło się gwałtownie zmieniać. Kamiński, który niegdyś twierdził, że jest „żarliwym katolikiem", po obraniu kursu na Platformę Obywatelską zaczął ostro krytykować Kościół, sprzeciwiał się nauczaniu religii w szkołach oraz domagał się likwidacji Funduszu Kościelnego. Sam natomiast zaczął określać się mianem antyklerykała. – Antyklerykalizm a religia to dwie różne rzeczy. Można być religijnym antyklerykałem. Jedno drugiemu nie przeczy. Ja koncentruję się na tym, byśmy odpowiedzieli sobie na pytanie, jak ma wyglądać nowa Polska, skoro i tak musimy ją zbudować. Stosunki państwo – Kościół są istotnym elementem tej konstrukcji – deklarował w 2017 r.

Z biegiem lat Kamiński zaczął też wspierać rewolucję kulturową, argumentując na rzecz środowisk LGBT i przekonując, że należy rozpocząć rozmowę o adopcji dzieci przez pary jednopłciowe.

Z biegiem lat Kamiński zaczął wspierać rewolucję kulturową, argumentując na rzecz środowisk LGBT i przekonując, że należy rozpocząć rozmowę o adopcji dzieci przez pary jednopłciowe

Po wybuchu wojny na Ukrainie stwierdził z kolei, że obok wielu innych rzeczy Ukraińcy umierają m.in. „za prawo do bycia homoseksualistami". Pewnym dopełnieniem tej przemiany było jego stanowisko z 2024 r., gdy w koalicji wybuchł spór o sprawę aborcji. Niegdysiejszy konserwatysta wprost opowiedział się za radykalnymi projektami zezwalającymi na zabijanie dzieci nienarodzonych. – Ja w ogóle nie jestem w sporze z Lewicą co do aborcji. Ponieważ ja mam poglądy w sprawie aborcji takie jak Lewica. Ja jestem za tym, żeby aborcja była legalna w Polsce do 12. tygodnia, bez żadnych ograniczeń – deklarował w rozmowie z RMF FM.

Trudno nie przyznać racji Kamińskiemu, gdy twierdzi, że przeszedł długą drogę w trakcie swej politycznej kariery. A pamiętajmy, że to przecież jeszcze nie koniec jego wędrówki.

KOLEJNY RAZ W CENTRUM UWAGI

I tak oto minęło 20 lat, a duet Kamiński-Bielan kolejny raz znalazł się w centrum zainteresowania opinii publicznej. Nieoficjalnie sporo polityków wskazuje tutaj na kluczową rolę „Misia", który miał w ostatnich tygodniach wręcz „omamić" Hołownię. Inni mówią, że Kamiński „podłożył bombę" pod rząd. – Jestem gotów się założyć, że cokolwiek się tam wydarzyło, to było z inicjatywy Michała Kamińskiego. Chciał rozegrać swoje szachy – mówi jeden z polityków PiS w rozmowie z „Newsweekiem". Część z polityków koalicji obawia się, że Kamiński bada, na ile możliwa jest współpraca PiS z PSL i Polską 2050, ale pojawiają się też zupełnie przeciwne głosy, jakoby polityk w ten sposób chciał doprowadzić do zmiany premiera i z nowym szefem rządu nie dopuścić do utworzenia rządu PiS-Konfederacja.

Bez względu na to, która z tych wersji jest prawdziwa, Kamiński musiał sobie zdawać sobie sprawę, że po tym, jak po wyborach prezydenckich otwarcie zaatakował Donalda Tuska, obarczając go odpowiedzialnością za porażkę, nie ma dla niego miejsca w koalicji. Sam premier zresztą bardzo usilnie się stara doprowadzić do jak najszybszego zdegradowania wicemarszałka Senatu.

Co Kaczyński i Bielan chcieli zyskać na nocnych rozmowach, jest raczej oczywiste – wysondowanie przeciwnika, zasianie niepewności w szeregach koalicji i destabilizacja obozu władzy, a być może budowanie mostów pod rozmowy koalicyjnej za dwa lata. Co jednak chcieli zyskać Szymon Hołownia i Michał Kamiński, jest już znacznie bardziej frapującym pytaniem. Czasem proste odpowiedzi są najbliższe prawdy. Kamiński przez ostatnie ćwierćwiecze zaliczył zapewne jedną z najbardziej spektakularnych ideowych przemian – od narodowca i konserwatysty do zwolennika aborcji i sojusznika LGBT. Zawsze jednak utrzymywał się na politycznej powierzchni. Czy to u boku Kaczyńskiego, Kopacz czy w końcu Tuska – zawsze potrafił spaść na cztery łapy. Obecne targi i knowania wydają się przygotowywaniem pola pod 2027 r., aby kolejny raz wylądować suchą stopą na bezpiecznej pozycji. Już za dwa lata zobaczymy, ile w „Misiu" zostało z politycznego „artysty".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fdc20b0008

Nasi, nie nasi i częściowo nasi

Piotr Semka

Sposób myślenia, który zaprezentowało Muzeum Gdańska, jest objawem tendencji do prowokowania, a nie szukania jakiegoś konsensusu na styku pamięci ogólnej i pamięci grup mniejszościowych. Wystawa „Nasi chłopcy" niesie ze sobą trudne do zaakceptowania spojrzenie na historię

Minęły dwa tygodnie od wybuchu dyskusji na temat wystawy pt. „Nasi chłopcy" w Muzeum Gdańska. Istotą sporego zamieszania wokół ekspozycji był fakt, że gdy kontrowersje wybuchły, wszyscy odnieśli się do tytułu i bardzo często na tym też dyskusja się kończyła. Duża część komentatorów nie oglądała wystawy, co natychmiast wykorzystali jej obrońcy do triumfalnego oskarżenia: „Nie widział wystawy, ale ją komentuje".

Aby uniknąć tego zarzutu, udałem się do Gdańska na wystawę w salach ratusza głównomiejskiego przy ulicy Długiej. Po starannym obejrzeniu ekspozycji mogę stwierdzić, że problem nie dotyczy tylko nazwy. Cała wystawa niesie ze sobą trudne do zaakceptowania spojrzenie na historię i niełatwo ją oddzielić od pewnych nowych tendencji w opowiadaniu o polskiej przeszłości.

RODZINNA PERSPEKTYWA

Zacznijmy od podstawowej kwestii, którą zazwyczaj przeoczano. Cała nazwa wystawy brzmiała: „Nasi chłopcy. Mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy". Wszyscy zainteresowali się pierwszym członem nazwy: „Nasi chłopcy". Była to swego rodzaju prowokacja, ale też przemyślane założenie filozoficzne całej ekspozycji. O tym za chwilę, a teraz skupmy się na drugim członie tytułu.

Owi „mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy" oznaczają, że wystawa dotyczy trzech bardzo różnych grup ludzi. Po pierwsze, Polaków z ukształtowanym poczuciem narodowym, choć oczywiście z różnymi partykularyzmami, np. Kaszubów czy Kociewiaków. W tym wypadku wystawa mówi o prawdziwym dramacie związanym najpierw z dylematem, czy przyjąć trzecią i czwartą grupę volkslisty czy nie, a potem – czy ubrać nienawistny mundur.

Ten dylemat był o wiele mniej dramatyczny w wypadku osób o chwiejnej tożsamości etnicznej. To byli ci wszyscy, których rodzice uważali się co prawda za synów pomorskiej ziemi, ale kierowali się swoistym pragmatyzmem. „Najpierw rządził Kajzer, potem na chwilę przyszła Polska, a teraz Niemcy wrócili i trzeba się dostosować, bo będą kłopoty".

Trzecią grupą byli Niemcy mieszkający na terenie polskiego województwa pomorskiego w latach 1920–1939, którzy wkraczający 1 września na te tereny Wehrmacht, witali jako wyzwolicieli. Odrzucali państwo polskie i szli do poboru, traktując go jako zrozumiały obowiązek, jeśli nie okazję do zademonstrowania niemieckiego patriotyzmu. Do tej grupy można zaliczyć też zdecydowaną większość byłych mieszkańców Wolnego Miasta Gdańska, którzy uważali się za Niemców.

Autorzy wystawy na takie rozróżnienie mieszkańców tych ziem się nie zdecydowali. Użyli określeń typu „byli to ludzie stąd, a więc nasi chłopcy". I dalej: „Ich rodziny żyją tu – na Pomorzu – do dziś". Czyżby? Niekoniecznie – 90 proc. tych, którzy czuli się Niemcami, wyjechało do Niemiec lub zostało tam przesiedlonych.

Niekiedy na wystawie pojawia się stosunkowo rzadko używane określenie „Pomorzanie". To zaniechanie oczywistego podziału na linii Niemcy pomorscy – Polacy pomorscy, który w czasie wojny był decydujący. Pokazuje to, że autorzy wystawy bardzo niechętnie wnikali w to, jaką narodową tożsamość mieli poszczególni powołani rekruci. Tyle że ma to swoje konsekwencje. Bo bez tego nie sposób stosować ocen moralnych. Innych w stosunku do Polaków, a innych wobec Niemców pomorskich. Przykładowo gdańska działaczka PiS Natalia Nitek-Płażyńska bardzo oburzyła się na fragment opisu wystawy wskazujący, że część rekrutów szła do Wehrmachtu w nastroju oczekiwania na męską przygodę czy szanse na odwiedzenie zagranicznych krajów. I gdyby ta wystawa rzeczywiście odnosiła się wyłącznie do osób czujących, że są Polakami, to oburzenie takie miałoby podstawy. Jednak autorzy ekspozycji w wygodny dla siebie sposób niejasno definiują, kogo dotyczy wystawa, zależnie od tego, jak jest im to wygodne. Gdy wybuchła burza, władze muzeum broniły wystawy, deklarując, że przecież dotyczy ona Polaków w obcych mundurach, a nie Niemców.

I dlatego tak ciężko dyskutować o tej ekspozycji. Bo jeśli wystawa miałaby być o Polakach zaciągniętych do niemieckiej armii wbrew ich woli, to powinno być na niej wspomnianych wiele rzeczy, których nie ma. Po pierwsze, opis skali terroru niemieckiego w pierwszych miesiącach po 1 września 1939 r. Po drugie, powinny być opisane techniki represji wobec tych, którzy nie zgodzili się na przyjęcie volkslisty i tym samym na objęcie obowiązkiem rekrutacji do armii. Na wystawie nie ma nic o ludziach, którzy zdobyli się na taki heroiczny opór. To np. przypadek Sylwestra Damazego Kaliskiego (1925–1978), który po odmowie

eprasa.pl fdc20b0008

Skoro nie wiadomo, czy wystawa jest o Niemcach w niemieckich mundurach czy o Polakach w uniformach feldgrau, to cały sens wystawy się rozmywa

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

służby do końca wojny siedział w niemieckich więzieniach i cudem przeżył. Po wojnie został słynnym fizykiem. To wreszcie los całkiem sporej grupy Polaków, którzy za odmowę przyjęcia volkslisty bądź karty powołania do Wehrmachtu trafili do obozu koncentracyjnego w Potulicach koło Bydgoszczy. Dziś jest w tym miejscu mały cmentarz zidentyfikowanych ofiar tego obozu, którzy swoją postawą pokazali, jaką cenę płaciło się za powiedzenie III Rzeszy „nie".

Skoro zatem nie wiadomo, czy wystawa jest o Niemcach w niemieckich mundurach czy o Polakach w uniformach feldgrau, to cały sens wystawy się rozmywa. A wtedy opisywanie, jak wyglądało przeszkolenie, z czego składały się elementy wyposażenia i umundurowania żołnierza czy wreszcie jak wyglądały przedmioty, które rodzina wysyłała na front i które żołnierz wysyłał do rodziny, tracą kontekst historyczny. Czasem tylko z pozornie beznamiętnej wyliczanki wynikają pytania, na które nikt w treści wystawy nie odpowiada. Jeśli bowiem autorzy wystawy wśród listy najczęściej wysyłanych przedmiotów z frontu do rodzin wymieniają np. futra, to aż prosi się o refleksję: Komu owi żołnierze Wehrmachtu te futra zabierali? Bo trudno przypuszczać, by przeciętnego żołnierza stać było na zakup tak luksusowego towaru w Paryżu, Brukseli czy np. w Belgradzie.

SAMI SWOI

Autorzy wystawy wybrali więc perspektywę rodzinną. Ktoś powie, że to nic dziwnego w sytuacji, gdy większość eksponatów – listy z frontu, zdjęcia czy pamiątki z czasów służby wojskowej – uzyskiwano od pomorskich rodzin byłych żołnierzy Wehrmachtu. Tyle że przyjęcie takiej perspektywy nie jest wcale neutralne. Bo żadna z rodzin chętnie nie przyjmuje do wiadomości, że ich ulubiony Franek, Józek czy choćby Hans (pamiętajmy, że wystawa nie dotyczy wyłącznie Polaków) mógłby robić w trakcie służby coś złego. Bo taka jest natura traktowania kogoś na linii podziału swój – obcy. Tyle że wymaga to od autorów wystawy zauważenia problemu i podkreślenia, że ktoś, kogo rodzina w naturalny sposób skłonna jest rozgrzeszać ze wszystkiego, mógł w mundurze Wehrmachtu robić rzeczy złe. Na przykład na rozkaz dowódców pacyfikować wioskę w Grecji czy Jugosławii podejrzewaną o pomaganie partyzantom. Nikt takimi rzeczami po powrocie z wojennej eskapady się nie chwalił, ale wykluczyć tego nie można.

Dlaczego autorzy wystawy przybrali właśnie taką rodzinną perspektywę? Mam osobiste podejrzenie, że jest to wynik lewicowej tendencji do afirmowania wszystkich grup mniejszościowych. W tym wypadku mieszkańców Pomorza czy – ściślej biorąc – Kaszubów lub Kociewiaków. W myśl „postępowych" tendencji ważne jest akceptowanie i emancypowanie grup mniejszościowych poprzez afirmowanie ich doświadczeń. A najlepiej jeszcze afirmowanie ich doświadczeń poprzez udowodnienie, że ich tradycja nie jest gorsza od tradycji grupy większościowej. Krótko mówiąc, udowodnienia, że służba w Wehrmachcie nie jest mniej zaszczytnym losem wojennym niż aktywność w Armii Krajowej czy udział w bitwie o Anglię po stronie aliantów.

Nie chodzi o prawdę, a o prowokację

Rozmowa z Eugeniuszem Pryczkowskim, wiceprezesem Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w latach 2007–2010 i 2019–2022, mieszkańcem Banina koło Gdańska

PIOTR SEMKA: Był pan na wystawie „Nasi chłopcy"?

EUGENIUSZ PRYCZKOWSKI: Byłem. I wzbudził mój sprzeciw jej infantylny tytuł. Wykorzystano na niej moje książki na temat losów Kaszubów w Wehrmachcie. Szkoda, że organizatorzy nie zadzwonili do mnie. W moim archiwum posiadam co najmniej trzy razy więcej materiałów na temat przymusowo wcielanych do wojska niemieckiego, niż jest na wystawie. I to naprawdę ciekawych!

Na wystawie niemal brak jest nagrań filmowych i radiowych żołnierzy. Są dwa nagrania wspomnieniowe z archiwów radia. Widocznie nikt z twórców wystawy nie rozmawiał z Kaszubami wcielonymi do niemieckiej armii. Ja mam sporo oryginalnych nagrań. I wiem, że oni o sobie nie mówili „nasi chłopcy", bo ich los był zbyt poważną kwestią. Nikt tam nie szedł dobrowolnie, o czym w zasadzie wszyscy zgodnie piszą, nawet ci, którzy pozornie się spierają.

Jak traktowano Kaszubów w obcym wojsku?

W swoich książkach opisuję, co dokładnie się działo w jednostkach Wehrmachtu. Jak Kaszubi byli maltretowani, jak gnębieni, jak mordowano i więziono ich rodziców etc. Tego z wystawy nikt się nie dowie. Za to przeczytałem, że mieli – cytuję – „niemieckich kolegów". Otóż tak nie było. To jest po prostu kłamstwo!

Pana ojciec został wcielony do Wehrmachtu?

Mój śp. ojciec, którego dotknął ten los, nigdy nie miał „niemieckich kolegów". Mało tego, był przez nich prześladowany w ramach jednego oddziału, był bity, nieomal zamordowany. Ale on też nie zostawał dłużny. Co najmniej raz, pewnie

eprasa.pl fdc20b0008

Notabene przez wiele lat po wojnie próbowano załagodzić ten dysonans pomiędzy większościowym losem Kaszubów czy Górnoślązaków a Polakami z centralnej Polski czy Kresów poprzez sugerowanie, że zdecydowana większość powołanych do Wehrmachtu odkupiła swe grzechy, przechodząc do armii Andersa czy np. do kościuszkowców. Taki był sens umieszczenia postaci Ślązaka Gustlika, który przeszedł na stronę sowiecką, w najpopularniejszym serialu wojennym „Czterej pancerni i pies".

Jednak ten konsensus – oparty jak każda umowa na pewnym uogólnieniu losów – przestał od pewnego czasu odpowiadać tym spośród Górnoślązaków czy Kaszubów, którzy domagali się absolutnej afirmacji losów zmuszających do noszenia niemieckiego munduru. Dobitnie ten pogląd przedstawił pisarz Szczepan Twardoch, który nie ukrywa, że czuje się Ślązakiem, i jednocześnie w swojej opinii nie jest Polakiem. Przy okazji dyskusji o wystawie „Nasi chłopcy" napisał, mając na myśli swoich przodków, którym zdarzało się zdobywać żelazne krzyże i niemieckie ordery za rany: „Dla nas to zawsze byli i będą nasi chłopcy, ale to jest nasza historia, innej nie mamy, póki żyje o nich pamięć. O tych moich pamięć pożyje trochę dłużej w moich powieściach. Do cudzej, waszej pamięci nie będziemy się zapisywać – z szacunku tak samo dla naszej, jak i waszej właśnie. Każdy należy do swojej i każdy ma do swojej prawo".

Zacytowane powyżej słowa Szczepana Twardocha to dobry przykład używania pamięci o „wujkach z Wehrmachtu" do dzielenia pamięci ogólnopolskiej i śląskiej jako dwóch odmiennych narracji niemających punktów stycznych. „Takich mamy bohaterów i nie mamy innych" – sugeruje pisarz z Pilchowic koło Gliwic. Nie mamy? Przecież dwóch znaczących hierarchów katolickich w latach drugiej wojny światowej pochodziło z Górnego Śląska. Prymas August Hlond więziony przez gestapo w opactwie Hautecombe we Francji pochodził ze śląskich Mysłowic. Naczelny biskup polowy bp Józef Gawlina urodził się w Strzybniku koło Raciborza. O nich Twardoch nie wspomina, bo dokonuje określonego wyboru. Wyboru tezy o niedającej się pokonać sprzeczności między polskością a śląską tożsamością. Tymczasem jest to określony wybór, a nie fatalizm okoliczności.

Na podobnej zasadzie swoistą dumę z posiadania przodka w Wehrmachcie zadeklarowała dziennikarka kaszubska, należąca do nurtu tej społeczności podkreślającego to, co różni Polaków od Kaszubów, Stasia Budzisz.

Pisarka wskazuje: „Ja też miałam dziadka w Kriegsmarine. W 1942 roku podpisał DVL, niemiecką listę narodowościową, i dostał powołanie. Nie wiem, czy zrobił to dobrowolnie czy pod przymusem. Nie wiem też, czy dziś to ma jakiekolwiek znaczenie. OK, może nie jestem z tego dumna, ale przecież nie wykreślę dziadka z pamięci mojej rodziny. Nie będę się też tego wstydzić, a jako dziennikarka chcę walczyć o to, by tą historią nikt już nie manipulował".

I ta wypowiedź jest bardzo charakterystyczna. Stasia Budzisz reaguje nerwowo i zapowiada, że będzie walczyć, by historią jej dziadka nikt nie manipulował. Jednak jednocześnie ona sama źle reaguje na jakiekolwiek określanie okoliczności losów jej przodka. Jak głosi, nie wie, czy dziś ma jakiekolwiek znaczenie to, czy podpisał volkslistę dobrowolnie czy pod przymusem. Ma do tego prawo. Jednak niech nie dziwi się, że dla kogoś innego ma to znaczenie. Nie po to, żeby prowadzić dziś śledztwo w sprawie przewin jej dziadka. Tylko po to, aby móc ocenić to zjawisko sprzed ponad 80 lat.

Autorzy wystawy na swój sposób roztoczyli parasol ochronny i unikali pytań o rozmaite przypadki, które wiązały się z opisaniem zjawiska powoływania mieszkańców Pomorza – Polaków, Niemców i osób o niezdefiniowanej do końca tożsamości narodowej – do armii niemieckiej. Niech nie dziwią się więc, że wystawa i jej nazwa wzbudziły tak ogromne emocje. Tym bardziej że sposób myślenia, który zaprezentowało Muzeum Gdańska, jest objawem tendencji do prowokowania, a nie szukania jakiegoś konsensusu na styku pamięci ogólnej i pamięci grup mniejszościowych. Ktoś ma ochotę wykurzyć pół Polski, a potem jest zdumiony, że wychodzą na jaw ostre emocje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

w akcie desperacji, także wymierzył sprawiedliwość niemieckiemu żołnierzowi za to, że przez niego został nazwany polską świnią. Ciekawe, że oficer (może nie był Niemcem?) nie ukarał go za to. Tata zawsze – do końca życia – był prawym Kaszubem i porządnym Polakiem. Za Kaszuby byłby w stanie oddać życie. W gruncie rzeczy tak się stało, bo przez powikłania wynikające z wojennej martyrologii zmarł na początku 1985 r.

Obrońcy wystawy sugerują, że jej krytyka to efekt podziałów politycznych?

Dla mnie sprawa ta nie ma absolutnie wymiaru politycznego. Ja nigdy nie byłem członkiem ani wyznawcą jakiejkolwiek partii. Dlatego napastliwy ton, który utrzymują ludzie z lewej strony wobec innych, podkreśla tylko, że nie o prawdę im chodzi, a o prowokację, kłótnię, rozmycie prawdy, no i znów negatywne wykorzystanie historii Kaszub dla własnych celów, bo istotnie głównie Kaszub ta wystawa dotyczy, choć organizatorzy i ten fakt nieco rozmywają.

Ja nie życzę sobie, by o moim śp. ojcu, bohaterze kaszubskim, gotowym oddać życie za tatczëznã (po kaszubsku ojczyzna), takie osoby mówiły trywialnie „nasz chłopak". On nigdy nie podejmował decyzji o wstępowaniu do wojska niemieckiego, uczyniono to za niego. Jak się to stało? Zapraszam do lektury moich książek, które – o dziwo – są na wystawie, lecz niewiele lub zgoła nic z nich nie skorzystano.

Samą wystawę uważam za pożyteczną. To dobrze, że mówi się o tej smutnej i trudnej prawdzie, o tej kolejnej formie martyrologii Kaszubów. Szkoda tylko, że w tytule nie napisano prawdy, że oni byli siłą wcieleni, że byli ofiarami niemieckiej agresji. No i szkoda, że tak dużo wątków politycznych się do niej wkradło. To niszczy tę wystawę. Ale pewnie głównie o to szło... Mimo to cieszę się, że trwa dyskusja, choć wolałbym, żeby nie odzywali się dyletanci, którzy nie przeczytali ani strony z moich książek z wystawy. Najpierw poczytajcie i spróbujcie zrozumieć.

rozmawiał Piotr Semka

eprasa.pl fdc20b0008

Był instytut, jest substytut

Radosław Wojtas

Czy zatrudniając szefa Instytutu Pileckiego, można było zaangażować historyka, który byłby bardziej odległy od misji tej instytucji niż jej obecny dyrektor? Może tak, ale nie trzeba by sięgać dużo dalej. Efekty były do przewidzenia i przyszły szybko

Otwarcie Domu Pamięci Obławy Augustowskiej. Od prawej: minister kultury Hanna Wróblewska, prof. Krzysztof Ruchniewicz, dyrektor Instytutu Pileckiego, i Aleksandra Czerobska, kierownik Domu Pamięci Obławy Augustowskiej FOT. MICHAŁ KOŚĆ/FORUM

Czara goryczy przelała się w środę 16 lipca za sprawą wpisu na oficjalnym koncie Instytutu Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego (IP) na platformie X. W przydługim oświadczeniu traktującym o wystawie w otwartym niedawno Domu Pamięci Obławy Augustowskiej (i nieobecności na tej ekspozycji postaci Maksymiliana Sznepfa, ojca kierownika polskiej ambasady we Włoszech Ryszarda Schnepfa, teścia zatrudnionej w TVP w likwidacji Doroty Wysockiej-Schnepf) kroplą przepełniającą czarę był ten fragment: „Porucznik Maksymilian Sznepf dowodził jednostką ludowego WP o wielkości 110–160 żołnierzy, która zatrzymała 22 osoby, z których część nigdy nie wróciła do domu. W Obławę zaangażowanych było 45 000 żołnierzy, udział jednostki Schnepfa stanowi jedynie 2 promile tych sił" (pisownia oryginalna).

Dziwna arytmetyka rozmieniająca na promile odpowiedzialność za mord na polskich patriotach, przebieranie tegoż mordu w słowa „część nigdy nie wróciła do domu", a także sam fakt, że instytut badawczy, którego powinnością jest prowadzenie polityki historycznej służącej interesowi państwa polskiego, staje po stronie zbrodniarza, wzburzyły opinię publiczną. Wpis wywołał tak poważny kryzys wizerunkowy, że instytut musiał na niego odpowiedzieć. Jednak zarzuty wobec działań obecnego kierownictwa IP formułowane są od wielu miesięcy.

PILECKI „WROBIONY W AUSCHWITZ"

Instytut Pileckiego, jeszcze jako Ośrodek Badań nad Totalitaryzmami im. Witolda Pileckiego, został powołany w 2016 r. Jego założycielką, a później dyrektorem była prof. Magdalena Gawin, ówczesna wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego. Resortem kierował prof. Piotr Gliński. O instytucie mówiono później, że jest „oczkiem w głowie Glińskiego", i rzeczywiście nie szczędzono środków na rozwój tej instytucji. Instytut Pileckiego to instytut badawczy, ale na tym jego rola się nie kończy. Miał zajmować się popularyzacją wiedzy o polskich bohaterach, a w praktyce – prowadzić aktywną politykę historyczną, stąd jego filie zagraniczne w Berlinie, szwajcarskim Rapperswilu i Nowym Jorku.

Jako że berliński oddział instytutu był w pewnym sensie także odpowiedzią na politykę historyczną Niemiec i zainteresował się m.in. kwestiami zagrabionych Polsce dzieł sztuki, już sama nominacja prof. Krzysztofa Ruchniewicza na szefa Instytutu Pileckiego w 2024 r. wzbudziła kontrowersje. To m.in. dlatego, że prof. Ruchniewicz – by użyć słów prof. Zdzisława Krasnodębskiego – nawet w środowiskach historyków wyjątkowo empatycznych w stosunku do Niemiec uchodzi za osobę najbardziej spolegliwą czy najbardziej dyspozycyjną, jeśli chodzi o sygnały ze strony niemieckiej.

Profesor Ruchniewicz kończył polskie i niemiecki uniwersytety, w Niemczech również wykładał. Był dyrektorem Centrum Studiów Niemieckich i Europej-

eprasa.pl fdc20b0008

skich im. Willy'ego Brandta na Uniwersytecie Wrocławskim. Zasiada lub zasiadał w niemieckich fundacjach. Za swoją działalność zdobywał również niemieckie odznaczenia. Czy to źle? Nie, kłopot nie w orderach i kompetencjach, lecz raczej w tym, że profesor wyznaje poglądy w wielu punktach sprzeczne z polskim, a zbieżne z niemieckim interesem narodowym. Wypowiedź prof. Ruchniewicza o tym, że Polska zrzekła się reparacji, że nie ma już żadnych środków prawnych i politycznych do ich uzyskania, powinna raczej paść z ust pełnomocnika niemieckiego, a nie polskiego rządu do spraw wzajemnych stosunków. A sugestia, że powinniśmy dokonać szczegółowych wyliczeń „przejętego przez Polskę prywatnego mienia niemieckiego", powinna się znaleźć w raporcie centrum kierowanym przez Erikę Steinbach, a nie przez późniejszego szefa ważnej instytucji odpowiedzialnej m.in. za politykę historyczną Polski.

Wizerunkom dyrektora i instytutu nie pomaga prokuratorskie postępowanie w sprawie naruszania przepisów podczas zawierania umów w Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich, w czasie gdy szefował mu prof. Ruchniewicz. W tej sprawie chodzi o kilkaset tysięcy złotych.

Zamykając już wątek nowych kadr w IP, nie sposób nie wspomnieć o wypowiedzi zastępcy dyrektora Instytutu Pileckiego Łukasza Mieszkowskiego, „kończącego doktorat poświęcony kryzysowi epidemicznemu, sanitarnemu i cywilizacyjnemu w początkach II Rzeczpospolitej". Otóż był on łaskaw powiedzieć, że patron instytutu „w misję do Auschwitz został w jakimś stopniu wrobiony". Słowa te padły podczas debaty w Muzeum Polin, a wicedyrektor chciał w ten sposób „troszkę zniuansować ten kontekst jego [Pileckiego] jednoznacznej, kryształowej odwagi".

ZWIJANIE ŻAGLI

Jedną z pierwszych decyzji prof. Ruchniewicza na stanowisku dyrektora Instytutu Pileckiego było odwołanie konferencji w Berlinie dotyczącej zrabowanych Polsce przez Niemcy dóbr kultury. Jak tłumaczył sam dyrektor Ruchniewicz, kiedy dowiedział się o tych planach, zaczął się głęboko zastanawiać, czy aby na pewno pracownicy berlińskiego oddziału instytutu są odpowiednimi osobami, by taką konferencję zorganizować. Po konsultacjach z Ministerstwem Kultury – które, co przypomniał dyrektor, pełni wiodącą rolę w zajmowaniu się kwestiami restytucji dóbr kultury – doszedł do wniosku, że „jeśli w ogóle będziemy się jako instytut zajmować tą problematyką, to przede wszystkim zorganizujemy konferencję i dyskusję w Warszawie".

Pracownicy berlińskiego oddziału instytutu są w wyraźnym konflikcie z nowym dyrektorem. Jak mówią „GW", większość dużych programów została zawieszona lub odwołana bez podania przyczyn, kontrola z centralą jest utrudniona, a dyrektor „ogranicza wolność słowa". W dwóch pozostałych oddziałach zagranicznych także nie dzieje się dobrze. W nowojorskiej filii instytutu, w siedzibie wynajętej tuż przed zmianą władzy, dopiero teraz, po dziewięciu miesiącach dyrektorowania Ruchniewicza, otwiera się pierwsza wystawa. Jest ona poświęcona Rafałowi Lemkinowi, wystawa o Pileckim ma pojawić się „po wakacjach". W Szwajcarii nici z przeprowadzki Muzeum Polskiego w Rapperswilu do zakupionego za rządów PiS za grube miliony hotelu Schwanen. W obiekcie, który miał być czymś w rodzaju polskiej ambasady kulturalnej, dzieje się niewiele więcej niż nic.

Kryzys nie ominął Centrum Lemkina, czyli instytucji powołanej po napaści Rosji na Ukrainę po to, by zbierać relacje świadków i dokumentować okrucieństwa oraz zbrodnie rosyjskich agresorów. Centrum relacji już nie zbiera i nie współpracuje z ludźmi, którzy na miejscu, często z narażeniem własnego bezpieczeństwa, gromadzili materiały. Monika Andruszewska, dziennikarka, która kierowała tym zespołem, ma instytutowi tyle do zarzucenia, że jest to materiał na osobny tekst.

Gorzko o dyrektorze wypowiada się Jack Fairweather, autor światowego bestselleru o Pileckim. Ze współdziałania z instytutem niezadowolone było Muzeum Auschwitz-Birkenau, które zrezygnowało ze współpracy (ten pożar udało się ugasić, instytucje będą dalej kooperować). Wybudowane za czasów prof. Gawin muzeum Dom Pamięci Obławy Augustowskiej otwarto niedawno i bardzo szybko zredukowano w nim zatrudnienie z dziewięciu do zaledwie sześciu osób.

W OBRONIE DYREKTORA

O tym wszystkim pisały media, ale dopiero po nieszczęsnym tweecie o Sznepfie kryzys wizerunkowy napęczniał do takich rozmiarów, że pod dywanem się już nie miał prawa zmieścić. Trzeba było zareagować i zrobiono to na osobliwej, trwającej bite dwie godziny konferencji prasowej. Najpierw wystąpił sam dyrektor, który dużo mówił o profesjonalizacji instytutu, o tym, że IP jest i być powinien przede wszystkim placówką badawczą. Mówił o optymalizacji finansowej i rozrzutności poprzedników. Wiele miejsca poświęcił audytom, na stoliku przy pulpicie mówcy ustawiono nawet kilka segregatorów z dokumentami.

Jeśli chodzi o filie, to badano możliwość rozwiązania umowy na lokal w Nowym Jorku, ale kosztowałoby to tyle, co utrzymanie najmu, a skoro tak, to właśnie otwiera się tam pierwsza wystawa. Przyszłość hotelu w Szwajcarii wisiała na włosku, a instytut czekał na decyzję minister Wróblewskiej odnośnie do tego, czy coś tam w ogóle robić czy może jednak nieruchomość powinna iść pod młotek. Zapadła decyzja, by nie sprzedawać, ale zdaje się, że nie ma jeszcze pomysłu na to, co dalej. Centrum Lemkina nie będzie już zbierać relacji świadków, ale być może zajmie się opracowywaniem i ujmowaniem w raporty relacji zbieranych przez innych.

Po dyrektorze wystąpili współpracująca z Centrum Lemkina Iuliia Miziukina i zastępca ambasadora Ukrainy w Polsce Roman Szepeliak. Pani Miziukina mówiła m.in. o tym, że kiedy nastał pan dyrektor Ruchniewicz, to centrum mogło złapać drugi oddech i poświęcić się pracy nad raportami. Z kolei wiceambasador podziękował polskiemu Ministerstwu Kultury – i uczynił to bez zbędnego wdawania się w detale takie jak przypominanie nazwisk Piotra Glińskiego czy Magdaleny Gawin – że taka instytucja jak Centrum Lemkina w ogóle została powołana. Ale szczególnie gorąco – i tu już pamiętał o nazwisku – podziękował odwołanej kilka dni później minister kultury Hannie Wróblewskiej za to, że „swoją osobistą decyzją przedłużyła działanie tej instytucji".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

O OBŁAWIE AUGUSTOWSKIEJ CZYTAJ NA STR. 56

eprasa.pl fdc20b0008

Andrzej Krzystyniak

Niewielkie mniejszości, jak mniejszość niemiecka, potrafią wywrzeć na organach państwa polskiego większą presję niż polski rząd wraz z podległymi mu instytucjami na Niemcach. Przykładem może być sprawa upamiętnienia w Berlinie polskich ofiar niemieckiego terroru z czasów drugiej wojny światowej

Postać Wojciecha Korfantego uwieczniona w Panteonie Górnośląskim

FOT. PANTEON GÓRNOŚLĄSKI W KATOWICACH

Nasz mały kulturkampf

Dwie pozornie niezwiązane ze sobą sprawy, dwa różne miejsca, a jednak posiadające wspólny mianownik: bezradność i ustępowanie państwa polskiego przed żądaniami mniejszości. Śląsk pozostaje od kilkunastu lat regionem, w którym coraz bardziej rozpędza się machina rugowania polskości, marginalizowania polskiej kultury i dorobku. Makieta w Świętochłowicach – na obszarze po dawnym niemieckim obozie koncentracyjnym, przekształconym po wojnie w obóz komunistyczny „Zgoda" – niebawem prawdopodobnie zmieni napis z „niemiecki obóz koncentracyjny" na „nazistowski". Będzie to zgodne z żądaniem mniejszości niemieckiej oraz środowisk skupionych wokół Ruchu Autonomii Śląska nazywanych „regionalistami".

Do postulatów obu środowisk niebawem może dołączyć Panteon Górnośląski, instytucja zarządzana do niedawna przez czterech gospodarzy: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Śląski Urząd Marszałkowski, archidiecezję katowicką oraz miasto Katowice. Instytucja powstała w 2020 r. (uroczyste otwarcie miało miejsce w czerwcu 2022 r.) z inicjatywy ówczesnego arcybiskupa metropolii katowickiej, Wiktora Skworca, ma na celu (jeszcze) upamiętnianie osób „zasłużonych dla polskości Śląska", stosowny ku temu zapis poczyniono w statucie instytucji. Wspomniana „polskość Śląska" od pierwszych dni powstania Panteonu budziła nieskrywaną wściekłość „regionalistów" oraz mniejszości niemieckiej. Oskarżano, wyszydzano czy wręcz zarzucano, że celem utworzenia Panteonu Górnośląskiego była – to nie żart – „próba wynarodowienia Ślązaków". Jeden z publicystów, sympatyzujący z Ruchem Autonomii Śląska, nazwał w jednym z periodyków powstanie Panteonu „antyśląską krucjatą PiS-u". Wszystko to można by było określić nie czym innym, jak dziwacznym antypolskim zacietrzewieniem o widocznym groteskowym charakterze, gdyby nie to, iż całkiem niedawno MKiDN wycofało się z roli współgospodarza tejże instytucji. Dla bystrego i logicznie myślącego obserwatora oznacza to ni mniej, ni więcej otwieranie drogi ku zmianie statutu instytucji mającej na celu wprowadzenie do Panteonu osób narodowości niemieckiej. Widoczny się staje fakt, że państwo polskie po raz kolejny kapituluje i oddaje pole mniejszościom, które swoje żądania artykułują w dosyć jasny sposób. Nie potrzeba wiele wysiłku, by zauważyć, że we wspomnianych żądaniach pojawia się zawsze w sposób pozytywny wątek niemiecki, a „regionaliści", którzy nie bardzo potrafią ukryć swoich niemieckich sympatii, będą z oburzeniem reagować na przypisanie im proniemieckości. Oburzenie, które wzniecili wobec napisu określającego niemiecki obóz koncentracyjny właśnie niemieckim na makiecie na terenie obozu „Zgoda", doprowadziło do szybkiej zapowiedzi „korekty" zaraz po zmianie władzy po wyborach samorządowych. Zresztą to nie pierwszy taki przypadek – po zmianie układu sił politycznych w sejmiku województwa śląskiego w roku 2022 dość szybko zmieniono nazwę Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego na Regionalny Instytut Kultury. Być może Polska w nazwie instytutu naukowego bardzo raziła „regionalistów", toteż należało ją zmienić.

„PRZEDWOJENNY BLASK" WROCŁAWIA

Na marginesie warto wspomnieć, jak na obszarach zachodniej Polski, Ziemiach Odzyskanych, przywracana jest

eprasa.pl fdc20b0008

niemieckość. Dla przykładu: początkiem lipca br. mieszkańcy Wrocławia mogli dowiedzieć się z mediów, jak to w ich rodzinnym mieście odzyska „swój przedwojenny blask" wraz z odrestaurowanym niemieckim napisem „Kaiserbrücke" most Grunwaldzki. To zresztą niejedyny taki przypadek swoistej regermanizacji Ziem Odzyskanych. Warto przy tej okazji wspomnieć, że w połowie marca br. odbyło się w Morągu oficjalne otwarcie Muzeum Prus Górnych. Instytucji kultury, która – jak informuje MKiDN – „przybliża historię i dziedzictwo dawnych ziem pruskich". Zdumiewać może nazwa, która dla Polaków brzmi co najmniej złowrogo, ale kto by się tym przejmował, wszak chodzi o „pielęgnowanie tożsamości kulturowej regionu". Muzeum Górnych Prus – jak poinformował podczas jego uroczystego otwarcia marszałek województwa Marcin Kuchciński – „powstało dzięki środkom samorządu województwa, wsparciu programów krajowych i europejskich oraz zaangażowaniu muzealników i ekspertów, udało się stworzyć miejsce, które łączy tradycję z nowoczesnością".

Z kolei śląscy „regionaliści" byliby skłonni widzieć nazwę „Polska" wyłącznie w odniesieniu do terminu „polski obóz koncentracyjny", jak w przypadku wspomnianego obozu „Zgoda". Warto sobie przy tej okazji zadać pytanie, czy dodatkowo nie mamy do czynienia z próbą antagonizowania regionu z resztą kraju. Przy czym dodajmy, że Polska ma być postrzegana jako twór, który zmarnował Śląsk – jak małpa z powiedzenia brytyjskiego premiera, która „zepsuła darowany jej zegarek". Polska to również okupant, który tłumi od 1945 r. śląską tożsamość i nie dopuszcza do jej pełnego rozwoju.

RELATYWIZACJA ZBRODNI NIEMIECKICH

Zdecydowanie w sposób wielce odmienny przedstawiany jest dorobek niemiecki na Śląsku, pokazywany wręcz jako wyraz „wyższości cywilizacyjnej", którą Polska oczywiście, zdaniem „regionalistów", zmarnowała. Na dodatek wspomnijmy raz jeszcze, że Polska zdaniem Ruchu Autonomii Śląska i jego akolitów jest po 1945 r. winna represji wypędzeń i mordów, zamykania mniejszości etnicznych: Ślązaków i Niemców w „polskich obozach koncentracyjnych". Łatwo w tym dostrzec próbę relatywizacji niemieckich zbrodni poprzez obarczanie Polski i Polaków zbrodniami komunistycznymi. Tymczasem polskie ofiary niemieckich niezliczonych zbrodni czasu drugiej wojny światowej nie mogą przez państwo niemieckie doczekać się właściwego upamiętnienia w stolicy Niemiec. Nie mogą i prawdopodobnie długo jeszcze nie doczekają się godnego upamiętnienia. Co ciekawe, to, czego nie potrafią wymóc na państwie niemieckim rządy prawie 40-milionowego narodu, potrafi w Polsce niewielka liczebnie, obecnie nawet bez przedstawicieli w polskim parlamencie, mniejszość niemiecka. To mniejszość niemiecka zażądała zmiany napisu na „Zgodzie", chyba nie bardzo zdając sobie sprawę, że zgodnie z polskim prawem, a dokładniej mówiąc – z art. 6a ust. 2 ustawy z dnia 21 listopada 1996 r. o muzeach (Dz.U. 2022, poz. 385), „organy właściwe w sprawach wydawania zezwoleń na wykonanie trwałych znaków i obiektów upamiętniających walki i męczeństwo wydają zezwolenie po zasięgnięciu opinii ministra kultury i dziedzictwa narodowego z zastrzeżeniem uprawnień prezesa Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, o których mowa w art. 53l ustawy z dnia 18 grudnia 1998 r. o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu" (Dz.U. 2023, poz. 102). Prowadzenie działalności związanej z upamiętnianiem miejsc, wydarzeń i postaci historycznych w dziejach walk i męczeństwa narodu polskiego, zarówno w kraju, jak i za granicą, w okresie od 8 listopada 1917 r. do 31 lipca 1990 r., zgodnie z art. 1 pkt 6 ww. ustawy należy do właściwości IPN. Na tę chwilę, jak poinformowało MKiDN, jeszcze nie dotarła prośba o wyrażenie opinii w tej sprawie. Inna rzecz, że MKiDN przyznało gospodarzowi miejsca, czyli miastu Świętochłowice, pieniądze m.in. na „korektę" napisu bez wcześniejszego uzgodnienia skorygowanej treści. Z kolei z informacji uzyskanych w Urzędzie Miejskim w Świętochłowicach wiemy, że trwają obecnie konsultacje z Instytutem Pamięci Narodowej co do zmiany napisu. Całość robót na „Zgodzie" ma zakończyć się w listopadzie bieżącego roku.

Dorobek niemiecki na Śląsku pokazywany jest jako wyraz „wyższości cywilizacyjnej", którą Polska oczywiście, zdaniem „regionalistów", zmarnowała

Również przedstawiciele tejże niewielkiej liczebnie wspólnoty mniejszości niemieckiej żądają, by we wspomnianym Panteonie Górnośląskim upamiętniać nie tylko zasłużonych dla polskości Śląska, lecz także, a może przede wszystkim Niemców, którzy wnieśli „pozytywny wkład" w rozwój Śląska, cokolwiek to może oznaczać. Mimo że Zarząd Związku Niemieckich Stowarzyszeń Społeczno-Kulturalnych w Polsce (ZNSSK) z wielkim rozczarowaniem i niedowierzaniem przyjął odpowiedź dyrektora Panteonu Górnośląskiego w Katowicach z 15 kwietnia 2025 r., odrzucającą wniosek o włączenie do grona zasłużonych osób Panteonu Górnośląskiego takich postaci, jak: ks. Karl Ulitzka, Eduard Pant, Josef von Eichendorff, Johann Kroll, Ludwig Guttmann, sądzę, że kwestią czasu jest, kiedy statut tejże instytucji zostanie zmieniony zgodnie z żądaniem mniejszości niemieckiej i „regionalistów".

Dobrym prognostykiem, mówiąc ironicznie, dla tego typu działania jest wycofanie się Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego z roli współgospodarza. Ciekawe, jak to niewielkie liczebnie i bez swoich reprezentacji politycznych mniejszości, jak mniejszość niemiecka, potrafią wywrzeć na organach państwa polskiego na jego własnym terytorium większą presję i wymusić uległość polskich instytucji i władz niż polski rząd wraz z podległymi organami na Niemcach, np. w sprawie upamiętnienia polskich ofiar w Berlinie, próbując nieudolnie przez kilkanaście lat bez efektu upamiętnić w stolicy Niemiec polskie ofiary niemieckiego terroru z czasów drugiej wojny światowej. Ten swoisty Kulturkampf przebiega co prawda powoli, jednak skutecznie i głównie polskimi rękoma.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fdc20b0008

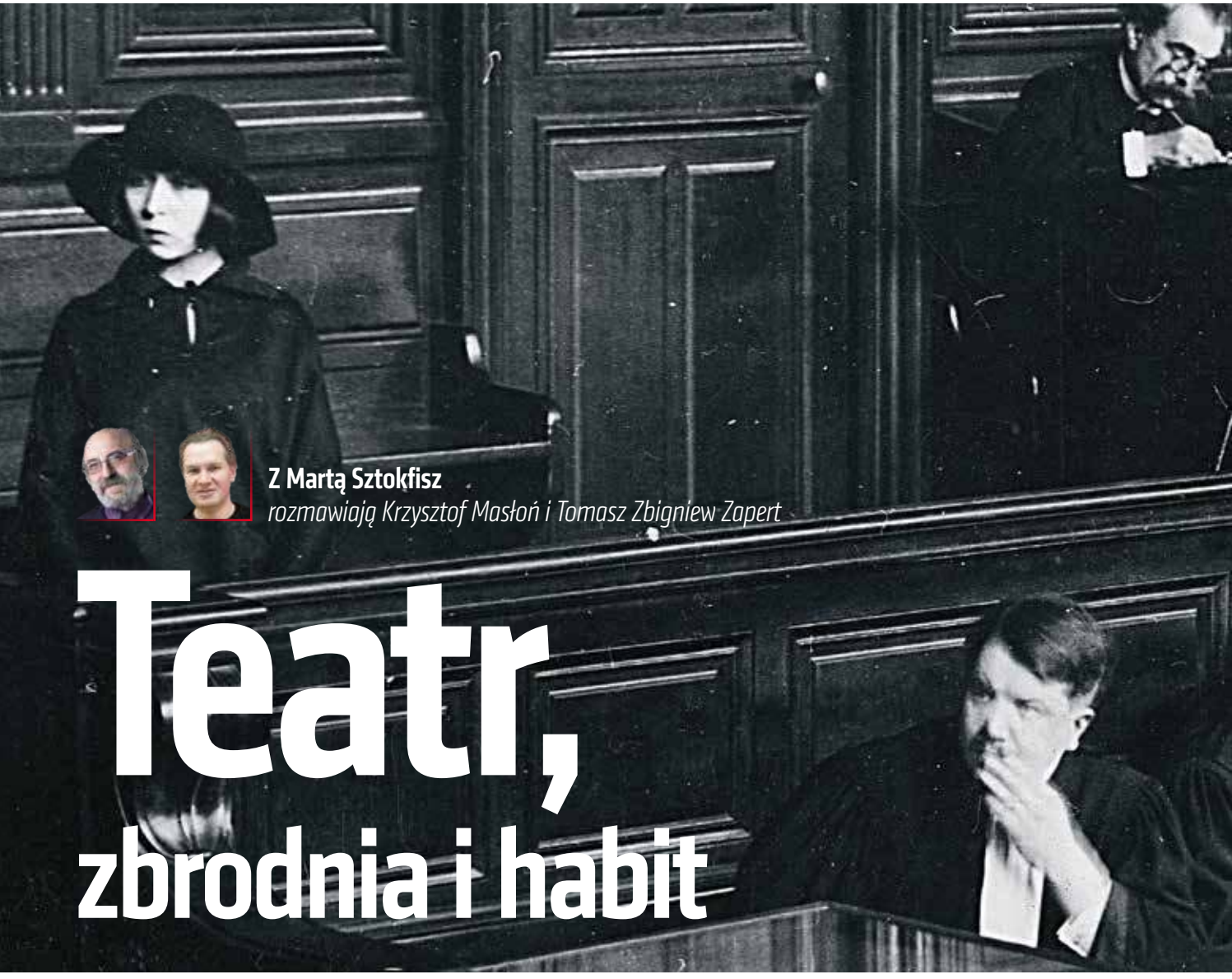

Z Martą Sztokfisz
rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Teatr, zbrodnia i habit

KRZYSZTOF MASŁOŃ, TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Jak natrafiła pani na bohaterkę swojej najnowszej książki, której curriculum vitae potwierdza powiedzenie Krzysztofa Kąkolewskiego, że los jest bezkonkurencyjnym scenarzystą?

MARTA SZTOKFISZ: Dziś nie mamy pojęcia, kim była Stanisława Umińska. Ja też tego nie wiedziałam do czasu lektury „Dzienników" Anny Iwaszkiewiczowej, żony Jarosława. Natrafiłam tam na dwa zdania dotyczące współczucia dla biednej Umińskiej wobec nieszczęścia, które ją spotkało, i od razu zerknęłam do przypisu, gdzie wyjaśniono, iż zabiła swego narzeczonego, będącego w ostatnim stadium choroby nowotworowej. Chory cierpiał, środki przeciwbólowe już nie pomagały. Kiedy to przeczytałam, moja pisarska skłonność do grzebania w ciekawych życiorysach kazała mi zająć się tą osobą. Bardzo mnie w tym wsparła koleżanka, która przetłumaczyła wiele artykułów z prasy francuskiej, ponieważ Stanisława Umińska, młoda, zdolna aktorka, kreowana przez reżyserów na przyszłą Modrzejewską, swego narzeczonego zastrzeliła w Paryżu.

W jakich okolicznościach do tego doszło?

Leżąc na łożu śmierci, wcisnął jej do ręki rewolwer i zmusił, aby nacisnęła cyngiel. Uległa mu, za co jestem na nią zła, bo powinna mu rzec: „Mój ukochany, pomimo że cię uwielbiam, nie zrobię tego, gdyż grozi mi więzienie, a może i szafot. Oddaję ci broń, możesz sam skrócić swoje męczarnie".

Spełniła prośbę konającego, stanęła przed sądem, a po uniewinnieniu została zakonnicą.

Zdarzyło się to przeszło 100 lat temu, incydent pokrył kurz niepamięci. Habitem odgrodziła się od życia. Stanowił parawan, za którym mogła się odseparować od popularności, którą przyniosło jej aktorstwo teatralne. Zasłynęła zwłaszcza kreacją Puka w inscenizacji „Snu nocy letniej" Szekspira, podziwiano jej przeszło

eprasa.pl fdc20b0008

Stanisława Umińska na sali rozpraw, Paryż, 1925 r. FOT. NAC

20 ról w Teatrze Polskim, zdążyła zagrać epizod tylko w jednym filmie, „Panu Twardowskim".

Przybrała imię zakonne Benigna, piastowała nawet funkcję przeoryszy. Okazała się kobietą troskliwą, przedsiębiorczą organizatorką, a podczas okupacji – bohaterką.

Wtedy ponownie nawiązała styczność z teatrem?

Znacznie wcześniej dyskutowano, czy wróci do zawodu. Gdy po rozprawie sądowej przez wiele miesięcy dochodziła do siebie, walcząc z depresją, zgłosili się do niej przedstawiciele Hollywood. W losach Umińskiej dostrzegli idealne tworzywo na szlagierowy wyciskacz łez – melodramat. Za możliwość ekranizacji miłosno-zbrodniczego epizodu oferowali zawrotne honorarium. Nie zamierzała jednak „sprzedawać" prywatności. Postąpiła inaczej niż współczesne artystki, lubujące się w ekshibicjonizmie, niekiedy sprzedające nawet własną intymność.

Powrót do aktorstwa w ogóle nie wchodził w rachubę?

Usilnie namawiał ją do tego Arnold Szyfman, dyrektor Teatru Polskiego w Warszawie, wówczas bodajże najbardziej prestiżowej sceny w kraju. Bezskutecznie. Natomiast inny tuz Melpomeny, Aleksander Zelwerowicz, rekomendował ją do zakonu. Wydaje mi się, że z momentem pozbawiania życia Jana Żyznowskiego zabiła swój talent. Diametralnie zmieniła osobowość. Po traumatycznym doświadczeniu nie mogła już wcielać się w często banalne postacie sceniczne.

Pora przedstawić drugą personę tej love story pozbawionej happy endu...

Jan Żyznowski, starszy 12 lat od Umińskiej, był malarzem i pisarzem. W oddziałach bajończyków Legii Cudzoziemskiej bronił Francji przed atakiem armii niemieckiej, co wykorzystał potem w batalistycznej twórczości literackiej. Jeszcze podczas działań wojennych znalazł się w Piotrogrodzie, wykazując aktywność w gronie tamtejszej Polonii, zaprzyjaźnił się m.in. z Witkacym oraz Eugeniuszem Małaczewskim, na własne oczy oglądał rewolucję bolszewicką. W niepodległej Polsce zajął się dziennikarstwem, przede wszystkim pisując recenzje – głównie plastyczne – choćby dla opiniotwórczych „Wiadomości Literackich". Przed poznaniem Umińskiej miał już za sobą małżeństwo. Żona zmarła w trakcie połogu, razem z noworodkiem.

Jan przypominał typ macho. Uwiódł Umińską stanowczością, uporem i siłą charakteru. Podporządkowała mu się. Podzielała jego zainteresowania, a nie odwrotnie. Stali się nierozłączną parą wyróżniającą się w kręgu stołecznej bohemy. Spekulowano na temat terminu i miejsca ich ślubu. Jednak wkrótce on zachorował na wyjątkowo złośliwego raka. Wobec braku efektów leczenia w Warszawie pojechał do Paryża, by poddać się nowatorskiej terapii. Chociaż narzeczona w niczym nie mogła umierającemu pomóc, to postanowiła go odwiedzić, zresztą wbrew sugestiom lekarzy i bliskich. Była całkowicie uzależniona od Jana. Usiłowałam poznać najdrobniejsze detale z biografii tej niepospolitej kobiety, która miała pecha – wyciągnęła z talii życia niefortunną kartę.

Proces w Paryżu ogniskował uwagę międzynarodowej opinii publicznej?

Można tak śmiało powiedzieć. Wiele redakcji delegowało nań specjalnych wysłanników. Kwestie prawne gruntownie analizował na łamach polskiej prasy wybitny adwokat, Mieczysław Ettinger (później obrońca Rity Gorgonowej). Sprawa wzbudziła tak wielkie zainteresowanie, że wstęp był za biletami – nietanimi. Skład jurystycznego trybunału, zdecydowanie życzliwego oskarżonej, tworzyli Francuzi, lecz Umińską wspierał także przybyły z Warszawy mecenas Gustaw Beylin, młoda gwiazda palestry, świetnie znający dzięki siostrom – Karolinie, recenzentce teatralnej, i Stefanii, tłumaczce – środowisko artystyczne. Wyrok uniewinniający przyjęto z ulgą i entuzjazmem.

Gdy po powrocie do Polski doszła do względnej równowagi psychicznej, postanowiła radykalnie zmienić swoje życie i tak, po wielu perturbacjach, narodziła się s. Benigna, zakonnica Zgromadzenia Sióstr Benedyktynek Samarytanek Krzyża Chrystusowego, z czasem przeorysza kilku samarytańskich placówek, w których najpierw opiekowała się młodocianymi przestępczyniami, częstokroć nieletnimi prostytutkami, a w Polsce Ludowej dziećmi niepełnosprawnymi umysłowo. Wspaniałą kartę zapisała s. Benigna w latach okupacji hitlerowskiej, udzielając w podwarszawskim Henrykowie schronienia potrzebującym, nierzadko żydowskiego pochodzenia, i we współpracy m.in. z Ireną Sendlerową ratując dzieci żydowskie.

Ryzykując życie, bo groziła za to śmierć. Wykazała się odwagą, hartem ducha i bezinteresownością. A w domu w Henrykowie – dziś to ul. Modlińska 257 – wróciła też do teatru, absolutnie wyjątkowego, wystawiając – ze swymi podopiecznymi w obsadzie – „Pastorałkę" Leona Schillera. Ten spektakl uchodzi za jedno z najważniejszych wydarzeń kulturalnych okupowanej Warszawy. Oglądali je m.in. Czesław Miłosz, Andrzej Trzebiński,

eprasa.pl fdc20b0008

Andrzej Łapicki i Witold Lutosławski.

Schiller mieszkał w Henrykowie przez półtora roku.

Umińska, która jeszcze w 1919 r. grała w pierwszej wersji „Pastorałki", początkowo poprosiła go jedynie o udostępnienie tekstu. On jednak, widząc zaangażowanie dziewcząt i zapewne tęskniąc do pracy w teatrze, wyreżyserował spektakl. I tak w konspiracyjnych warunkach powstało poruszające arcydzieło.

Portret Stanisławy Umińskiej, ok. 1924 r.

FOT. NAC

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że Schiller – przed wojną sympatyk komunizmu, a po wojnie członek PZPR – po tym, jak w związku z zabójstwem Igo Syma, został wywieziony do Auschwitz, skąd wykupiła go rodzina, przeżył nawrócenie, zostając oblatem benedyktyńskim. A z Umińską łączyły go serdeczne relacje.

Miała wielu przyjaciół ze środowiska artystycznego. Znała dobrze poetów, prozaików, plastyków, publiczność ją lubiła, a krytycy dopieszczali, chwalili m.in. Antoni Słonimski i Kornel Makuszyński. Debiutowała na scenie, będąc nastolatką. Była pracowita, a przy tym bezkonfliktowa, żywo interesowała się literaturą. Jej narzeczony znajdował zarazem wytchnienie i spełnienie w malarstwie, a ona w książkach. Później, już w zakonie, brakowało jej możliwości wymiany myśli, podzielenia się refleksjami z lektur, a czytała wiele, miała ulubionych autorów, np. François Mauriaca. Stąd tak ważną postacią stał się dla niej jej bratanek, Zdzisław Umiński. Nie tylko dobry dla niej i opiekuńczy, lecz także – co może najważniejsze – będący odpowiednim partnerem intelektualnym. Traktowała go jak syna, bo przecież swoich dzieci nie miała, a więzy krwi uważała za bardzo ważne.

Umiński, też w czasie okupacji pomieszkujący w Henrykowie, w okresie PRL pisywał w prasie PAX-owskiej, publikował książki, był laureatem Nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka. Liczna rodzina Stanisławy też zasługuje na wspomnienie.

Miała dziewięcioro rodzeństwa, jej ojciec był wozakiem, mama służącą. Ojciec szybko awansował, powodziło im się coraz lepiej, ambicją stało się zapewnienie dzieciom wykształcenia, co się powiodło. Stanisława marzyła o aktorstwie, skończyła kursy wokalno-dramatyczne Heleny Hryniewieckiej. Rodzina była zgodna, dzieci pomagały rodzicom i sobie wzajemnie, choć różnica wieku między najstarszym i najmłodszym potomkiem państwa Umińskich wynosiła… ćwierć wieku. Jedynym wydarzeniem kładącym cień na tej familijnej harmonii był życiowy wybór najstarszego z rodzeństwa Kazimierza, który związał się z bolszewikami, wyjechał do Moskwy, a do kraju usiłował wrócić latem 1920 r. w szeregach armii Budionnego. Jego brat, Antoni, wstępując wówczas ochotniczo do Wojska Polskiego musiał, jako niepełnoletni, uzyskać zgodę matki – ojciec wtedy już nie żył – co też niezbyt chętnie uczyniła. Szczęśliwie z wojny wrócił niedraśnięty, a Kazimierz osiadł w Rosji, ożenił się tam, został ojcem, pracował, a w 1937 r. zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach, prawdopodobnie padając ofiarą czystek. W domu rodzinnym nie wymieniano nawet jego imienia, poza Stanisławą, bo to była osoba wybaczająca i prosząca o wybaczenie.

Po wojnie kierowała kilkoma samarytańskimi domami, m.in. w Lublinie, Mierzęcinie i Zalesinie. Zawsze podkreślała, jak wiele zawdzięcza Jadwidze Jaroszewskiej, s. Wincencie, będącej dla niej najwyższym autorytetem i wzorem etycznym. To dzięki niej dostała się do Stowarzyszenia Samarytanek, co nie było łatwe. Wcześniej np. nie chciano jej u szarytek – przez brak posagu, ale przede wszystkim ze względu na otaczającą ją atmosferę. Dla sióstr była to pewnie zła sława.

Z przykrością muszę powiedzieć, że z podobnym myśleniem zetknęłam się w trakcie pisania tej książki. Po 100 latach od tamtych bulwersujących opinię publiczną wydarzeń! Stanisława Umińska zastrzeliła swego narzeczonego 15 lipca 1924 r., a jej proces rozpoczął się 8 lutego 1925 r. Podczas dokumentacji skontaktowałam się z zakonem, który musi przecież posiadać informacje o przebiegu jej służby, o niej samej. Prosiłam o dostęp do archiwów, niestety, odmówiono mi. I tak drzwi, które spodziewałam się zastać szeroko otwarte, zostały przede mną zatrzaśnięte. Dlaczego? Przypuszczam, że s. Benigna wciąż pozostaje dla zakonnic kimś wstydliwym, kogo należy przesłonić, ukryć. Miała kochanka i go zabiła, no, nie pasuje to do obrazu idealnego, lecz mającego niewiele wspólnego z rzeczywistością.

Wygląda jednak na to, że sama Stanisława nie do końca sobie wybaczyła i po latach jeszcze będzie pytać: Czy był to wyłącznie akt miłości i współczucia, a może brak moralności?

Rzadko o tym mówiła, uważała to za sprawę osobistą, ale w jednym z listów postawiła pytanie: „Czy mówię całym swoim życiem, że nie było wolno?". A Oldze Boznańskiej wyznała kiedyś: „»Wstrząsnęłam opinią publiczną« – pisano, ale sobą najbardziej potrząsnęłam i to wrażenie trwa".

Umińska zmarła w 1977 r. Spoczęła na cmentarzu w Niegowie, na Mazowszu, w powiecie wyszkowskim, gdzie mieści się główna siedziba Zgromadzenia Samarytanek. Kwatera s. Benigny znajduje się nieopodal grobu zmarłej 40 lat wcześniej tak bliskiej jej sercu matki Wincenty, Jadwigi Jaroszewskiej. I cóż, świat miał już odtąd zupełnie o niej zapomnieć?

Nie do końca. Portrecista Edward Głowacki narysował jej udaną karykaturę. Znajdowała się w zbiorach Muzeum Teatralnego w Warszawie, które wypożyczyło ją Teatrowi Polskiemu. Stamtąd w 2012 r. została skradziona. Widać ktoś zapragnął mieć ją u siebie. Na własność, na wyłączność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Marta Sztokfisz *– dziennikarka (m.in.: „Sztandar Młodych", „ITD", „Express Wieczorny", „Kulisy", „Sukces") oraz pisarka. Autorka takich książek, jak m.in.: „Cena sławy", „Księżniczka deptaku", „Chwile, których nie znamy. Opowieść o Marku Grechucie", „Jerzy Hoffman. Gorące serce", „Jadwiga Grabowska. Caryca polskiej mody, święci i grzesznicy", „Pani od obiadów. Lucyna Ćwierczakiewiczowa. Historia życia" oraz najnowszej – „Umińska. Miłość, która zabiła".*

eprasa.pl fdc20b0008

Wesele z piekła rodem

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Krzysztof Masłoń

Najważniejsze słowa w „Weselu", poronionym tworze Stanisława Wyspiańskiego, galicyjskiego pacykarza, w chwilach wolnych od bolesnych ataków syfilisu parającego się również piórem, wypowiada niejaki Nos:

Piję, piję, bo ja muszę,
bo jak piję, to mnie kłuje;
wtedy w piersi serce czuję,
strasznie wiele odgaduję:
tak po polsku coś miarkuję –
szumi las, huczy las:
has, has, has.
Chopin, gdyby jeszcze żył,
toby pił –
has, has, has,
szumi las, huczy las.

No jasne, szumi dokoła las, a czy to jawa czy sen, wiedziała jedynie ta „szlachta", która – jak to zgrabnie ujął jakiś czas temu Janusz Szpotański – „z Tuły i Kiachty na tankach przywiozła swój herb". Jak np. wsławiony w obławie augustowskiej Maksymilian Schnepf. Powymierali niestety bohaterowie tamtych dni, którzy to wespół w zespół z towarzyszami radzieckimi oczyścili naszą ziemię z polskiego, tfu, nacjonalizmu. Żyją, na szczęście, ich dzieci i wnuki, a już o należne im jak psu buda przywileje dba miłościwie nam panujący Donald I Tusk. I tych, którym się to nie podoba, weźmie on za pysk. „Niech boją się chamy, / na chamów my sramy, / cham jesteś, bydlaku, to cierp" – jak pisał Szpot.

Od chamów w „Weselu" – o zgrozo, uznawanym za literackie arcydzieło – opędzić się nie sposób. Gospodarz całego bałaganu dowodzi, że „chłop ma coś z Piasta" i „potęgą jest i basta", a inny znów czereśniak nazywany Czepcem przechwala się, że „chłop chłopskim rozumem trafi, / choćby było i daleko. / A i my tu cytomy gazety / i syćko wiemy!". Istne peeselowce!

Dobrze chociaż że Radczyni temperuje nazbyt pewną siebie chamkę, Kliminę, podkreślając: „Wyście sobie, a my sobie. / Każden sobie rzepkę skrobie". Zresztą i Czepiec przyznaje, że „Ptok ptakowi nie jednaki, / człek człekowi nie dorówna, / dusa dusy zajrzy w oczy, / nie polezie orzeł w gówna". A całe to ciągnące się niczym smród po gaciach „Wesele" kończy się Chocholim śpiewem: „Miałeś, chamie, złoty róg, / miałeś, chamie, czapkę z piór: / czapkę wicher niesie, / róg huka po lesie, / ostał ci się ino sznur". Z ekranizacji Andrzeja Wajdy z 1972 r. wiemy, że Janosik, akurat tam występujący jako roztargniony Jasiek, który gubi mityczny złoty róg, nie zrobił należytego użytku ze sznura, tylko jakieś mary snuły się wokół niego, no i robiący za Chochoła Niemen wył i wył.

Chochoła na wesele w Bronowicach zaprosiła Rachel, rozpoetyzowana córka Hersza Singera. Naprawdę na imię miała Pepa i skończyła 15 lat, a jak to weselne zamieszanie wpłynęło na życie jej ojca, żydowskiego karczmarza, zgrabnie opisał Roman Brandstaetter w opowiadaniu „Ja jestem Żyd z »Wesela«. Mówiąc krótko, szynkarzowi wstyd było tego, że znalazł się w literaturze. Bo i co porządny Żyd – pytał retorycznie – ma w niej do roboty? Szczególnie w takiej literaturze, ociekającej – jak wszystko, co zostało napisane przez Polaków – antysemityzmem, wyssanym przez nich z mlekiem matki.

Trzeba było teatralnego geniuszu Mai Kleczewskiej, by w pełni wyeksponować antyżydowski wydźwięk „Wesela". I tak w spektaklu wystawionym przez nią w Krakowie (a gdzieżby indziej!) polski Rycerz Czarny zagląda żydowskim chłopcom do rozporków, zabijając ich, po stwierdzeniu oczywistej oczywistości, jednego po drugim. Bo i na co innego stać polskich nacjonalistów? Szkoda, że nie zaszlachtowanych co do jednego w czasie rzezi galicyjskiej w 1846 r., o której Pan Młody wspomina: „Myśmy wszystko zapomnieli; / mego dziadka piłą rżnęli…". Tym samym zadaje kłam niesłusznie rozpowszechnionej tezie, jakoby na to nowatorskie posługiwanie się piłą (i to nie mechaniczną) wpadli dopiero Ukraińcy na Wołyniu, niemal 100 lat później. Nieprawda, wskrzeszony ostatnio bohater tzw. ludowej historii Polski – Jakub Szela – był w tej materii prekursorem.

Cóż, wszystkie te sceny, znane aż za dobrze z horrorów klasy B, podsumowuje się w „Weselu" następująco: „Wina ojca idzie w syna; / niegodnych synowie niegodni; / ten przeklina, ów przeklina – / ród pamięta, brat pamięta, / kto te pozakładał pęta / i że ręka, co przeklęta, / była swoja".

Podobnie niegłupich nawet cytatów można w sztuce Wyspiańskiego znaleźć więcej, nie zmienia to jednak ogólnego wrażenia, że w tym śnie wariata śnionym nieprzytomnie, w którym duchy pląsają pod rękę z krakowską cyganerią sprzed 125 lat, jeśli coś się promuje, to: antysemityzm, pedofilię i alkoholizm.

W postaci Nosa, który jakże słusznie twierdzi, że w tym kraju nawet Chopin rozpiłby się jak nieboskie stworzenie, doszukiwano się pomniejszych zalkoholizowanych malarzyn spod Wawelu, a także Stanisława Przybyszewskiego, pisarza zapomnianego, a dawnymi laty znanego i cenionego w całej Europie na czele z Niemcami. Dziś w Polsce wytyka mu się, że w życiu osobistym i zwłaszcza rodzinnym był pospolitym bydlęciem, jakby nie było oczywiste, że artystom wolno znacznie więcej niż zwykłym śmiertelnikom. Mógłby Wyspiański poświęcić mu swoje „Wesele", on jednak wolał ze Stańczyka zrobić Powstańczyka, bredzić o przyszłym zrywie narodowym, a Nosa obsadzić w epizodzie i kazać mu przemawiać:

znam, znam: eviva l'arte,
życie nasze nic niewarte:
kult Bachusa i Astarte.
Ha! Trza znosić Fata, Los,
konsekwentnie próżny trzos;
o Wielkościach darmo śnić,
trzeba żyć, trzeba żyć. –
Bonaparte, ten miał nos.

Pewnie, że Napoleonowi nie dorówna byle kinol. A Goethemu i Schillerowi jakiś Wyspiański. Pochowano go na Skałce – i dosyć. A w naszej zdrowej fizycznie i moralnie szkole, zarządzanej przez Barbarę Nowacką (jeszcze?), nie ma dla niego miejsca. Uczniowie niech obejrzą sobie któreś „Wesele" Smarzowskiego, najlepiej to z 2021 r., i tyle w tym temacie. ©℗

eprasa.pl fdc20b0008

Narodziny potwora

Piotr Gociek

Latem 1975 r. Steven Spielberg otworzył nową erę w dziejach kina. Na dobre i na złe

Jeśli chociaż połowę z tego uda ci się pokazać na ekranie – powiedział George Lucas, przeglądając storyboardy Spielberga – to nakręcisz największy hit wszech czasów.

Działo się to nieco ponad pół wieku temu w pewnym hangarze w Hollywood, gdzie specjaliści od efektów specjalnych budowali naturalnej wielkości model wielkiego rekina. W gronie gości oprócz George'a Lucasa byli wtedy także Martin Scorsese i John Milius. Nikt, ze Spielbergiem na czele, nie wiedział jeszcze, jaką męką okaże się praca nad filmem zatytułowanym po prostu „Szczęki” („Jaws”). A znaki były na miejscu: sztuczny rekin nie wyglądał nazbyt przekonująco. Co gorsza, nie działał.

PRZEPIS NA KATASTROFĘ

Rok później zadziałały jednak i rekin, i magia kina. Kiedy latem roku 1975 „Szczęki” trafiły na ekrany amerykańskich kin, rozpoczęła się histeria, która odmieniła historię Hollywood. Nie jest prawdą, jakoby był to pierwszy fenomen kinowy lat 70. na taką skalę, wcześniej przemysłem filmowym wstrząsnęły m.in. fenomenalne wyniki finansowe „Ojca chrzestnego” Francisa Forda Coppoli oraz „Egzorcysty” Williama Friedkina. Chodziło jednak o coś więcej niż tylko pieniądze: o to, że zwykły (teoretycznie) produkt rozrywkowy może stać się naraz gorącym tematem dyskusji jak kraj długi i szeroki, we wszystkich grupach społecznych. Tak jak bywało to za dawnych czasów, w złotej erze Hollywood.

Bez wątpienia jednak „Szczęki” otworzyły nową epokę. Epokę wakacyjnych blockbusterów. I były jednym z przebojów tak wielkich, że kręcenie filmów zainteresowało naraz ludzi, którzy nigdy wcześniej nie przypuszczali, że mogliby zainwestować w hollywoodzkie budżety: ludzi z prawdziwymi pieniędzmi. Panów Korpo. Panów Księgowych. Panów Inwestorów.

W znakomitej książce o kinie lat 70. „Easy Riders, Raging Bulls” Peter Biskind opisuje rozmowę, do której doszło w lutym 1974 r., kiedy do wytwórni Warner Bros. zaczęły spływać wyniki finansowe z dystrybucji „Egzorcysty”. Specjalista od promocji Richard Lederer miał powiedzieć producentowi Barry'emu Beckermanowi: „Młody, zabawa się skończyła. W Nowym Jorku są ludzie, którzy patrzą na te liczby i mówią: »To takie pieniądze są do zrobienia w branży filmowej?«. Świetnie się bawiliśmy, w dodatku z sukcesem, ale teraz zrobi się naprawdę poważnie”.

No i zaczęło się. Nakręcony za 12 mln dol. „Egzorcysta” zarobił ponad 441 mln dol. Zrobione za 9 mln dol. „Szczęki” przyniosły rok później 447 mln dol. Dwa lata po „Szczękach” George Lucas swoimi „Gwiezdnymi wojnami” znokautował rynek: włożone w produkcję 11 mln zamieniło się w 775 mln dol. wpływów. Poważni ludzie od poważnych pieniędzy chcieli powtórki. Żeby każdy film był jak „Szczęki”. I żeby każdy dawał podobną stopę zwrotu. Kino do dziś nie otrząsnęło się z tego szoku. Inna sprawa, że ten model produkcji właśnie się na naszych oczach wyczerpuje. Pół wieku później.

Wróćmy jednak do „Szczęk”. Cofnijmy się do chwil, kiedy wszystko dopiero nabierało kształtu: Spielberg nie miał pojęcia, czy, kiedy i jak dokończy przeciągające się zdjęcia. Rekin wciąż nie działał albo działał nie wtedy, kiedy trzeba. Scenariusz poprawiano na planie, sporą część dialogów po prostu improwizując. Mieszkańcy wyspy Martha's Vineyard, gdzie kręcono, byli bardzo przejęci tym, że grają w filmie (tylko osiem ról w „Szczękach” obsadzono zawodowcami), ale nie aż tak przejęci, jak szefowie studia Universal z Richardem Zanuckiem na czele, którzy uważali, że decyzja o kręceniu na otwartym morzu była szaleństwem i że tego filmu po prostu nakręcić się nie da. Dołóżmy do tego chłodną

eprasa.pl fdc20b0008

Kadr z filmu „Szczęki” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

pogodę, niekończące się oczekiwanie na dobre ujęcie pośród fal zimnego Atlantyku, nieustannie kłócących się aktorów (Roy Scheider i Robert Shaw ciągle skakali sobie do oczu, Richard Dreyfuss w ogóle nie chciał grać w „Szczękach”, odrzucał rolę trzykrotnie), ponad 100 dni produkcji ponad plan – i będziemy mieli przepis na katastrofę.

MORSKI FILM SAMURAJSKI

Dobrze atmosferę tamtych dni oddaje film dokumentalny „Szczęki: 50 lat kinowego hitu” („Jaws @ 50: The Definitive Inside Story”, 2025), który niedawno trafił do streamingu (Disney+, Polsat Box Go). Jego reżyserem jest Laurent Bouzereau, który wyspecjalizował się w dokumentalnych opowieściach o sekretach Hollywood, czego efektem były m.in. filmy o Faye Dunaway, Natalie Wood i – co ważne w kontekście „Szczęk” – o kompozytorze Johnie Williamsie. To właśnie w filmie „Muzyka filmowa: John Williams” („Music by John Williams”, 2024) mogliśmy oglądać uroczą scenę, kiedy to Spielberg i Williams wspominają po latach pracę nad „Szczękami”, ze szczególnym uwzględnieniem głębokiego rozczarowania reżysera, gdy kompozytor zagrał mu długo wyczekiwany motyw przewodni filmu. „To wszystko?” – nie mógł przeboleć. „Dwie nuty?!”.

Dziś, kiedy wszyscy wiedzą, że skończyło się dobrze, łatwo wracać na plan „Szczęk” z nostalgią. W filmie Bouzereau sam Spielberg wspomina prace nad filmem jako koszmar. „Marzyłem o tym, by wrócić do domu” – powtarza. Zresztą jego zdaniem to właśnie jest ukryty temat słynnego thrillera – wszyscy bohaterowie chcą powrócić do domu, tylko niektórym będzie to dane. To zaskakująca interpretacja, ale do obrony. I oczywiście niejedyna. Jak każde dzieło wybitne (a „Szczęki” są w swym gatunku osiągnięciem wybitnym) film Spielberga daje wiele możliwości analizy. Jedni będą szukali w nim przesłania ekologicznego (zostawmy naturę w spokoju, w oceanie to my jesteśmy intruzami), dla innych „Szczęki” to klasyczny pojedynek o korzeniach mitologicznych, w którym zabicie potwora jest ostateczną próbą dla bohatera. John Milius po przeczytaniu scenariusza oświadczył, że Spielberg kręci morski film samurajski. I tak dalej.

Ja chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jeden przełom, którego dokonał późniejszy twórca „E.T.”, a jest to rzecz, której nie kojarzymy dziś z typowym „kinem spielbergowskim”. Kwestia zrozumiała natomiast była dla tych, którzy czekając w 1975 r. na „Szczęki”, mieli w pamięci debiutancki „Pojedynek na szosie” (1971) Spielberga, film do „Szczęk” podobny i bardziej zadłużony u Alfreda Hitchcocka oraz Rogera Cormana niż zwiastujący późniejsze familijne dokonania Spielberga. Choć oryginalnie nakręcony dla telewizji, „Pojedynek” w niektórych krajach trafił na ekrany kin, budując reputację Spielberga jako mistrza suspensu. Główny bohater ścigany jest przez tajemniczego przeciwnika kierującego wielką ciężarówką. Wygląda to jak „Szczęki” na lądzie.

Człowiek ścigany przez bezdusznego, bezlitosnego przeciwnika – nie innego człowieka, lecz tajemniczą, niepowtrzymaną siłę. Spielberg w „Szczękach” stworzył tę tak popularną we współczesnym kinie formułę i zarazem doprowadził ją do perfekcji. „Obcy” („Alien”, 1979) Ridleya Scotta to właściwie „Szczęki” w kosmosie. Powtórkę z rozrywki, znaczy z pojedynku z rekinem, dostajemy de facto w każdym filmie, gdzie w ramach survival horror bohater zderza się ze złem upostaciowionym. Spójrzmy choćby na „Bestię” („Beast”, 2022) Baltasara Kormákura. Głównego bohatera granego przez Idrisa Elbę prześladuje wielki krwiożerczy lew ludojad. Rzecz rozgrywa się na lądzie, ale formułę ustalił Spielberg na wodzie.

Świętej pamięci Maciej Parowski napisał kiedyś świetny tekst analizujący „Obcego” w kategoriach „obcy jako diabeł”. Oryginalny zwiastun „Szczęk” z roku 1975 sięgał po podobne porównanie. Zarówno rekin u Spielberga, jak i ksenomorf w „Obcym” symbolizują potężną wrogą siłę niemożliwą do objęcia ludzkim rozumem, zło pierwotne, potęgę, wobec której skazani jesteśmy na klęskę. Wygrać z takim wrogiem nie sposób, można jedynie walczyć o przetrwanie. To właśnie takie ustawienie tematu sprawia, że publiczności naprawdę ze strachu chodzą po plecach ciarki. To tak naprawdę nas przeraża. Księgowi, którzy przejęli władzę nad Hollywood, są oczywiście z tego zadowoleni, bo tak zdefiniowany potwór zawsze musi wrócić, ku uciesze liczykrupów oraz autorów sequeli.

Jednocześnie Spielberg wiedział coś, o czym jego naśladowcy często zapominają. Potwór, niezależnie od tego, jak przerażający, niepokoi nas tylko wtedy, gdy grozi bohaterom, z którymi możemy się utożsamić, którym kibicujemy, w których skórę wchodzimy. Rację ma więc reżyser, gdy przypomina, że „Szczęki” to nie jest film o rekinie, ale o ludziach. Samotne trio wyruszające na morze, by stawić czoła nieznanej bestii to obraz archetypiczny, zrozumiały w każdej kulturze, pod każdą szerokością geograficzną. Podobnie jak idylliczna wioska, którą w każdej chwili dotknąć może niezrozumiały kataklizm. Zło czai się za rogiem. Trzeba mu się przeciwstawić. Bo jak nie my, to kto?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fdc20b0008

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Kto zabił Lucy?

★★★★☆☆

MINISERIA „DZIKOŚĆ" („UNTAMED")
USA 2025

wyst. Eric Bana, Sam Neill, Lily Santiago

Dzicz wyzwala w ludziach to, co najgorsze. Czy w tych, którzy jej strzegą, także? Choć nowy serial Marka L. Smitha („Świt Ameryki") porównywany bywa z „Detektywem", to jest to porównanie mocno na wyrost. Robota jest solidna głównie dzięki świetnej obsadzie – agenta federalnego tropiącego zabójcę młodej dziewczyny gra Eric Bana, a jego szefa – Sam Neill. Bana tworzy kreację podobną do tych, które pamiętamy z australijskich ekranizacji powieści o Aaronie Falku – doświadczony detektyw z własną ciężką traumą z przeszłości. Znamy, widzieliśmy, zwłaszcza kiedy zagląda do kieliszka albo wzdycha do ekszony, która wybrała mniej skomplikowanego męża.

A jednak „Dzikość" wciąga, bo przepiękny jest narodowy park Yosemite, w którym rozgrywa się ta cała historia. Fabuła jest na szczęście mniej rutynowa od przyczyny kłopotów psychicznych głównego bohatera. Młoda Lucy zginęła, spadając z wysokiej skały. Zdarza się. Ale, po pierwsze, ktoś ją wcześniej ścigał i postrzelił, a po drugie, ofiara jest zaginioną przed laty dziewczyną, za której zabicie (teraz już wiemy, że mordu nie było) ktoś słono zapłacił. Park Yosemite jest może i przepiękny, ale zamieszkujący jego obrzeża ludzie – już niekoniecznie. Mamy więc i nielegalny biznes narkotykowy, i polowania dla sportu, a nawet dziwaczną komunę wyrzutków pośrodku głuszy, którzy chcieliby być wolnymi ludźmi, a tak naprawdę są zwykłymi lumpami.

Najsłabsze w miniserii podbijającej ostatnio Netflixa są dialogi – przegadane, zbyt często oczywiste i banalne, szczególnie gdy scenarzyści siłą się na filozoficzną głębię (odzywki w stylu „nie ma dziczy bez dzikości"). Dużo lepiej wypadają majestatyczne góry, niesamowite lasy, dzikie skały oraz zbolała twarz Bany skontrastowana z uśmiechniętym obliczem jego pomagierki – byłej policjantki z Los Angeles, która w Yosemite stawia pierwsze kroki jako strażnik (w tej roli sympatyczna i utalentowana Lily Santiago). „Dzikość" tylko udaje szarpiący nerwy oryginalny i podszyty dodatkowymi znaczeniami wildlife noir, tak naprawdę jest to robota rutynowa, acz zręczna. ©℗

GRA TYGODNIA: „TONY HAWK'S PRO SKATER 3+4"

★★★★☆☆

Remake części pierwszej i drugiej wyszedł świetnie i gdybym miał wybierać tylko jeden tytuł, to brałbym „1+2". W dwójkę przed laty zagrywałem się godzinami, ale nie chodzi wyłącznie o nostalgię. Część czwartą nieco okrojono (usunięty klasyczny tryb kariery z „otwartym" – na miarę pierwowzoru rzecz jasna – światem). Jest za to nowa zawartość, która pasuje do całości. A poza tym dobry gameplay, ulepszona, ale zachowująca klimat szata graficzna i mnóstwo zabawy nie gorszej niż w pierwowzorach. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *sportowe*
- ***Platforma:*** *PS5, PS4, XSX, XONE, NS, NS2, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Iron Galaxy Studios, Activision Blizzard*

eprasa.pl fdc20b0008

Gorzka Kapusta

W radiu debiutuje Wesoła Lwowska Fala, Hitler zostaje kanclerzem, Amerykanie szykują się do zniesienia prohibicji, a z Veracruz wypływa linowiec do Bremerhaven. Bez obaw: nie napotka w drodze góry lodowej. Na dolnym pokładzie podróżuje plebs, czyli 600 hiszpańskich robotników, którzy stracili pracę w następstwie machinacji bossów przemysłu cukrowego. Smutna sprawa, psuje nastrój ludziom, którzy mają serca po lewej stronie, lecz fabuła jak zwykle koncentruje się na pasażerach pierwszej klasy. Dwadzieścia sześć dni to aż nadto, by dać się poznać ze złej i dobrej strony. Będziemy naocznymi świadkami scysji, skandali, romansów, a nawet przedwczesnego zgonu. Poznamy dramaty małe i wielkie, jednak najciekawsze będą niewinne rozmowy przy stole.

W roku 1965, gdy „Statek szaleńców" wyruszył w rejs po kinowych ekranach, anegdota o durniu, który mógłby dalej udawać bystrzaka, gdyby się nie odezwał, wydawała się bardzo na czasie. W filmie (tak jak w powieści Katherine Anne Porter) chodzi raczej o ludzi zachowujących się niemądrze niż o regularnych wariatów. Listę otwierają zblazowany kapitan (dziwnie podobny do Marcina Dorocińskiego), rozczarowany życiem lekarz i deportowana z Kuby awanturnica narkomanka. Drugi plan tworzą m.in. kaznodzieja hipokryta, malarz kontestator, groteskowy nazista tudzież zespół flamenco, który zarabia nie na tańcu i śpiewie.

Kobiety, nawet nowoczesne, są spragnione romantycznego uczucia. Zakompleksieni mężczyźni z trudem stają na wysokości zadania. Najsympatyczniejszą postacią naturalnie jest Żyd – niemiecki patriota. W moralne dno pukają zaś tzw. porządni obywatele. Restauracja oferuje kuchnię międzynarodową, lecz w powietrzu czuć zapach piwa tudzież smażonej kiełbasy z kiszoną kapustą. „Co to wszystko ma wspólnego z nami? Oczywiście nic" – mówi z uśmiechem narrator. Sześćdziesiąt lat temu była to szyta grubymi nićmi prowokacja. Współczesnemu widzowi zamiast gry w skojarzenia proponuję frajdę wynikającą z obcowania z aktorstwem najwyższej próby. Amerykańska Akademia Filmowa przegapiła ostatnią okazję na przyznanie Vivien Leigh trzeciego Oscara. „Statek szaleńców" nagrodzono tylko za zdjęcia i scenografię. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★★☆☆

REŻ. STANLEY KRAMER
„STATEK SZALEŃCÓW" („SHIP OF FOOLS")
USA 1965

wyst. Michael Dunn, Simone Signoret, Oskar Werner

DYKTATURA ALGORYTMU

KINO

Świat się kończy? Może to i lepiej, bo życie w obłudzie jest bardzo męczące. Dupieux, książę absurdu i markiz czarnej komedii, porwał się z motyką na słońce. Liczył, że sponiewiera snobów z Cannes, szydząc z kina, jakie jest i jakie wkrótce będzie. W „Drugim akcie" znani aktorzy wypadają z ról, histeryzują, wątpią w sens własnej pracy tudzież w przyszłość branży filmowej. Anulować dożywotnią kartę uczestnika festiwalu obłudy czy grać do końca – jak orkiestra z „Titanica"? Frustrację pogłębia to, że scenarzystą i reżyserem jest sztuczna inteligencja. Marzenie pokoleń producentów wreszcie się ziściło. AI to szef wymagający i bezlitosny. Takiego nie przekonasz, nie zbałamucisz, burgunda też się z nim nie napijesz. Cyfrowa korekta wyrwie artystom ostatnie pawie pióra z pupy. Przygotujcie popcorn, będzie się działo. ©℗

★★★★☆☆

REŻ. QUENTIN DUPIEUX
„DRUGI AKT"
FRANCJA 2024

wyst. Léa Seydoux, Louis Garrel, Vincent Lindon

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Talizman na zdrowie

Medycyna medycyną, ale warto ją wspomóc. Na przykład przedmiotami takimi jak monety, amulety, medaliki i medale, które – ze względu na materiał wykonania lub umieszczone na nich symbole, wizerunki czy słowa – mają nadprzyrodzoną moc. Wierzono w to od zarania dziejów, a wystawa „Siła wiary – moc wiedzy. Amulety i numizmaty w historii medycyny" pozwala prześledzić funkcje tych przedmiotów od starożytnego Egiptu aż do współczesności, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów Krakowa.

Greckie bóstwa Asklepios i Higieja zdobiły kiedyś cieszące się powodzeniem amulety, później monety, a ślady wiary w ich moc widzimy do dziś. Nawet we współczesnej kulturze pozostają rozpoznawalnymi symbolami medycyny i farmacji. Z kolei w średniowieczu złote monety odgrywały rolę obiektów transferujących „uzdrawiający dotyk". Dziś już chyba mało kto wierzy, że monety mogą pomóc w terapii. Banknoty – wskazuje nam to nie wiara, lecz empiria – to co innego! ©℗

FOT. MYKYTA PLATONOV/MNK

GDZIE? ***Muzeum Narodowe w Krakowie***
KIEDY? ***do 12 października***

eprasa.pl fdc20b0008

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Byle ducha nie brakło

Tryptyk autobiograficzny Waldemara Żyszkiewicza ma trzy skrzydła inicjacji i wzrastania, podróży, piękna, cierpienia oraz refleksji o rzeczach aktualnych, bolesnych i okrutnych. Bez tych przeciwstawnych jakości nie da się zbudować opowieści o sobie" – pisze Wojciech Ligęza w przenikliwym posłowiu do najnowszego tomu wierszy poety, który ponad pół wieku temu (ależ ten czas pędzi!) opowiedział nam, co się dzieje „Na skrzyżowaniu Lennona z Lenina":

Na skrzyżowaniu Lennona z Lenina
gdzie ruch jest duży i nietrudno o wypadek
studenci spotkali się z klasą robotniczą
w szczerej i przyjaznej atmosferze
zatwierdzono projekt bezkolizyjnego
przejścia do historii
po przerwie dla uświetnienia imprezy
wystąpiła grupa Liliputów w strojach
regionalnych
niestety w zamieszaniu jeden z malców
zginął
szukano go wszędzie Lennona zamknięto
a Lenina wzięto pod obserwację
bez rezultatu
wyobraźnia podsuwa czasem lepsze
rozwiązania.

W wierszu tym, który zdobył swego czasu pewną popularność, odbijają się czas jego powstania, polityczne dojrzewanie pokolenia ukształtowanego w Marcu i Grudniu, kontrkulturowe fascynacje, a w jakiejś mierze i poetyka Nowej Fali. Szybko jednak miało się okazać, że Waldemar Żyszkiewicz poszukiwać będzie odrębnej drogi poetyckiej, a z Nową Falą łączyć go będzie głównie to, że – podobnie jak Adam Zagajewski – prowadzić będzie zajęcia z filozofii na tej samej Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

W Krakowie ten rzeszowianin z lwowskimi korzeniami zatrzyma się na dłużej. Ukończy studia

FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

(jedne i drugie, bo zanim został magistrem filozofii, uczył się na inżyniera budownictwa), zaistnieje zarówno w środowisku pisarskim, jak i wśród podwawelskiej cyganerii z hipisami w tle, zamieszka w sławnej kamienicy literackiej na Krupniczej, występować będzie w programach Piwnicy pod Baranami i pisać piosenki dla jej artystów, a przecież – jak powiada teraz w autobiograficznej części tomu „Sporo z cynika, nic z despoty" – „Kraków ma swoje fochy fobie uprzedzenia / chyba mnie nie polubił tak przynajmniej sądzę / nie odwzajemnił uczuć poskąpił mi wsparcia".

Relacjonuje poeta i inne, ważne dla siebie miejsca, jak Poznań i Rzeszów, opowiada o angielskich i skandynawskich fragmentach swego życiorysu, kulturowych olśnieniach jazzem, a także rockiem (jakże prawdziwy jest jego żal, że musiał wrócić do kraju dwa dni przed koncertem Stonesów w Newcastle), a całą tę jakże ciekawą wędrówkę po czasie, który tak jest żywy, a od dawna przynależy już do historii, kończy informacją o poznaniu swojej miłości, za którą wyruszył do Warszawy. I to w niej od lat żyje ten jeden z chyba najbardziej niedocenionych, choć nad wyraz interesujących poetów polskich. Nie od rzeczy będzie w tym miejscu wspomnieć, że ten twórca, także dramatopisarz, scenarzysta i krytyk, znany jest również ze swej działalności publicystycznej, m.in. z tekstów zamieszczanych przez lata w „Tygodniku Solidarność".

W tomie „Sporo z cynika, nic z despoty" nie brakuje wyrazistych, mocnych utworów, takich jak poświęcony pamięci Jerzego Targalskiego wiersz „Najazd Polińców na Rzplitą":

Z początkiem trzeciego tysiąclecia po
Chrystusie Polińcy
zuchwale ruszają na Rzpitą: co gorsza
mają tutaj wielu
swych ludzi na strategicznych pozycjach w
obrębie fortecy.
Nasz naród sczerniał i znikczemniał
pogubił kotwice europejsko
Zniewieścial – z Polską jest połowa; ale to
wciąż dosyć by czapkami
Nakryć zaprzańców jurgieltników tych
wszystkich Polińców
Byle tylko ducha nie brakło.

Z tego samego 2021 r. pochodzi „Dumka Doncowa", w której słyszymy tony stanowczo zbyt rzadko pojawiające się w publicznym dyskursie:

blut und boden krew i ziemia
czerń i czerwień dwa kolory
krew upuścić wsiąknie w ziemię
która zrodzi złote plony
nad głowami błękit nieba
po horyzont się rozpina
więcej nic nam nie potrzeba
by powstała Ukraina
że nas przeklnie Lach i Laszka
Jewriej albo sam Ormiaszka?
kiedy przyjdziem tu po swoje
wnet zapłaczą ich detyny
taka dola Pogranicza
nie znajdziesz tu naszej winy.

Nie przegapcie, czytelnicy, tej poetyckiej książki. Bez różnicy, czy podzielacie wszystkie z poglądów autora czy też odrzucacie je, choćby i w całości. Bo przejść obojętnie obok tych wierszy zwyczajnie się nie da. ©℗

★★★★★☆

WALDEMAR ŻYSZKIEWICZ „SPORO Z CYNIKA, NIC Z DESPOTY" WYDAWNICTWO KSIĘGARNIA AKADEMICKA, KRAKÓW 2025

eprasa.pl fdc20b0008

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Widziane wyraźniej

Obiektywnie patrząc, książka cholernie potrzebna (kolejna już, bo czwarta w zapowiadanym pięcioksięgu krytycznym), bo amnezja, na którą choruje polska krytyka literacka, jest nie do zniesienia. Dla bywalca współczesnych salonów księgarskich zdecydowana większość szkiców Masłonia to jakieś opowieści o żelaznym wilku: Byli tacy? Pisarze? W dodatku dobrzy? Byli, tak byli. A dlaczego historia polskiej literatury zamyka się w haśle „Wielka kronika zapomnienia", to pytajcie już dzisiejszych dystrybutorów prestiżu.

A prywatnie – radość za radością, gdy powracam dzięki tym portretom do pisarzy, których kiedyś z wypiekami na twarzy odkrywałem, a o których sam nie miałem okazji opowiedzieć. Tadeusz Śliwiak, którego „Poemat o miejskiej rzeźni" robił na mnie swego czasu wrażenie większe od wierszy Różewicza. Władysław Zambrzycki i jego „Kwatera Bożych Pomyleńców", unikat wśród polskich powieści powracających do doświadczeń niemieckiej okupacji. Władysław Sebyła, poeta wielki i tragiczny, ofiara Katynia, zachwycający katastrofista. Długo by wymieniać.

Ma Krzysztof Masłoń nie tylko wielki dar opowiadania w sposób prosty o postaciach skomplikowanych, lecz także jakiś niezwykły radar w głowie, którym omiata przeszłość, by wyciągnąć to, co interesujące. Czasem towarzyszy temu głęboka trzeźwość osądu: przygląda się bez ekscytacji legendzie Rafała Wojaczka, a od najsłynniejszych późniejszych bestsellerów Waldemara Łysiaka bardziej ceni wczesne „Wyspy zaczarowane" i znakomity „Flet z mandragory". A czasem ogarnia autora młodzieńcza wręcz ekscytacja, gdy chwali niedoceniony „Warunek" Eustachego Rylskiego" i wskazuje powinowactwo jego prozy z Jarosławem Iwaszkiewiczem czy kiedy przepełniony emocjami pisze o powieściach Wiesława Helaka.

Polska literatura współczesna widziana okiem prasowych recenzji i – niestety coraz częściej – prac naukowych zdaje się nudna, wtórna, zajęta sama sobą albo ideologicznymi modami. Widziana okiem Masłonia jest pełna niesamowitych postaci, niezwykłych książek i zmagań z tym, co najważniejsze, co definiuje nasz polski los. Tymczasem młodzi nowocześni (pisarze) okazali się, zdaniem Masłonia, „zdolni do wszystkiego, tylko nie do tego, by zainteresować swoimi książkami polskiego czytelnika". Taka prawda. ©℗

★★★★☆☆
KRZYSZTOF MASŁOŃ „RACHUNEK SUMIENIA" ZYSK I S-KA 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Historia powstania Muzeum Historii Polski zamienia się w opowieść o odwołaniu jego dyrektora. Na szczęście nie tylko. Rozmowa Piotra Zaremby najciekawsza jest tam, gdzie panowie spierają się o sens polskiej historii.

ROBERT KOSTRO „PAŃSTWOWIEC Z MUZEUM" ISKRY

Kryminał, który nie dość, że emocjonuje, to także celnie wyszydza fenomen popularności true crime. Śledztwo w sprawie śledztwa daje nieoczekiwane rezultaty. Brawa dla młodej brytyjskiej pisarki za talent i oryginalność.

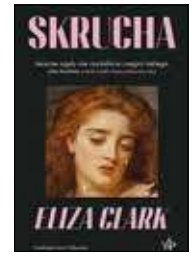

ELIZA CLARK „SKRUCHA" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Książek o Chinach jest wiele, ta jest jedną z najświeższych. Doświadczony korespondent zachodnich mediów, znawca Dalekiego Wschodu i autor historii Hongkongu przygląda się biografii Xi Jinpinga i celom jego polityki.

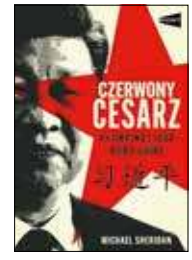

MICHAEL SHERIDAN „CZERWONY CESARZ" WYDAWNICTWO PORT

Dzieł zebranych polskiego mistrza grozy tomy ósmy i dziewiąty – ponad 20 tekstów, które nie znalazły się w zbiorach układanych przez autora. Gratka dla fanów, która zaostrza apetyt na tomy z ineditami. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

STEFAN GRABIŃSKI „OPOWIADANIA ROZPROSZONE" WYDAWNICTWO IX

KOMIKS TYGODNIA: WSZĘDZIE NARAZ

Na poprawę humoru po fatalnym filmie Jamesa Gunna – antologia krótkich komiksów o Supermanie stworzonych przez twórców z rozmaitych krajów świata (były już tomy o Batmanie i o Jokerze), od Argentyny przez Kamerun do Turcji. Polski wkład zapewnili Bartosz Sztybor i Marek Oleksicki. Premiera odbywa się jednocześnie na wszystkich rynkach, z których pochodzą twórcy antologii. ©℗

Piotr Gociek

AUTORZY RÓŻNI „SUPERMAN. ŚWIAT" EGMONT 2025

eprasa.pl fdc20b0008

Jarosław Lindenberg

Program polityczny Alternatywy dla Niemiec jest w dużym stopniu zbieżny z polskimi interesami strategicznymi. Dlatego jeśli w przyszłości AfD utworzy rząd w Niemczech, to najprawdopodobniej nie dojdzie do wieszczonej przez Mateusza Morawieckiego ogólnoeuropejskiej katastrofy i piątego rozbioru Polski. Zyskamy za to bardzo silnego sojusznika w walce z dwoma największymi zagrożeniami dla naszej narodowej suwerenności

/ Publicystyka / OPINIE POLITYCZNO - SPOŁECZNE

Mateusz Morawiecki: Powrót niemieckiej siły

Jeśli Niemcy przeznaczą 5 proc. PKB na zbrojenia, będzie to nie tylko największy wysiłek od czasów zimnej wojny, ale i punkt zwrotny dla układu sił w Europie. Nie możemy pozwolić sobie na naiwność – twierdzi były premier Mateusz Morawiecki.

Mateusz Morawiecki, były premier RP, wiceprezes PiS

FOT. RP.PL

Straszenie

Mateusz Morawiecki postanowił postraszyć Polaków Niemcami. Chodzi o zamieszczony na początku lipca w „Rzeczpospolitej" artykuł „Powrót niemieckiej siły. Nie możemy pozwolić sobie na naiwność". Byłego premiera niepokoi jednak nie to, co w przypadku polityki Niemiec niepokoić powinno, przynajmniej jeśli chodzi o naszą suwerenność narodową i bezpieczeństwo wewnętrzne: konsekwentne dążenie do przekształcenia Unii Europejskiej w superpaństwo federacyjne pod niemiecko-francuskim kierownictwem oraz zamiar relokacji milionów nielegalnych imigrantów do państw, w których jeszcze nie ma ich zbyt wielu. Nie, autor okiem wizjonera dostrzega powtórkę scenariusza politycznego sprzed blisko wieku: dojście Adolfa Hitlera do władzy, militaryzację Niemiec, ich sojusz z Kremlem i… Dalej możemy tylko zgadywać, co były premier ma na myśli, ale z pewnością są to rzeczy straszne. Pisze bowiem: „W historii Europy wielokrotnie widzieliśmy, jak dobrze naoliwione machiny wojenne obracały się przeciwko demokracji, przeciwko sąsiadom, przeciwko pokojowi".

Kasandryczne proroctwa premiera Morawieckiego oparte są na, skądinąd słusznych, obserwacjach dotyczących szybko rosnących wydatków obronnych w Niemczech (wielkością docelową ma być 5 proc. PKB, zgodnie z decyzją ostatniego szczytu NATO w Hadze), a także „ambicji budowy wspólnego, europejskiego systemu obronnego". I chociaż autor w swoich przewidywaniach posługuje się językiem świadomie niejasnym, wieloznacznym i pełnym niedopowiedzeń, to rysowany przez niego obraz zagrożeń ze strony Niemiec jest mniej więcej taki: Niemcy zbroją się na potęgę, nie przejmując się ograniczeniami budżetowymi ani konstytucyjnymi zapisami dotyczącymi zadłużenia. Rozwój przemysłu zbrojeniowego rozkręci słabnącą gospodarkę i Niemcy za kilkanaście lat staną się znowu globalną potęgą przemysłową oraz wojskową, która przegoni pod względem potencjału militarnego Francję i Wielką Brytanię. Ponieważ jednak „sprzętu wojskowego nie kupuje się po to, żeby się kurzył w magazynach", można spodziewać się, że „w atmosferze politycznego rozedrgania i rosnącego poparcia dla ugrupowań kontestujących powojenny konsensus" nowym niemieckim liderom przyjdzie do głowy tego sprzętu użyć – w sojuszu z Rosją. Ci nowi niemieccy przywódcy, którzy szykują zgubę dla „Polski i Europy", to – oczywiście – Alternatywa dla Niemiec (AfD), która według byłego premiera „otwarcie kwestionuje filary dotychczasowej polityki Berlina – zarówno wobec Rosji, wobec UE, jak i wobec NATO czy USA. Nie sposób nie dostrzec niepokojącej paraleli z początkiem lat 30. XX wieku".

KOSMICZNY ODLOT BYŁEGO PREMIERA

Paralelę dostrzegł wnikliwym okiem premier po lekturze powieści historycznej pt. „Porządek dnia" francuskiego pisarza Érica Vuillarda. Otóż, dojście do władzy Hitlera nie było – według Morawieckiego – efektem poparcia większości społeczeństwa niemieckiego, lecz „oligarchicznym przewrotem zrealizowanym rękami elit, przemysłu ciężkiego i banków, które uznały NSDAP

eprasa.pl fdc20b0008

za użyteczne narzędzie w walce z komunizmem i ówczesnym rozkładem państwa". Obecnie, zdaniem premiera, historia zaczyna się powtarzać, bo rośnie „przyzwolenie niemieckich elit gospodarczych na flirt z radykalizmem" (czytaj: z AfD). Autor nie tylko twierdzi, że Alternatywa dla Niemiec jest siłą prorosyjską, lecz także robi aluzje na temat jej rzekomego sterowania przez rosyjskie służby specjalne. Dalej ostrzega, że gdyby dokonała „przejęcia władzy w Berlinie" (oczywiście nie w sposób demokratyczny, lecz poprzez „oligarchiczny przewrót" z poparciem wielkiego przemysłu), to „cały kontynent znalazłby się w sytuacji zagrożenia". I kończy pompatycznie: „Zbyt wiele razy byliśmy świadkami tego samego błędu, by dziś pozwolić sobie na naiwność".

Niemcami

Niepozwalający sobie na naiwność Mateusz Morawiecki nie wskazuje, co w tej sytuacji powinna zrobić Polska, żeby powstrzymać kolejną dziejową katastrofę, ale jedynym logicznym wnioskiem wydaje się powrót do koncepcji marszałka Piłsudskiego z 1933 r., czyli polsko-francuska wojna prewencyjna z Niemcami. Czy uda się Morawieckiemu przekonać do tego pomysłu prezydenta Emmanuela Macrona – mam pewne wątpliwości. Jednak niech próbuje!

Mateusz Morawiecki to polityk, który na stanowisku premiera wielokrotnie przejawiał oznaki oderwania od rzeczywistości (i nie chodzi tylko o nieznajomość ceny bochenka chleba). Miał też poważne problemy z przewidywaniem konsekwencji decyzji, które podejmował w imieniu Polski na forum UE. To on w 2020 r. zaakceptował katastrofalny gospodarczo Europejski Zielony Ład oraz będący jego prawnym wyrazem pakiet „Fit for 55" (a mógł go zablokować). To on, w tym samym 2020 r., zgodził się na zapisy dotyczące Funduszu Odbudowy, zawierające tzw. mechanizmy warunkowości związane z praworządnością (umożliwiające Komisji Europejskiej arbitralne blokowanie wypłat środków); zgodził się na uwspólnotowienie długu UE (po raz pierwszy w jej historii) oraz na tzw. kamienie milowe w ramach Krajowego Planu Odbudowy (oznaczające przeznaczenie tych funduszy głównie na cele związane z ideologią klimatyczno-ekologiczną). A ponieważ później publicznie odcinał się od tych decyzji, można domniemywać, że po prostu nie wiedział, co w Brukseli podpisywał. Nie dopuszczam bowiem do siebie nawet myśli, że tak mądry i uczciwy polityk doskonale wiedział, jakie decyzje podejmuje, ale potem kłamał opinii publicznej w żywe oczy. No, nie!

W analizowanym przypadku przewidywania pana premiera dotyczące kolejnej wojny światowej, wywołanej przez Niemcy w sojuszu z Rosją (bo takie są te mętne konkluzje aluzje), dowodzą odlotu wręcz kosmicznego. Krótko zatem wyjaśniam: Hitler doszedł do władzy dzięki dwóm innym czynnikom, a finansowe wsparcie kampanii wyborczej NSDAP przez wielkich przemysłowców, przestraszonych sukcesami komunistów, jedynie ułatwiło mu przejęcie władzy. Te czynniki to: frustracja i poczucie upokorzenia Niemców w wyniku traktatu wersalskiego oraz fatalna sytuacja gospodarczo-społeczna spowodowana przez wielki kryzys (a dodatkowo przez ogromne reparacje wojenne). Ten splot okoliczności jest dziś nie do powtórzenia. Dodajmy, że szybki rozwój przemysłu zbrojeniowego i militaryzacja Niemiec po roku 1933 nie były przyczyną, lecz skutkiem dojścia Hitlera do władzy – odwrotnie niż po blisko 100 latach, kiedy to, według Morawieckiego, dojście do władzy „radykałów popieranych przez elity gospodarcze" miałoby być efektem budowania potęgi militarnej tego kraju. Jeśli AfD dojdzie w przyszłości do władzy, to nie będzie to „przejęcie władzy poprzez oligarchiczny przewrót", tylko zwycięstwo w demokratycznych wyborach, mimo „kordonu sanitarnego" rozciągniętego przez partie liberalne i lewicowe, które używają przeciwko Alternatywie całej państwowej machiny, łącznie z Urzędem Ochrony Konstytucji oraz propagandą mediów mainstreamowych.

NAZIŚCI TO LEWICA

Kolejnym błędem autora, a właściwie bezmyślnie powtarzaną kalką całej lewicowej propagandy (zarówno z czasów komunistycznych, jak i współczesnych) jest utożsamianie narodowego socjalizmu z prawicą, a zwłaszcza z „radykalną prawicą". Pomijam już to, że pojęcie „radykalna (lub ekstremalna) prawica" to oksymoron. Termin „prawica" oznacza ruch polityczny oparty na ideologii konserwatywnej, termin „lewica" – ruch oparty na ideologii rewolucyjnej. Konserwatyzm chce zachować te instytucje społeczne, które (tak jak religia, rodzina, państwo i naród) sprawdziły się w historii, a więc nie może być radykalny. Lewica chce docelowo zburzyć ukształtowany społecznie porządek i zbudować na jego gruzach nowy wspaniały świat według własnej ideologii. Posługuje się przy tym środkami mniej lub bardziej radykalnymi. Partia nazistowska (Narodowo-Socjalistyczna Niemiecka Partia Robotników) była radykalną partią lewicową, podobnie jak włoska Narodowa Partia Faszystowska, i trzeba ten fakt powtarzać w nieskończoność, żeby zwalczyć fałszywe, szkodliwe, utrwalone stereotypy. Dziewiętnastowieczny ruch socjalistyczny w Europie był bardzo niejednorodny i rozwijał się w różnych kierunkach. Na przełomie stuleci część działaczy oraz partii poszła drogą reformistyczną, rewizjonistyczną lub syndykalistyczną. Nurty, które się zradykalizowały, głosząc hasła obalenia demokracji i zaprowadzenie dyktatury partii rewolucyjnej (typu wodzowskiego), przejęcia kontroli państwa nad gospodarką, rewolucji społecznej i ekspansji terytorialnej, to komunizm Włodzimierza Lenina, faszyzm Benita Mussoliniego oraz narodowy socjalizm Hitlera. Zarówno Mussolini (który był zafascynowany ideologią Karola Marksa),

eprasa.pl fdc20b0008

jak i wielu działaczy faszystowskich wyrośli z Włoskiej Partii Socjalistycznej i głosili bardzo podobne hasła polityczne. NSDAP socjalizm i robotników miała już w nazwie, a Hitler umiejętnie posługiwał się antykapitalistyczną retoryką. Nienawiść faszystów i nazistów do komunistów (z wzajemnością) wynikała z faktu, że byli oni najbliższymi i bezwzględnymi konkurentami. Podobieństwa tych trzech systemów totalitarnych są ogromne, a główna różnica polegała na tym, że komunizm miał charakter międzynarodowy, faszyzm – narodowy, a nazizm – narodowy i rasowy. Zresztą po zdobyciu władzy zarówno Mussolini, jak i Hitler przeprowadzili głębokie reformy społeczno-gospodarcze, o charakterze typowo socjalistycznym, co zapewniło im olbrzymie poparcie „mas ludowych".

Ten obraz tak pasuje do „radykalnej" AfD jak pięść do nosa. Alternatywa jest wrogiem wszystkich lewicowych (lub lewackich), neomarksistowskich ideologii, które opanowały państwa Zachodu, a które niszczą tradycyjną strukturę społeczną (gender, LGBT+, radykalny feminizm), tożsamość narodową (mulitikulturalizm, który stoi za importem milionów imigrantów z Afryki i Azji) i gospodarkę (szaleństwa klimatyczno-ekologiczne). Rzekoma prorosyjskość tej partii jest w dużym stopniu mitem (na pewno nie jest ona większa niż w przypadku SPD, z jej politykami takimi jak kanclerz Gerhard Schröder, reprezentującymi tzw. Russenversteher). Alternatywa dla Niemiec jest partią pluralistyczną i choć istnieje tam rzeczywiście grupa działaczy zainteresowanych bliską współpracą z Rosją, to w stosunku do niej dominuje pragmatyzm. Wobec wojny na Ukrainie AfD głosi – podobnie jak Donald Trump – potrzebę jej zakończenia na realistycznych, kompromisowych warunkach. Zresztą to nie AfD przez lata budowała system uzależnienia Niemiec (i Europy) od rosyjskich surowców energetycznych, to nie AfD promowała Nord Stream 2, nie AfD zasilała (i zasila nadal) gospodarkę rosyjską – mimo sankcji – miliardami euro za ropę i gaz, nie AfD sprzedawała broń Rosji w warunkach embarga UE po aneksji Krymu, a nawet już po inwazji na Ukrainę. To nie AfD na początku agresji rosyjskiej blokowała zagraniczne dostawy broni dla Kijowa. A sugestie Morawieckiego, że AfD jest antyamerykańska i antynatowska, jakoś dziwnie kolidują z faktami. Przecież to nie kto inny, jak wiceprezydent J.D. Vance spotkał się z szefową Alternatywy, Alice Weidel, podczas Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa w lutym br. i to on krytykował „kordon sanitarny" wokół tej partii.

W OBRONIE POLSKI

Dodajmy, że w AfD mamy największy wśród partii niemieckich odsetek polityków mówiących po polsku i że w czasach rządów PiS była to jedyna partia niemiecka, która w Parlamencie Europejskim systematycznie i publicznie broniła Polski przed zarzutami o naruszanie praworządności. Również po dojściu do władzy koalicji 13 grudnia przedstawiciele Alternatywy (najbardziej znany jest Tomasz Froelich, polityk polskiego pochodzenia) wielokrotnie zabierali głos w sprawach polskich, krytykując tym razem – wobec milczenia większości europarlamentarzystów – działania rządu Donalda Tuska, polegające na niszczeniu niezależności sądownictwa i represjach wobec opozycji. Ponadto AfD zarzuca Komisji Europejskiej stosowanie podwójnych standardów, w zależności od tego, kto w Polsce rządzi.

W Niemczech nie ma żadnej partii propolskiej. To w Polsce mamy partię i polityków proniemieckich

Czy to znaczy, że AfD jest partią propolską? Nie, w Niemczech nie ma żadnej partii propolskiej. To w Polsce mamy partię i polityków proniemieckich. AfD na pierwszym miejscu stawia interesy Niemiec – tak jak je identyfikuje. Jednak program polityczny Alternatywy jest w dużym stopniu zbieżny z polskimi interesami strategicznymi. Dlatego jeśli w przyszłości AfD utworzy rząd w Niemczech, to najprawdopodobniej nie dojdzie do wieszczonej przez Morawieckiego ogólnoeuropejskiej katastrofy i piątego rozbioru Polski, za to zyskamy bardzo silnego sojusznika w walce z dwoma największymi zagrożeniami dla naszej narodowej suwerenności.

Pierwszym zagrożeniem jest trwający od lat proces przekształcania UE w federalne superpaństwo, zgodnie z Manifestem z Ventotene z 1941 r. włoskiego komunisty Altiera Spinellego. Ostatnim krokiem w tym procesie było przyjęcie przez PE 22 listopada 2023 r. opracowanych przez Niemcy i Francję propozycji zmian traktatowych, pozbawiających państwa członkowskie kompetencji w 10 istotnych obszarach suwerenności i likwidujących prawo weta w 65 obszarach. Ten projekt, przekazany miesiąc później do Rady Europejskiej, wisi nad naszą głową jak miecz Damoklesa. Tymczasem AfD konsekwentnie postuluje działania w odwrotnym kierunku: przekształcenie UE w swobodną wspólnotę gospodarczą suwerennych narodów.

Drugie zagrożenie dla naszej narodowej suwerenności to wielomilionowa, niekontrolowana imigracja do UE z państw i obszarów obcych nam kulturowo. I tu stanowisko AfD jest nie tylko jasne, lecz także całkowicie zgodne z polskim interesem: proces ten należy powstrzymać za wszelką cenę, uszczelniając zewnętrzne granice Unii, a nielegalnych imigrantów deportować do krajów ich pochodzenia. To jest dokładne przeciwieństwo tego, co robią obecne władze Niemiec, przerzucając przez polską granicę imigrantów według własnego uznania, a co jest zaledwie wstępem do tego, co nas czeka, gdy w czerwcu 2026 r. wejdą w życie przepisy paktu o azylu i migracji UE z ich mechanizmem „obowiązkowej solidarności".

Rzekome podobieństwa w historii bywają bardzo zwodnicze. Wydarzenia nigdy nie powtarzają się tak samo. Zamiast odwoływać się do płytkich, choć efektywnych analogii, odpowiedzialny polityk musi przewidywać rozwój sytuacji na podstawie pogłębionej analizy rzeczywistości, a nie swoich chęci, sympatii, uprzedzeń lub wyznawanej ideologii. O ile błędne oceny i kalkulacje w przypadku polityki wewnętrznej grożą jedynie klęską w najbliższych wyborach, o tyle podobne błędy w zakresie strategicznych kierunków polityki zagranicznej grożą narodową katastrofą. A tych mieliśmy w ciągu ostatnich dwóch wieków aż nadto.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fdc20b0008

REPUBLIKA

W bębnie rewolweru jest 6 kul. W programie jest 6 gwiazd telewizji Republika, które w 6 rundach komentują najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia w polskiej polityce. To jest „Rewolwer" – nowy format rozmów w Republice!

REWOLWER

SOBOTA
9:10

w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl fdc20b0008

Dwóch mężczyzn z Pakistanu podczas kontroli przeprowadzonej przez polską Straż Graniczną w Słubicach, 7 lipca 2025 r.

FOT. SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

Teologia wrogości

Filip Memches

Kościół katolicki nie powinien się odwracać od realiów świata. A przykazanie miłowania nieprzyjaciół to nie jest jakaś pięknoduchowska abstrakcja. Odnosi się ono do konkretnych sytuacji, w których ludzie toczą między sobą spory. Nie sposób miłować nieprzyjaciół, jeśli się ich nie ma

Można się było spodziewać, że słowa wypowiedziane na Jasnej Górze podczas dorocznej pielgrzymki Rodziny Radia Maryja przez dwóch emerytowanych biskupów – Antoniego Długosza i Wiesława Meringa – wywołają w Polsce polityczną burzę. Obydwaj hierarchowie Kościoła katolickiego odnieśli się do kryzysu migracyjnego i wywołanych nim napięć w stosunkach polsko-niemieckich.

Stanowisko biskupów Długosza i Meringa można streścić następująco: chrześcijanie powinni się kierować nie tylko miłosierdziem, lecz także roztropnością. A ta konieczna jest w sytuacji, gdy państwo niemieckie wciska Polsce nielegalnych migrantów. Wtedy Polacy powinni strzec swojej ojczyzny przed intruzami – tak jak to czyni Ruch Obrony Granic.

Szczególnie na uwagę zasługuje pewien fragment homilii bp. Meringa. Były ordynariusz diecezji włocławskiej, przywołując cytat z XVII-wiecznego eposu Wacława Potockiego „Wojna chocimska", powiedział: „[…] jak świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem". Następnie dodał: „Historia straszliwie udowodniła prawdę tego powiedzenia. A w naszym hymnie – każdy hymn wyraża ducha narodu, jego doświadczenia – w czwartej zwrotce, której niestety nie śpiewamy, możemy usłyszeć: »Moskal, Niemiec nie osiędzie, gdy jąwszy pałasza, hasłem wszystkich zgoda będzie i ojczyzna nasza«". Tym samym bp Mering stwierdził, że Polacy mają wrogów i powinni się przeciw nim konsolidować ponad wewnętrznymi podziałami politycznymi.

BICIE W BĘBEN WOJENNY

Homilia hierarchy z Włocławka – tak samo zresztą jak rozważania bp. Długosza – komentowana jest głównie w kontekście bieżącej sytuacji politycznej nad Wisłą. Zwłaszcza że to, co padło z ust obydwu kapłanów, spotkało się z ostrą reakcją Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które wystosowało w tej sprawie notę protestacyjną (démarche) do Watykanu. Resort dyplomacji powtórzył starą i znaną śpiewkę (skądinąd nasuwającą skojarzenia z retoryką włodarzy PRL) – zarzucił emerytowanym hierarchom wtrącanie się do polityki.

Tymczasem przytoczone wyżej słowa bp. Meringa skłaniają do tego, żeby poruszyć zagadnienie wykraczające poza bieżącą sytuację polityczną w Polsce. Można bowiem zadać pytanie zasadnicze: Czy ludziom w sutannach, a więc tym, którzy powołani są do głoszenia treści ewangelicznych, wypada podgrzewać antagonizmy między narodami, zwłaszcza w warunkach pokoju? Przecież w nauczaniu Kościoła jest mowa o tym, że chrześcijanin ma wręcz miłować nieprzyjaciół.

Na uwagę zasługuje więc list warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej – a więc środowiska tzw. Kościoła otwartego – skierowany do metropolity warszawskiego abp. Adriana Galbasa, a będący odpowiedzią na homilię bp. Meringa. W korespondencji tej można przeczytać m.in.: „Nigdy nie powinno być miejsca w Kościele na uprawianie czarnej polityki, straszenie bliźnimi, atakowanie sąsiednich narodów i wskazywanie na jakąkolwiek systemową, rasistowską niekompatybilność pomiędzy wspólnotami ludzkimi posługującymi się różnymi językami".

Wydaje się więc, że misją kapłana nie jest bicie w bęben wojenny. Jeśli już, to domena polityków. Gdy wspólnota, której służą (polityka jest przecież – przynajmniej w szlachetnych założeniach – służbą), znajduje się w niebezpieczeństwie, wtedy wskazywanie przez nich zagrażających jej sił (obcych państw, ale nie tylko, w grę też wchodzą np. organizacje terrorystyczne) jawi się jako coś oczywistego. I nie chodzi

eprasa.pl fdc20b0008

tu wyłącznie o widmo konfliktu zbrojnego. We współczesnym świecie wrogie działania przybierają nieraz charakter hybrydowy, czyli taki, który – formalnie rzecz biorąc – nie narusza pokoju.

Rzecz w tym, że Kościół nie powinien się odwracać od rzeczywistości. A przykazanie miłowania nieprzyjaciół to nie jest jakaś pięknoduchowska abstrakcja. Odnosi się ono do konkretnych sytuacji, w których ludzie toczą między sobą spory. Nie sposób miłować nieprzyjaciół, jeśli się ich nie ma. Skoro zaś oni są, to stan wrogości jest faktem.

Przykazanie miłowania nieprzyjaciół stawia chrześcijanina wobec poważnego dylematu, który stał się przedmiotem rozważań Zofii Kossak w reportażu „Najpilniejsza sprawa" z roku 1936. Pisarka podjęła w tym tekście kwestię ówczesnych stosunków polsko-żydowskich. Przedstawiła je jako wrogie relacje dwóch żyjących obok siebie narodów, które ze sobą ostro rywalizują, choćby ekonomicznie. A zilustrowała ów stan pewnym incydentem w pociągu na trasie Bielsko – Cieszyn.

Oto w zatłoczonym wagonie dochodzi do stłuczenia szyby. Nieumyślnym winowajcą jest góral z Żywca. Musi za wyrządzoną szkodę zapłacić, więc inni pasażerowie okazują mu solidarność i robią na niego zrzutkę. Udziału w zbiórce pieniędzy odmawia tylko zamożny Żyd. Oznajmia, że nie widzi powodu, dla którego miałby wesprzeć chłopa. Gdy więc konduktor pyta, kto stłukł szybę, tłum wskazuje Żyda. Ten zaś zaskoczony zarzeka się, że tego nie zrobił. Konduktor jednak nie daje się przekonać i tym samym za wyrządzoną szkodę płaci Żyd.

W „Najpilniejszej sprawie" Kossak zastanawiała się nad tym, jak Polacy godzą wrogość okazywaną Żydom z katolicyzmem. A swoje refleksje na ten temat adresowała do młodych polskich nacjonalistów, którzy – w odróżnieniu od, obarczonego myśleniem w kategoriach darwinizmu społecznego, starego pokolenia Narodowej Demokracji – odkrywali na nowo duchowe i intelektualne dziedzictwo Kościoła. W swoim tekście pisarka zawarła następującą konkluzję: „Walczę o prawo bytu na swojej własnej ziemi, walczyć muszę, bo ginę, ale nie: walczę, bo jestem katolikiem [...]. Młodzież polska musi walczyć z zalewem żydowskim pomimo, a nie z powodu swego odrodzenia religijnego".

Trzeba przyznać, że tak brutalne ujęcie problemu – zwłaszcza biorąc pod uwagę późniejsze wydarzenia drugiej wojny światowej – szokuje (przypomnijmy jednak, że podczas okupacji niemieckiej Kossak ratowała Żydów i została za tę swoją działalność uhonorowana przez Instytut Yad Vashem medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata). Ale wbrew znieczulającym idyllicznym opowieściom o dawnej przedrozbiorowej „Rzeczypospolitej Przyjaciół" stosunki Polaków z Żydami – tak jak z innymi sąsiednimi narodami – były na przestrzeni dziejów skomplikowane i trudne. Przy czym nie chodzi tu bynajmniej o to, że ktoś w tych relacjach był dobry, a ktoś zły. W stosunkach politycznych wartościowanie moralne może prowadzić na manowce, o czym przekonuje lektura rozprawy „Pojęcie polityczności" XX-wiecznego niemieckiego prawnika Carla Schmitta.

Indywidualne nadstawianie drugiego policzka jest czymś innym niż moralizatorskie wywieranie nacisku na wspólnotę polityczną, żeby czyniła to samo jako zbiorowość

LOJALNOŚĆ WOBEC WSPÓLNOTY

W tekście tym autor przeanalizował podstawowy mechanizm polityki. Według Schmitta tożsamość wspólnoty politycznej (narodowej czy obywatelskiej) określana jest na podstawie rozróżnienia „sojusznik – wróg" (można to bardziej precyzyjnie ująć: „my – oni"). Przy czym nie chodzi o rozróżnienie, które służy międzyplemiennej walce na śmierć i życie (tak zdają się nieraz interpretować koncepcję Schmitta jej krytycy). Z wrogiem nie trzeba toczyć wojen. Można z nim nawet utrzymywać trwały pokój, jeśli obu stronom udaje się porozumieć. Ale wróg pozostanie wrogiem, a więc tym, który nie jest mną. To ktoś obcy. Stanowi zatem potencjalne zagrożenie dla mojego bytu. W spotkaniu z nim wspólnota polityczna doświadcza egzystencjalnie swojej odrębności.

Zdaniem Schmitta konfrontacja z wrogiem nie koliduje także z przykazaniem miłowania nieprzyjaciół. Wróg to bowiem kategoria polityczna. W tym sensie nieprzyjaciel to ktoś inny niż wróg. Nakaz miłowania nieprzyjaciół ma sens w wymiarze osobistym, a nie publicznym. Indywidualne nadstawianie drugiego policzka – akt, który chrześcijanina uświęca – jest czymś innym niż moralizatorskie wywieranie nacisku na wspólnotę polityczną, żeby czyniła to samo jako zbiorowość – np. nie stawiała oporu wobec agresorów. W „Pojęciu polityczności" padają jakże trafne spostrzeżenia: „W tysiącletniej historii wojen między chrześcijaństwem a islamem nigdy żaden chrześcijanin nie wpadł na pomysł, aby z miłości do Saracenów lub Turków wydać im na łup Europę, zamiast stanąć w jej obronie". A Ewangelia „nie zaleca, aby kochać wrogów swojego narodu i wspierać ich w walce przeciwko własnym rodakom" (przekład: Marek A. Cichocki).

Swoją drogą, Polacy mają w pamięci zderzenie interesów politycznych z uniwersalistyczną perspektywą Kościoła za pontyfikatu papieża Franciszka. Kiedy wojska rosyjskie dokonały pełnoskalowego ataku na Ukrainę, następca św. Piotra wypowiadał się w sposób, który w Polsce odbierany był jako wyraz pobłażliwości dla polityki Kremla. Szkopuł w tym, że solidaryzujący się z Ukraińcami Polacy oczekiwali od papieża Franciszka zajęcia stanowiska politycznego, a więc wpisania się w schemat „my – oni". On zaś tego nie zrobił.

A zatem przykazanie miłowania nieprzyjaciół dotyczy relacji zachodzących między konkretnymi osobami, a nie między narodami. Przecież w stosunkach osobistych dla Polaka nieprzyjacielem może być jakiś inny Polak, a przyjacielem jakiś Niemiec. Natomiast w relacjach między narodami rządzą już inne prawa. Podstawowym obowiązkiem jest lojalność wobec swojej wspólnoty politycznej. Tak więc należy w Niemcach – jak w każdym innym narodzie – widzieć bliźnich, ale nie oznacza to, żeby w imię fałszywie pojętego przekazu ewangelicznego przymykać oczy na akty wrogości państwa niemieckiego wobec Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fdc20b0008

Minister Sikorski licytuje

Sławomir Siwek

Państwa autorytarne próbują cenzurować Kościół od wieków. Czy za sprawą ministra Sikorskiego, który upomniał watykańską dyplomację po kazaniach polskich biskupów, dołącza do nich Polska pod rządami koalicji 13 grudnia?

Tradycja ingerencji cenzorskich władzy w wystąpienia kapłanów ma swoją historię. Tak długą jak historia władzy autorytarnej lub ku takiej zmierzającej. 17 lutego (lub 1 marca, w zależności od kalendarza) 1853 r. Komitet Ministrów – najwyższy organ administracji Imperium Rosyjskiego – wydał rozporządzenie „W sprawie trybu cenzurowania rękopisów kazań wygłaszanych w kościołach rzymskokatolickich". Rozporządzenie to było „najwyżej zatwierdzonym".

Sens wydania rozporządzenia przedstawił w doskonałej pracy wydrukowanej na łamach „Krakowskiego Pisma Kresowego", rocznik 14 (2022), Anton Huz, naukowiec z Uniwersytetu w Mariupolu oraz Uniwersytetu Gdańskiego. Pisał m.in.: „W szczególności zaprowadzono cenzurę kazań głoszonych w kościołach rzymskokatolickich w Imperium Rosyjskim za pośrednictwem organów państwowych. Kazania były ważnym kanałem komunikacji między Kościołem a parafią, a ich treść miała wpływ na świadomość społeczeństwa, co budziło niepokój władzy, która uważała Kościół rzymskokatolicki, a zwłaszcza kazania za potencjalne zagrożenie dla samodzierżawia".

Warto tu wspomnieć, że rozporządzenie cenzorskie wprowadzono zaledwie sześć lat po podpisaniu konkordatu Rosji ze Stolicą Apostolską. Konkordaty w rozumieniu władzy autorytarnej miały służyć przede wszystkim poddaniu kontroli aktywności i wolności funkcjonowania Kościołów. Wolność wypowiedzi mieściła się w tym założeniu.

EKSPERYMENTY KOMUNOFASZYZMU

30 stycznia 1933 r. Adolf Hitler został kanclerzem Niemiec. 2 sierpnia 1934 r. Reichstag przekazał mu pełnię władzy. Budowa państwa totalitarnego przez socjalistyczno-robotniczą partię narodu niemieckiego stała się faktem.

Przyspieszyła ona procedurę ograniczenia aktywności, a zatem wolności głoszenia Słowa przez Kościoły, katolicki i ewangelickie. 4 lutego przyjęto bezterminowy dekret „O ochronie narodu niemieckiego", zawieszający swobody obywatelskie, w tym wolność wypowiedzi. Na tej podstawie Hermann Göring, jako komisarz (a także premier) do spraw wewnętrznych rządu Prus, wydał dwa dekrety: o ograniczeniu wolności prasy i dopuszczający użycie broni przez policję.

Na terenach wschodnich, zamieszkanych przez Polaków, uruchomiono metody eliminacji języka polskiego z życia Kościoła. W raportach sytuacyjnych organizacji powiatowej NSDAP w Zabrzu można przeczytać: „Ciągle jeszcze napotykamy przypadki, gdy poszczególni duchowni nie potrafią powstrzymać się od zawoalowanych uwag o obecnej sytuacji i przyszłym charakterze Niemiec. W nadchodzących miesiącach przeprowadzimy dokładny nadzór nad nabożeństwami, by wreszcie uzyskać jasny obraz poszczególnych księży".

W Polsce po drugiej wojnie światowej, 10 marca 1948 r., podjęto decyzję o zjednoczeniu (wchłonięciu) socjalistycznej partii PPS przez sowiecko-komunistyczną PPR. 15 grudnia nowy twór przyjął nazwę PZPR, a faktycznym jej szefem został agent sowieckiej tajnej służby, jednocześnie prezydent okupowanej Polski – Bolesław Bierut. Walka z wolnością głoszenia nauczania Kościoła stała się jednym z priorytetów.

W tymże 1948 r. zlikwidowano pismo Kurii Metropolitalnej Warszawskiej – „Tygodnik Warszawski". Tym samym rozpoczęto proces likwidacji działalności wydawniczej Kościoła, a jeszcze istniejące poddano restrykcyjnej procedurze cenzorskiej. Przykład: powstały 2 września 1945 r. we Włocławku niewielki tygodnik „Ład Boży" był poddany zadziwiająco dokładnemu nadzorowi cenzorskiemu. Wyjaśnieniem jest fakt ścisłego związku pisma z księdzem, następnie biskupem i prymasem Polski – Stefanem Wyszyńskim.

Bernardeta Iwańska-Cieślik, w pracy na temat cenzury w „Ładzie Bożym" w 1949 r., napisała: „Niewygodne mogło okazać się wszystko: stosunki międzynarodowe, bieżące wydarzenia krajowe, niesprzyjające warunki atmosferyczne, wypowiedzi »Myszki Szarusi« zawarte w dodatku dla dzieci". Cenzurowano biskupów wypowiadających się na tematy teologiczne czy społeczne, ingerowano w dokumenty Kościoła. W historii PRL najpoważniejszym żądaniem poddania cenzurze było to wyrażone przez przedstawicieli władzy na Jasnej Górze w 1983 r. wobec kazań Jana Pawła II. Papież, za pośrednictwem ks. Stanisława Dziwisza, przekazał krótko, że jeżeli w swojej ojczyźnie nie będzie się mógł wypowiadać swobodnie – wyjedzie. Władze uruchomiły tysiące agentów i współpracowników, by chodzili na Msze i inne spotkania w kościołach, nagrywali i pisali raporty, które stawały się pretekstem do żądań cenzorskich w stosunku do biskupów.

O CO CHODZI?

15 lipca 2025 r., jak głosi oficjalna informacja Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ambasador RP przy Stolicy Apostolskiej „wręczył Javierowi Domingo Fernandezowi

eprasa.pl fdc20b0008

Gonzalesowi, szefowi Protokołu Dyplomatycznego Stolicy Apostolskiej, démarche" dotyczące kazań biskupów Antoniego Długosza i Wiesława Meringa na Jasnej Górze. Jest to dokument dziwny (fakt jego wystosowania również), ale nie zaskakujący.

Pomijam, że szef Protokołu Stolicy Apostolskiej posiada oficjalne tytuły Msgr. (Monsignore) oraz Prałat Honorowy Jego Świątobliwości. Nie będę się również pastwił nad zawartością wskazującą, że dokument powstał na kolanie, nagle, pełen jest przeinaczeń, manipulacji. Zarzuca biskupom popieranie nieistniejącej organizacji. Dwie jednak sprawy poruszone w dokumencie zwracają szczególną uwagę. Po pierwsze – większość rozważań dotyczy troski ministra spraw zagranicznych Polski o stosunki z Niemcami. Łapię się na myślach, że nie do wiedzy polskiego Episkopatu, a nawet dyplomacji watykańskiej, a do wiedzy dyplomacji niemieckiej minister Radosław Sikorski owo démarche napisał.

Po drugie – w dokumencie zwraca uwagę odniesienie do konkordatu z 1993 r. podpisanego między Rzecząpospolitą Polską i Stolicą Apostolską. Kazania biskupów wygłoszone na Jasnej Górze – zdaniem ministra – „naruszają zasady opisane w konkordacie". Boję się wnioskować, że dokument pisał przypadkowo złapany wieczorem na korytarzu MSZ pracownik, jeszcze do tego wracający z dyplomatycznego przyjęcia. Jak by nie było, ktoś otrzymał wytyczne, a następnie dokument był weryfikowany, zatwierdzony i podpisany. Démarche nie jest dokumentem byle jakim. Dostarczony oficjalną drogą do innego państwa wszedł w międzynarodowy obieg dyplomatyczny i będzie analizowany. Tak jak ostatnie lata sprzyjają analizowaniu kierunku, w którym zmierza obecna formacja ideowo-polityczna władająca krajem. Poważna nota zwraca uwagę i oczekuje reakcji. Bardziej czy mniej bulwersujące władzę wypowiedzi kapłanów, także funkcyjnych, a nie emerytowanych, są częste i nie powodują aż takich wzmożeń.

Rządząc krajem, należy brać pod uwagę skutki swoich działań. Szczególnie stąpanie po cienkim lodzie dyplomacji, do tego w zetknięciu z dysponującej setkami lat doświadczenia dyplomacji Stolicy Świętej, wymaga uwagi, rozsądku i odpowiedzialności.

Od lat powtarzające się dywagacje prominentnych przedstawicieli partii rządzącej, podające w wątpliwość istnienie umowy międzynarodowej łączącej państwa watykańskie i polskie, i w ślad za tym umów regulujących wzajemne stosunki państwa i kościołów, zmuszają do zastanowienia, o co chodzi, gdy ważny minister rządu w oficjalnym dokumencie rangi międzynarodowej pozwala sobie na przedstawienie pretekstu o naruszeniu konkordatu.

To już inna skala problemu niż próby obejścia i uznania za nieistniejącą umowę wewnątrzkrajową przez kierującą Ministerstwem Edukacji Barbarę Nowacką – w sprawie nauczania religii.

Oczywiście jest możliwe wytłumaczenie prozaiczne: minister Sikorski aktywnie włączył się do wyścigu o zmianę szefa partii rządzącej i może to uczynić przy wsparciu tych, dla których konflikt, a wręcz walka z Kościołem jest warunkiem koniecznym. Warto uważnie śledzić dalszy rozwój sytuacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

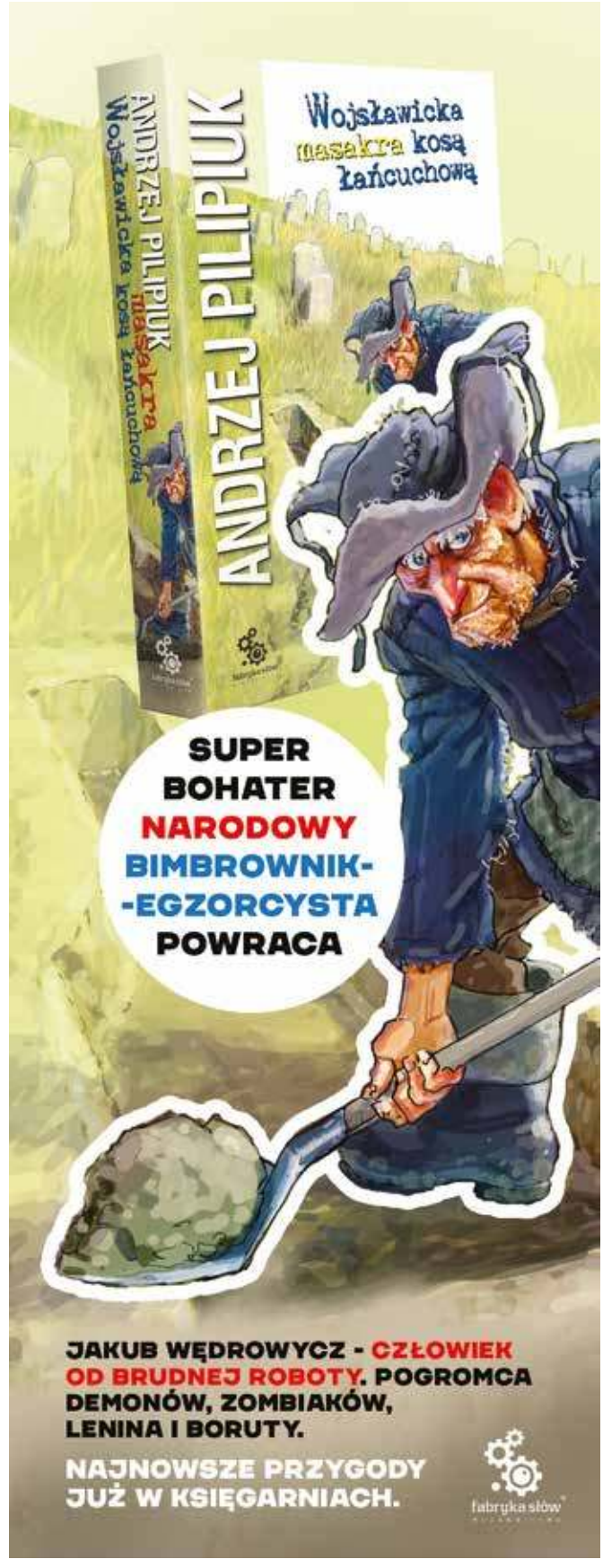

eprasa.pl fdc20b0008

Paweł Chmielewski

Katolickie media w rozsypce?

Katolickie media w Polsce od dawna nie spełniają swojej funkcji. Nie służą prawdzie o Kościele, nazbyt często ograniczając się do powtarzania propagandy. Najgorsze, kiedy jest to propaganda otwarcie niekatolicka

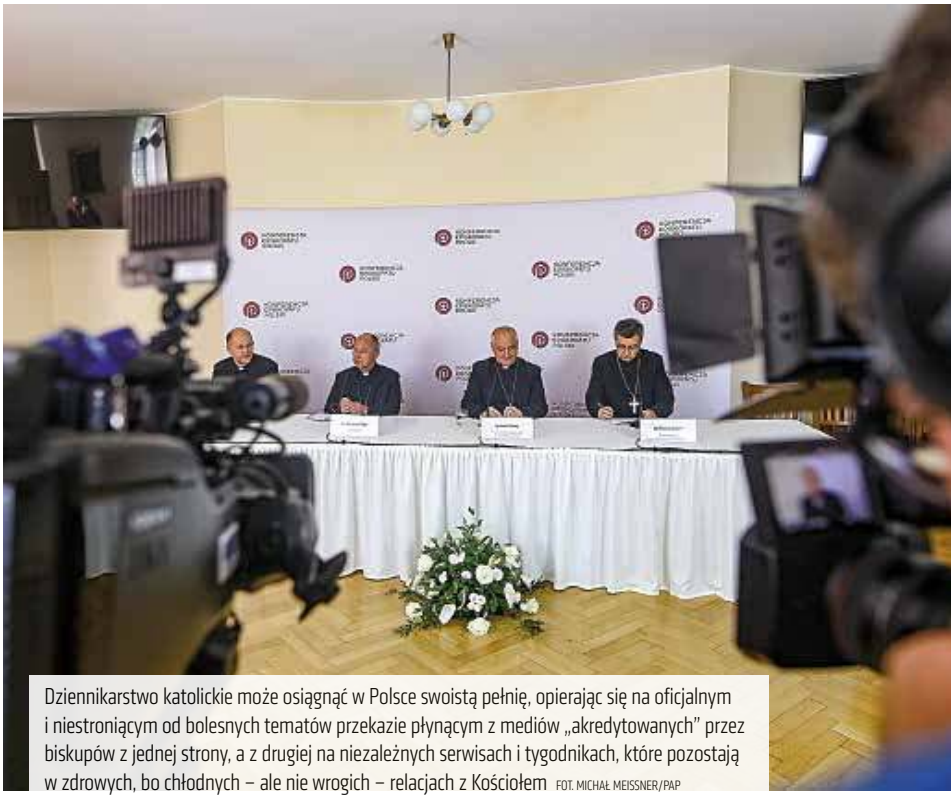

Dziennikarstwo katolickie może osiągnąć w Polsce swoistą pełnię, opierając się na oficjalnym i niestroniącym od bolesnych tematów przekazie płynącym z mediów „akredytowanych" przez biskupów z jednej strony, a z drugiej na niezależnych serwisach i tygodnikach, które pozostają w zdrowych, bo chłodnych – ale nie wrogich – relacjach z Kościołem FOT. MICHAŁ MEISSNER/PAP

Konferencja Episkopatu Polski chce dokonać dużych zmian w katolickich mediach. Jednym z głównych kroków ma być faktyczna likwidacja Katolickiej Agencji Informacyjnej – KAI. Agencja istnieje od 1993 r. i podlega władzy biskupów. Należałoby oczekiwać, że będzie pełnić misję typową dla wszystkich mediów ściśle katolickich, to znaczy pisać o sprawach kościelnych i społecznych w zgodzie z nauką Kościoła katolickiego.

Zazwyczaj tak jest – ale nie zawsze. Od dłuższego czasu KAI boryka się z poważnym lewicowym ukąszeniem. W jednym z poprzednich numerów pisałem o tym, jak jej dziennikarze – wiceszef KAI Tomasz Królak oraz redaktor Dawid Gospodarek – zachowali się tuż przed drugą turą wyborów prezydenckich. Pierwszy opublikował wywiad z czeskim księdzem Tomaszem Halikiem, który lżył prezydenta Donalda Trumpa i wieszał psy na europejskim prawicowym populizmie, co stanowiło dla każdego odbiorcy jasną wskazówkę: byle nie Karol Nawrocki. Drugi zamieścił w KAI wywiad z byłym rektorem KUL, ks. prof. Andrzejem Szostkiem, w treści deprecjonującym znaczenie tematu ochrony życia dzieci poczętych dla wyborów politycznych, co ostatecznie mogło zostać odebrane wyłącznie jako głos na rzecz co najmniej rozważenia wsparcia Rafała Trzaskowskiego.

Takich incydentów było w ostatniej historii KAI znacznie więcej. Agencję, która w przededniu wyborów publikuje materiały de facto krytyczne wobec kandydata antyaborcyjnego i odrzucającego ideologię gender, trudno z pełną odpowiedzialnością nazwać „katolicką". To trochę tak, jak z „Tygodnikiem Powszechnym". Krakowski dziennik cały czas podpisuje się jako „katolickie pismo społeczno-kulturalne", co nie przeszkadza mu w promocji ideologii LGBT, legalności dzieciobójstwa prenatalnego czy nawet innych religii (niektórzy jego redaktorzy mają szczególną skłonność do wychwalania azjatyckiej, ateistycznej filozofii buddyjskiej).

Ostatecznie jednak „Tygodnik Powszechny" jest medium prywatnym, nawet jeżeli nazywa siebie „katolickim". KAI prywatna nie jest. To narzędzie w rękach biskupów, a mówiąc językiem nieco bardziej teologicznym – w rękach następców apostołów. Jako taka powinna wykonywać misję w ścisłej i całkowitej wierności wobec Magisterium Kościoła katolickiego, służąc Ewangelii i prawdzie.

SPOKÓJ ZAMIAST PRAWDY

Likwidacja KAI i jej włączenie w nową strukturę nie rozwiąże jednak wszystkich problemów. W istocie… może nie rozwiązać niemal niczego. Katolickie media powinny troszczyć się o prawdę. Z tym jest tymczasem poważny kłopot. W katolickich periodykach zwykle próżno szukać informacji o tym, co naprawdę dzieje się w Kościele katolickim. Gdyby ktoś ograniczył się wyłącznie do lektury tygodników wykładanych w kościołach po niedzielnej Mszy Świętej, nie dowie-

eprasa.pl fdc20b0008

działby się nic albo prawie nic o wielkich sporach wstrząsających globalnym katolicyzmem. Jeżeli w ostatnich latach informowano w katolickich mediach o takich sprawach jak udzielanie Eucharystii protestantom, obnoszenie po kościołach Watykanu pogańskiej figurki Pachamamy, relatywizm religijny promowany przez samego Ojca Świętego czy skandaliczne zamieszanie wokół Synodu o synodalności, to robiono to zwykle tak, by wybielić rzeczywistość. Spokój zamiast prawdy – to zawsze kuszące. Można twierdzić, że jest w tym logika. Po co zawracać dobrym, pobożnym ludziom głowę takimi problemami, jak oskarżanie papieża o herezję? Mogłoby to wstrząsnąć ich prostą wiarą.

Jakkolwiek na tej samej zasadzie Żydzi powinni mieć słuszność w sprawie Chrystusa. Przepraszam za może nieco ekstrawaganckie porównanie, ale ostatecznie Zbawiciel bezpardonowo piętnował obłudę i zakłamanie ówczesnych władz religijnych Izraela. Czy nie naruszał atmosfery spokoju i nie narażał maluczkich na zwątpienie w czystość intencji ich liderów? Podam banalny przykład. W dniu, w którym piszę ten tekst, w sieci aż wrze po ujawnieniu informacji na temat manipulacji, których dopuścił się Watykan, uzasadniając w 2021 r. nowe ograniczenia dla Mszy trydenckiej. Za granicą rozpisują się o tym zarówno katolickie portale lewicowe, jak i prawicowe. W Polsce w mediach katolickich panuje całkowita cisza.

Na tym fatalnym tle w ostatnim czasie w jakimś sensie wyróżniał się serwis Opoka prowadzony przez Fundację Opoka, którą kieruje ks. Marek Gancarczyk. Serwis Opoka, podobnie jak KAI, podlega Konferencji Episkopatu Polski. Potrafił jednak publikować bardzo wyraziste i jednoznaczne teksty takich cenionych i sprawdzonych autorów jak księża profesorowie Robert Skrzypczak, Paweł Bortkiewicz czy Dariusz Kowalczyk. W sumie jednak kilka felietonów na Opoce nie mogło przełamać ogólnego fatalnego obrazu mediów katolickich w Polsce.

KONSEKWENCJE SŁABOŚCI

Tymczasem słabość oficjalnych katolickich mediów, które nie piszą o faktach, ma swoje katastrofalne konsekwencje. Media te nie są ani ciekawe, ani wiarygodne – a to sprawia, że ludzie sięgają po najrozmaitsze inne źródła, często zupełnie nierzetelne. W sieci mnożą się na potęgę niesamowite kłamstwa na temat katolicyzmu i sytuacji Kościoła, podawane przez nominalnie katolickich publicystów czy blogerów. Z jednej strony można tam znaleźć całą masę nagrań liberalnych czy pseudocharyzmatycznych aktywistów, którzy posługując się katolicką frazeologią, przedstawiają widzom protestanckie bzdury.

Z drugiej, szerzy się cała masa materiałów opartych na prywatnych objawieniach – fałszywych czy prawdziwych, nikogo to nie interesuje. Bloger wrzuca nagranie o słowach, które rzekomo miała wypowiedzieć Matka Boża, i dziesiątki lub setki tysięcy wyświetleń ma niemal gwarantowane.

Z trzeciej wreszcie strony YouTube zalewany jest przez fałszywą propagandę autorów, którzy uważają się za konserwatywnych albo tradycjonalistycznych. Szerzą otwarte kłamstwa, np. przekonując, że Franciszek nie był nigdy papieżem, albo straszą rychłym końcem Kościoła i świata, opierając się nie tyle na własnych urojeniach, ile raczej na nieposkromionej chęci budowania szerszych zasięgów.

W ostatnich tygodniach ten problem dotyka coraz bardziej nowego papieża, Leona XIV. W polskim Internecie działają kanały, które opisują działalność Ojca Świętego w całkowicie nierzetelny sposób, przypisując mu decyzje i działania, których wcale nie podjął ani nie zrealizował, tylko po to, by zrobić z Leona „prawicowego herosa" i nabić sobie więcej wyświetleń, co później pomaga np. w sprzedaży ich produktów. Widzowie nie są w stanie tego zweryfikować. Bo i jak, skoro katolicka prasa konsekwentnie pomija wszystkie „trudne" tematy?

Właśnie dlatego Konferencja Episkopatu Polski musi dysponować mediami, które będą budzić zaufanie odbiorców. Bez taniej propagandy, bez pudrowania rzeczywistości muszą opowiadać o tym, co naprawdę dzieje się w Kościele katolickim, relacjonując nie tylko wspaniałe wydarzenia ewangelizacyjne, lecz także wielkie kryzysy, których dziś doprawdy nie brakuje. Ludzie nie odpływaliby tak masowo do wątpliwej jakości prywatnych kanalików na YouTube, gdyby byli przekonani, że w oficjalnych serwisach katolickich znajdą wiarygodną relację ze spraw kościelnych. Tak jednak nie jest, dlatego coraz bardziej szerzą się dezinformacja, kłamstwo i propaganda. Fałsz żeruje na bezsilności i politycznej poprawności mediów oficjalnych. Być może uda się to zmienić – jeśli na skutek reform podjętych przez Konferencję Episkopatu Polski katolickie media przyjmą prymat prawdy, a nie wyłącznie „świętego spokoju".

DZIENNIKARSKA PEŁNIA

Nie chodzi oczywiście o to, by media kontrolowane przez episkopat miały zastępować pracę mediów prywatnych. Tego nie da się zrobić – i nie byłoby to właściwe, bo inicjatywy niekościelne wykonują często bardzo potrzebną robotę, pod warunkiem, że chodzi o media poważne, a nie drobne, jedno- czy kilkuosobowe inicjatywy stojące w całkowitej opozycji do biskupów i hierarchii kościelnej w ogóle. Praca prawicowych i stąd bliskich Kościołowi mediów prywatnych była w ostatnich latach często jedyną deską ratunku dla ludzi, którzy chcą dowiedzieć się o sprawach ukrywanych przez kościelny mainstream, jednocześnie nie narażając się na ryzyko konsumowania treści zupełnie niesprawdzonych i popartych autorytetem opartym wyłącznie na liczbie kliknięć na kanał czy profil danego blogera. Kościelne media oficjalne, pomimo wszelkich starań, zawsze natrafią na jakieś ograniczenia, których większe prawicowe inicjatywy prywatne po prostu nie mają.

W ten sposób dziennikarstwo katolickie może osiągnąć w Polsce swoistą pełnię: z jednej strony opierając się na oficjalnym i niestroniącym od bolesnych tematów przekazie płynącym z mediów „akredytowanych" przez biskupów, z drugiej – na niezależnych serwisach i tygodnikach, które pozostają w zdrowych, bo chłodnych – ale nie wrogich – relacjach z Kościołem hierarchicznym. Jeżeli takiej dwutorowości nie będzie – a dotąd jej nie było na skutek niskiej wiarygodności kanałów oficjalnych – to dalej szerzyć się będzie szaleńcza wręcz dezinformacja: czy to lewicowo-modernistyczna, czy pseudoprawicowa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl fdc20b0008

Pomnik ofiar obławy augustowskiej w Gibach
FOT. JERZY UNDRO/REPORETER

Z dr. Markiem Jedynakiem, historykiem, dyrektorem Oddziału IPN w Białymstoku
rozmawia Piotr Włoczyk

Największa tajemnica obławy augustowskiej

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego tuż po wojnie Polska straciła leśniczówkę Giedź?

DR MAREK JEDYNAK: Niedługo po zakończeniu operacji wojskowej, którą po 1989 r. znamy pod nazwą „obława augustowska", niedaleko miejscowości Kalety, doszło do korekty granicy na korzyść Związku Sowieckiego. Przesunięto wtedy nieznacznie dosłownie kilka słupów granicznych.

Zastanawiające jest, że leśniczówka Giedź była obiektem, który właściwie nie miał większego znaczenia strategicznego i nie było tam żadnego węzła komunikacyjnego. Zmiana przebiegu granicy oznaczała, że od strony sowieckiej nikt postronny nie mógł się tam zapuszczać, ponieważ był to pas graniczny znajdujący się pod kontrolą wojska. Wszystko wskazuje na to, że korektę przeprowadzono w jednym celu: tajemnica, którą skrywała ziemia w okolicy leśniczówki, miała pozostać nieodkryta.

Co konkretnie zwróciło uwagę polskich badaczy na tę leśniczówkę?

Podczas śledztwa, które podjęła Komisja Ścigania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu przy Oddziale IPN w Białymstoku, zostały przeprowadzone badania wykonane przez Instytut Geodezji i Kartografii. Sprawdzono wówczas m.in. teren leśniczówki Giedź. W wyniku analizy zdjęć satelitarnych ustalono, że w rejonie leśniczówki pojawiają się anomalie terenowe.

Co to oznacza?

Badacze zaobserwowali tam obszary, które przypominają jamy grobowe, znane z Lasu Katyńskiego.

Czyli teren leśniczówki Giedź to obecnie najbardziej prawdopodobne miejsce zakopania ok. 600 ofiar obławy augustowskiej?

Tak, w tym momencie jest to najbardziej prawdopodobne miejsce zakopania ofiar tej największej zbrodni dokonanej na Polakach po drugiej wojnie światowej. Jednak trzeba podkreślić, że jest to wciąż jedynie hipoteza, ponieważ Białoruś i Rosja odmawiają udzielenia Polsce pomocy w kwestii wyjaśnienia tej sprawy – nie jesteśmy w stanie przeprowadzić badań terenowych w okolicy leśniczówki Giedź.

Część badaczy i rodzin ofiar podkreśla, że w wyniku obławy augustowskiej zamordowanych zostało 2 tys. ludzi. Większość historyków zajmujących się tym tematem mówi jednak o ok. 600 zabitych. Jak rozumieć te rozbieżności?

Dysponujemy szyfrogramem gen. Wiktora Abakumowa, szefa sowieckiego kontrwywiadu Smiersz, napisanym przez niego po aresztowaniu ponad 7 tys. mieszkańców ziem suwalskiej i augustowskiej. Spośród przesłuchanych Abakumow proponował zlikwidować 592 osoby, ponieważ według niego „nie rokowały" one nadziei na zmianę swojego stosunku do Związku Sowieckiego. Ta liczba zamordowanych znajduje potwierdzenie w dokumentach. Dodatkowo wiemy o jeszcze kilkunastu osobach, które wtedy zginęły, jak choćby sierż. Wacław Sobolewski ps. Sęk, który podczas obławy dostał się w ręce sowieckie. Próbując zbiec, został zabity na miejscu, a następnie zakopany w leju po bombie. Pracownikom IPN udało się trafić na ślad jego szczątków. W 2022 r. sierż. Sobolewski został ekshumowany i pochowany. Jako jedyna ofiara obławy augustowskiej! Państwo polskie było w stanie pochować tego żołnierza – z honorami – tylko dlatego że zginął on w czasie zatrzymania i Sowieci nie wywieźli go na „przesłuchanie".

Wracając do kwestii zabitych. Danuta i Zbigniew Kaszlejowie, regionaliści z Augustowa, społecznie opracowali listę osób zaginionych w obławie. Z imienia

eprasa.pl fdc20b0008

i nazwiska ustalili 513 ofiar. Gdyby w obławie zaginęło ok. 2 tys. osób, to ich rodziny powinny się o nie upominać. Powinniśmy zatem znać dużo więcej nazwisk. Nie mówimy tu przecież o ludziach z dużych miast, którzy byli bardziej mobilni, tylko o mieszkańcach wsi, bardzo przywiązanych do swojej ziemi, którzy mieli tu bliskich.

Niektórzy mówią w tym kontekście o „Małym Katyniu"...

To określenie od dłuższego czasu funkcjonuje w obiegu społecznym. Wychodzę z założenia, że nie powinniśmy używać takiego porównania. To, że Sowieci zamordowali wówczas ok. 600 osób, a nie 22 tys., nie znaczy, że miejsce tej zbrodni w naszej pamięci narodowej powinno być inne – gorsze. To cały czas największa zbrodnia dokonana na narodzie polskim po drugiej wojnie światowej. Ci ludzie zostali zabici za to, że byli Polakami i zostali uznani przez Sowietów za przeszkody w instalowaniu w Polsce komunizmu.

Kim były ofiary obławy augustowskiej?

Sowieci aresztowali wtedy ludzi w wieku od 16. do 38. roku życia – kobiety i mężczyzn. Łącznie zatrzymano ponad 7 tys. osób. Wśród ofiar śmiertelnych znalazło się ok. 30 kobiet i kilkanaście osób niepełnoletnich. W jednym przypadku ojciec i syn mieli tak samo na imię. Ojciec zdołał zbiec z wioski i zapewne nawet nie podejrzewał, że Sowieci mogą aresztować jego syna. Im jednak wystarczyło, że zgadzały się imię i nazwisko. Zabrali ze sobą tego chłopaka i już nigdy nie wrócił on do domu – został zabity.

Głównym kryterium aresztowania była przynależność do podziemia?

Tak, ale wystarczyło samo podejrzenie o przynależność do konspiracji. Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu uznała obławę augustowską za ludobójstwo. A to oznacza, że ściganie tej zbrodni nie ulega przedawnieniu. Jej sprawcy prawdopodobnie już nie żyją, natomiast śledztwo nie zostało zakończone z powodu braku współpracy ze strony Rosji i Białorusi. Jeżeli tylko sytuacja w tych krajach ulegnie zmianie i Polska uzyska w tym kontekście pomoc, to śledztwo będzie można wznowić.

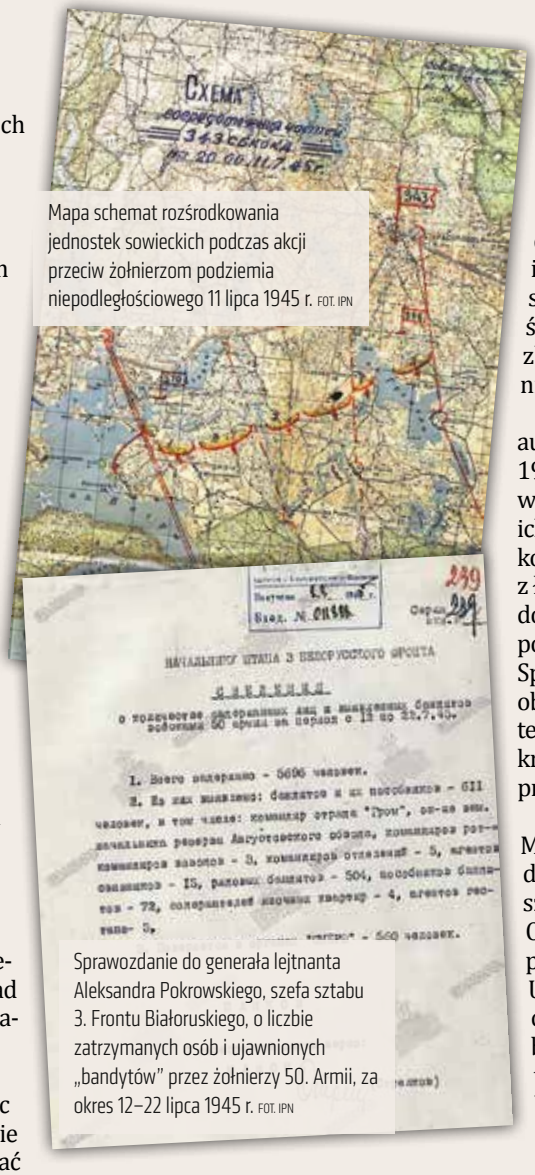

Mapa schemat rozśrodkowania jednostek sowieckich podczas akcji przeciw żołnierzom podziemia niepodległościowego 11 lipca 1945 r. FOT. IPN

Sprawozdanie do generała lejtnanta Aleksandra Pokrowskiego, szefa sztabu 3. Frontu Białoruskiego, o liczbie zatrzymanych osób i ujawnionych „bandytów" przez żołnierzy 50. Armii, za okres 12–22 lipca 1945 r. FOT. IPN

Jak to się stało, że tak dużo wiemy na temat zbrodni katyńskiej, znamy nawet z imienia i nazwiska katów z NKWD, którzy strzelali w głowę polskim oficerom, a o obławie augustowskiej wciąż tak niewiele wiadomo?

Katyń został nagłośniony z powodu wojny niemiecko-sowieckiej. Niemcy chcieli wykorzystać tę zbrodnię w celach politycznych, by uderzyć propagandowo w Sowietów. Niewykluczone, że gdyby wtedy nie odkryto dołów śmierci, to wciąż szukalibyśmy śladów po naszych oficerach, którzy „zniknęli" w sowieckich obozach.

Z kolei obława augustowska, jak od początku XXI w. nazywamy tę zbrodnię, bardzo długo była szerzej nieznana. O Katyniu mówiło się w całej Polsce od czasów wojny, natomiast o tym, co Sowieci zrobili latem 1945 r. Polakom z okolic Augustowa, było po prostu cicho. Rodziny ofiar były zastraszane i władzom komunistycznym udało się skutecznie wyciszyć ten temat. Oczywiście swoje robiła też mniejsza skala tej zbrodni, więc siłą rzeczy zainteresowanie było odpowiednio mniejsze.

W przestrzeni publicznej temat obławy augustowskiej pojawił się dopiero w roku 1987, gdy Stefan Myszczyński, mieszkaniec wsi Dworczysko, szukając szczątków swoich krewnych, natrafił w lesie na ludzkie kości. Ten mężczyzna chodził po lasach z łopatą i starał się za wszelką cenę znaleźć doły śmierci. Po powrocie do rodzinnej wsi powiadomił sąsiadów o swoim odkryciu. Sprawa rozniosła się po rodzinach ofiar obławy augustowskiej. Informacje na ten temat dotarły w końcu do opozycji demokratycznej, a także do zachodnich agencji prasowych.

Rozgłos wokół znaleziska Stefana Myszczyńskiego nie był na rękę władzom PRL, które w związku z tym szybko postanowiły zakończyć temat. Ogłoszono, że w odnalezionym grobie pochowano żołnierzy niemieckich. Jerzy Urban powiedział podczas konferencji, że władzom PRL nic nie wiadomo, by w przeszłości ktokolwiek na tych terenach zaginął w tajemniczy sposób. Urban zaprzeczył, by Sowieci dokonali tu zbrodni. Ta pospieszna procedura spowodowała jednak, że okoliczni mieszkańcy nie uwierzyli władzom.

Ponowne badanie przeprowadzono w 1989 r. i potwierdzono, że spoczywali tam Niemcy, o czym świadczyły m.in. resztki mundurów i nieśmiertelniki. Poza tym władze niemieckie przyznały, że w tamtym miejscu rzeczywiście znajdował się cmentarz polowy.

W latach 90. pojawiło się „okienko" możliwości, gdy w jelcynowskiej Rosji Polacy uzyskali dostęp do sowieckich archiwów, co pozwoliło w znacznej mierze wyjaśnić zbrodnię katyńską. Obława augustowska była zbyt mało znana, by ten temat pojawił się na agendzie podczas ówczesnych rozmów polsko-rosyjskich?

Wydaje się, że tak właśnie było. O zbrodni katyńskiej mówiło się od lat 40., natomiast obława augustowska była

eprasa.pl fdc20b0008

Budynek szkoły w Wiżajnach, gdzie przetrzymywano zatrzymanych w obławie augustowskiej FOT. IPN

tematem na tyle wyciszonym, a przez to niestety marginalnym, że ta kwestia nie została wyjaśniona wtedy, gdy istniała na to szansa. Od 1989 r. powoli rosła świadomość Polaków na temat tej zbrodni, ale tak naprawdę obława augustowska stała się głośnym tematem dopiero teraz, za sprawą ostatniej kampanii wyborczej.

Maksymilian Sznepf, którego nazwisko wywołał w trakcie debaty Krzysztof Stanowski, dowodził w czasie obławy augustowskiej jednostką Ludowego Wojska Polskiego, która pomagała Sowietom zatrzymywać ofiary.

Nie ulega wątpliwości, że jego nazwisko zostało tu wykorzystane instrumentalnie, natomiast dla nas, historyków, którzy od lat próbują spopularyzować wiedzę o tej zbrodni, była to okazja, by przebić się do opinii publicznej z informacjami, które przez lata zbieraliśmy. Cieszę się, że nieco przypadkowo ten temat zrobił się naprawdę głośny.

Jeszcze przed kampanią wyborczą, z okazji zbliżającej się 80. rocznicy obławy augustowskiej stworzyliśmy stronę internetową (www.oblawaaugustowska.pl) z podstawowymi danymi na ten temat, a także przygotowaliśmy słuchowisko, które emitowane jest przez regionalne rozgłośnie Polskiego Radia. Chcieliśmy na różne sposoby dotrzeć do Polaków z wiedzą o tej zbrodni, ale nie spodziewałem się, że będziemy tu mieli ułatwioną sprawę w związku z pojawieniem się tego tematu w trakcie kampanii wyborczej.

Dlaczego Sowieci zaangażowali wtedy tak ogromne siły – ok. 50 tys. żołnierzy?

Kontrwywiad wojskowy Smiersz miał wtedy błędne dane. Sowieci oceniali, że w rejonie Puszczy Augustowskiej może przebywać ok. 8 tys. doskonale uzbrojonych żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego, dysponujących nawet artylerią. Dlatego 29 czerwca 1945 r. naczelne dowództwo Armii Czerwonej zdecydowało, by powracającą spod Królewca 50. Armię 3. Frontu Białoruskiego przeznaczyć do spacyfikowania tego terenu. Według sowieckiej sztuki wojennej 50 tys. żołnierzy było uważanych za siłę adekwatną do rozbicia ośmiotysięcznego zgrupowania partyzanckiego. Nawiasem mówiąc, te proporcje związane są z oceną poprzednich walk z oddziałami partyzanckimi, toczonych jeszcze w czasie powstania styczniowego.

Żołnierze sowieccy byli wspierani przez funkcjonariuszy lokalnej milicji i UB. Milicjanci i ubecy nierzadko przetrwali wojnę z ludźmi, których teraz mieli wydać. Doskonale wiedzieli, kto gdzie mieszka i kto z kim współpracuje.

Kompania dowodzona przez Maksymiliana Sznepfa doskonale się sprawdziła na szlaku bojowym od Lenino aż do Berlina, również pod kątem oddania „ideałom" nowych władz. Ci żołnierze nie mieli żadnych wątpliwości, że w Puszczy Augustowskiej walczą z tzw. bandami

Dodatkowo w ten rejon została skierowana wzmocniona kompania z 1. Praskiego Pułku Piechoty, dowodzona przez wspomnianego już Maksymiliana Sznepfa. To byli żołnierze, którzy przeszli szlak bojowy od Lenino przez Wał Pomorski aż do Berlina.

Akurat tych żołnierzy nie da się chyba bronić na zasadzie: chcieli walczyć z Hitlerem o wolną Polskę i skoro nie mogli trafić do wojska podległego polskiemu rządowi w Londynie, to poszli do jedynego wojska, w którym mogli służyć...

Nic z tych rzeczy, oni nie znaleźli się tam przypadkiem. Ta jednostka doskonale się sprawdziła na szlaku bojowym, również pod kątem oddania „ideałom" nowych władz. Ci żołnierze nie mieli żadnych wątpliwości, że walczą z tak zwanymi bandami.

Instytut Pileckiego, który opublikował kuriozalny wpis na temat Sznepfa, odebrany przez wielu komentatorów jako próba minimalizowania jego udziału w tej zbrodniczej operacji, stwierdził, że dowodzona przez niego jednostka „zatrzymała 22 osoby, z których część nigdy nie wróciła do domu".

Trzeba tu zrobić małe sprostowanie – Instytut Pileckiego ewidentnie nie sięgnął w tej sprawie do dokumentów. W rzeczywistości dowodzony przez Maksymiliana Sznepfa oddział zatrzymał w trakcie obławy augustowskiej 55 osób. Z czego, co sami raportowali jego żołnierze, jedna osoba została przez nich zabita w trakcie próby zatrzymania.

Jak duże były w rzeczywistości polskie siły w rejonie Augustowa?

Przyjmuje się, że podziemie niepodległościowe liczyło w tamtym rejonie do 2 tys. osób. A na samym terenie objętym obławą przebywał tylko jeden oddział liczący 150–200 żołnierzy. Wszystkie inne oddziały, które zorientowały się, że Sowieci zbierają potężne siły, wycofały się z tamtych terenów. Sowieci zatrzymywali więc niemal tylko cywilów. Owszem, zaangażowanych w różnym stopniu w działalność konspiracyjną, ale jednak bezbronnych cywilów.

Dlaczego takie operacje nie powtórzyły się w podobnej skali w innych miejscach Polski? Przecież latem 1945 r. polskie lasy były jeszcze pełne żołnierzy podziemia niepodległościowego.

Widzimy tu tragiczny zbieg okoliczności. Sowieci wykorzystali okazję – w rejonie Prus Wschodnich znajdowała się olbrzymia masa wojsk, które latem 1945 r. były wycofywane do ZSRS. Uznano najwyraźniej, że na koniec ci żołnierze wykonają jeszcze jedno, ostatnie zadanie bojowe.

Natomiast później w wielu innych miejscach w Polsce wojska NKWD przeprowadzały klasyczne obławy przeciwko poszczególnym oddziałom partyzanckim, choć taka skala zbrodni już nigdy się nie powtórzyła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Marek Jedynak jest badaczem historii polskiego podziemia niepodległościowego, od 2022 r. pełni funkcję dyrektora Oddziału IPN w Białymstoku.

eprasa.pl fdc20b0008

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Karol Świerczewski

Spośród uczestników wojny domowej w Hiszpanii największą karierę w Polsce Ludowej zrobił sowiecki generał Karol Świerczewski. Jego mit stał się jednym z filarów powstania Polski Ludowej. Skończył zaledwie dwie klasy podstawówki. Od 1917 r. wiernie służył bolszewikom. W 1920 r. na własną prośbę udał się na „front polski" jako dowódca sowieckiego batalionu. Następnie był słuchaczem komunistycznych „kursów" i został kandydatem (czyli doktorem) nauk wojskowych! Od 1928 r. był funkcjonariuszem sowieckiego wywiadu wojskowego. Szkolił m.in. komunistów z Polski, nielegalnie przerzucanych do Moskwy kanałami Kominternu, w tym późniejszego satrapę… Władysława Gomułkę.

W 1936 r. został skierowany do Hiszpanii, do organizacji tzw. Brygad Międzynarodowych. Posługiwał się wówczas pseudonimem gen. Walter. Wsławił się szczególnie niekompetencją wojskową i niezwykłą brutalnością wobec jeńców wojennych. Był notorycznie pijany i dowodził podległymi sobie oddziałami w kalesonach.

Po powrocie do Związku Sowieckiego odznaczono go Orderem Czerwonego Sztandaru i Orderem Lenina. Po wybuchu wojny z Niemcami w czerwcu 1941 r. został skierowany na front jako dowódca dywizji. Stracił tę funkcję na skutek pijaństwa i popełnianych błędów. Kolejna faza jego kariery nastąpiła po stworzeniu nominalnie polskiego wojska.

Świerczewski jest odpowiedzialny za śmierć wielu żołnierzy AK i NSZ. Zatwierdzał masowo wydawane wyroki śmierci, biorąc w ten sposób udział w komunistycznych zbrodniach. Po sfałszowanych wyborach do Sejmu Ustawodawczego 19 stycznia 1947 r. został „posłem". 28 marca 1947 r. Świerczewski zginął w zasadzce bandy UPA pod Baligrodem. Komuniści zorganizowali mu ostentacyjny katolicki (!) pogrzeb, cały czas budując mit „człowieka, który się kulom nie kłaniał". Został odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Wojennego VM (nadawanym wcześniej jedynie za wielkie zwycięstwo na polu bitwy) i pochowano go w okazałym mauzoleum na warszawskich Powązkach.

Jego imieniem nazwano setki ulic, placów, szkół, zakładów pracy. Okazałe pomniki stanęły w całej PRL. Jako „gen. Walter" stał się patronem tzw. czerwonego harcerstwa, założonego w 1954 r. przez Jacka Kuronia. Walterowcy ostentacyjnie obnosili się z komunistyczną ideologią, na obozach śpiewali ukraińskie i żydowskie pieśni (w języku jidysz), ich znakiem rozpoznawczym były czerwone chusty. Z takiego środowiska wyrośli również Adam Michnik, Seweryn Blumsztajn, Andrzej Seweryn i wielu innych, którzy odegrali ogromną rolę w Polsce po 1989 r. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Tragedia na Wawelu

Wprawdzie królowa Jadwiga była osobą bardzo pobożną, ale nie była typem cichej i pokornej dziewczyny. Często reagowała gwałtownie, zdarzało się jej bywać upartą, potrafiła też na zimno i konsekwentnie narzucać swoją wolę. Do tego lubiła zabawę, dobrą muzykę i kuchnię, zawsze też bardzo elegancko się ubierała. Uwielbiała łowy na grubego zwierza, ale jednocześnie błyszczała intelektem, a posiadaną wiedzą potrafiła zadziwić niejednego dobrze wykształconego duchownego.

Jeżeli dodamy do tego jej urodę i wdzięk, to zrozumiałe stanie się uwielbienie, którym otaczano ją w kraju. Jadwiga faktycznie nie przypominała żadnej współczesnej sobie władczyni, była osobą zupełnie wyjątkową. Na swoim dworze skupiła elitę kulturalną kraju, to na jej zlecenie po raz pierwszy przetłumaczono „Księgę psalmów" na język polski. Ufundowała też wiele kościołów, dbała o uposażenie klasztorów. Dzięki niej powstał szpital w Bieczu, odnowiła też podobne placówki w Sandomierzu i Sączu.

W styczniu 1387 r. królowa osobiście poprowadziła wyprawę zbrojną na Ruś Halicką. Krainę tę oderwał od Polski jej ojciec, ale młoda królowa nie zapomniała, że zasiadała na tronie na Wawelu, a nie w Budzie. Wyprawa zakończyła się sukcesem, węgierskie oddziały nie stawiały oporu, do walk doszło tylko w Haliczu. Oczywiście Jadwiga osobiście nie dowodziła armią, ale jej obecność miała znaczenie psychologiczne i polityczne. Niebawem też Polsce złożył hołd lenny hospodar Mołdawii i wpływy naszego kraju sięgnęły do Morza Czarnego.

Innym celem Jadwigi było odnowienie Akademii Krakowskiej, która podupadła po śmierci Kazimierza Wielkiego. Królowa zabiegała na dworze papieskim o zgodę na powstanie wydziału teologicznego, co umożliwiłoby podniesienie uczelni do rangi uniwersytetu. Starania zakończyły się sukcesem, papież Bonifacy IX ogłosił specjalną bullę, zezwalając na wykładanie teologii. Wprawdzie brakowało środków finansowych, ale Jadwiga zapisała uczelni swoje klejnoty, mając nadzieję, że gdyby zmarła przedwcześnie, to wykonawcy ostatniej woli zrealizują jej marzenie. Zapewne jednak wierzyła, że osobiście uda się jej kontynuować dzieło Kazimierza Wielkiego.

Niestety, los nie okazał się łaskawy. W styczniu 1399 r. ogłoszono, że królowa spodziewa się dziecka, co spotkało się z ogromną radością w kraju. Jadwiga wpadła jednak w depresję, dręczyły ją złe przeczucia. I miała rację. Wprawdzie urodziła córkę, Bonifację Elżbietę, ale dziecko zmarło po trzech tygodniach. 17 lipca 1399 r. odeszła na zawsze także królowa, która w chwili śmierci nie miała jeszcze 26 lat. ©℗

eprasa.pl fdc20b0008

Wojciech Golonka

Donald Trump wysłał światu wiadomość, że Ameryka nie zostawia Ukrainy samej na pastwę rosyjskich ataków. Jednocześnie jasno dał do zrozumienia amerykańskim podatnikom i wyborcom znużonym interwencjonizmem zbrojnym, że tak naprawdę USA jedynie odpłatnie umożliwiają swym sojusznikom dalsze wspieranie Ukrainy. Zarabiają przy tym i jednocześnie zrzucają odpowiedzialność za potencjalną klęskę na kraje europejskie

Sekretarz generalny NATO Mark Rutte i prezydent USA Donald Trump w Białym Domu, 14 lipca 2025 r.

FOT. YURI GRIPAS/CNP/ZUMA PRESS/FORUM

Wojna na sprzedaż

Wprawdzie wyznaczony horyzont czasowy dla osiągnięcia celu wydatków na obronność w wysokości 5 proc. PKB krajów członkowskich NATO to dopiero rok 2035, jednak już teraz prezydent USA znalazł sposób, aby przetestować hojność i zaangażowanie państw sojuszu w chwili, kiedy Stany Zjednoczone ewidentnie stopniowo odsprzedają swe udziały w wojnie rosyjsko-ukraińskiej. Jednocześnie – zachowując swego rodzaju pakiet kontrolny, choć w tym wypadku być może bardziej właściwe byłoby mówienie o próbie kontroli własnej klęski i uniknięciu katastrofalnego scenariusza załamania ukraińskich linii obrony.

Aby zrozumieć niedawne posunięcie Donalda Trumpa z jego implikacjami – kiedy 14 lipca 2025 r. na spotkaniu w Białym Domu z sekretarzem generalnym NATO Markiem Ruttem zapowiedział dalsze dostawy zbrojne dla Ukrainy, jednakże na nowych zasadach – trzeba naświetlić je w szerszym kontekście zmian, które nastąpiły wraz z jego powrotem do Białego Domu. Otóż już na początku swego urzędowania nowa administracja, w osobie odpowiedzialnego za politykę zagraniczną sekretarza stanu Marca Rubia, otwarcie przyznała, że tocząca się na Ukrainie wojna jest jej wojną zastępczą z Rosją – która nie ma uzasadnienia z punktu widzenia interesów strategicznych Stanów Zjednoczonych, a zatem wymaga zakończenia, także ze względów humanitarnych. Wtórował mu sam Trump, który równie otwarcie odrzucił obowiązujący za poprzedniej kadencji mit o „niesprowokowanej agresji" Ukrainy przez Rosję, uznając zatem pewną współodpowiedzialność USA za wybuch tej wojny. Ten punkt widzenia, któremu towarzyszyła jawna próba skonstruowania przez Rubia nowego modus vivendi między USA a Rosją, z uwzględnieniem ich sprzecznych interesów w ramach wielobiegunowego porządku światowego, siłą rzeczy postawił Waszyngton, do pewnego stopnia, w roli petenta. Co z kolei Moskwa dość zręcznie wykorzystała, rozciągając w czasie wstępne rozmowy i domagając się od samych Stanów Zjednoczonych kroków uwiarygadniających ich stanowisko.

NIEMOŻLIWY POKÓJ

W tym chwilowym obopólnym jakby zauroczeniu Kijów wyglądał na jedynego, który pokoju osiągnąć nie chce, ale po pozbawionym skrupułów spacyfikowaniu ukraińskich oficjeli przez ich amerykańskich senior partnerów nie trzeba było długo czekać, aby to stanowisko Moskwy, zresztą klarownie artykułowane od dłuższego czasu, ostatecznie wybrzmiało w pełni, w postaci braku zgody na zamrożenie tego konfliktu na zasadach określonych przez Zachód. Wszak Rosja domaga się, oprócz neutralności Ukrainy i jej faktycznego rozbrojenia do minimum przy jednoczesnym wycofaniu zachodniej pomocy wojskowej, uznania, przynajmniej w praktyce, terytorialnych faktów dokonanych na polu bitewnym, o kwestii krymskiej nie wspominając. Ma się rozumieć, zaakceptowanie tych warunków nie tylko oznaczałoby wprost klęskę Zachodu z USA na czele, lecz także wskazałoby na nieodpowiedzialność zachodnich decydentów, którzy skutecznie zachęcili Kijów do zerwania rozjemczych rokowań stambulskich w marcu 2022 r. Z ich jednak mniej drastycznymi dla Ukrainy niż obecnie warunkami – co rodziłoby pytanie, jaki był sens, po stronie ukraińskiej, złożonej w tym czasie gigantycznej daniny krwi i ludzkich boleści.

Do tej spuścizny Joe Bidena, jak co chwila podkreśla to Trump, doszedł w tym czasie kolejny istotny element w postaci twardej hierarchii priorytetów dla amerykańskich sił zbrojnych, a mianowicie absorbujących ich uwagę i zasoby wojen Beniamina Netanjahu na kilku frontach – w Gazie, Libanie i Syrii

eprasa.pl fdc20b0008

– zwieńczonych intensywną, 10-dniową wojną żydowsko-perską z pośrednim udziałem Ameryki. Wprawdzie same doniesienia były w tej kwestii sprzeczne, niemniej można zasadnie skłonić się do opinii, że chroniąc izraelskie terytorium przed irańskimi pociskami, z ograniczoną przy tym skutecznością, Stany Zjednoczone zaczęły niebezpiecznie zbliżać się do granic swej wydolności w tym zakresie, o horrendalnych kosztach tego procederu nie wspominając. Tym samym ukraińskie niebo stało się chwilowo otwarte na ostrzał, przynajmniej w zderzeniu z potężną skalą ataków Rosjan z powietrza w głąb kraju, najwyraźniej rozochoconych znieczulającymi opinię publiczną przykładami uderzeń najbardziej humanitarnej armii świata z siedzibą w Palestynie oraz nie mniej efektownymi kontruderzeniami ze strony reżimu ajatollahów. Nie można też wykluczyć, a nawet byłoby to spójne z resztą obrazu, że chwilowe odsłonięcie ukraińskiego nieba z amerykańskich środków obronnych było do pewnego stopnia również efektem toczących się rozmów na linii Waszyngton-Moskwa, uwzględniających także kwestię irańską. Jakkolwiek było, cezura w postaci wojny izraelsko-irańskiej była dla Donalda Trumpa, przy jego deklaracjach zerwania z prowojenną polityką Joe Bidena i jednoczesnej ewidentnej niemocy szybkiego zamrożenia wojny na Ukrainie, pożądaną okazją do zredefiniowania formy militarnego amerykańskiego wsparcia dla Ukrainy na rzecz lukratywnego i bezpieczniejszego dla USA outsourcingu.

KTO ZAPŁACI RACHUNEK?

To właśnie nastąpiło w połowie lipca, przy pełnej aprobacie sekretarza generalnego sojuszu północnoatlantyckiego: Stany Zjednoczone dalej będą wspierać Ukrainę, ale tylko pośrednio, sprzedając odpowiednie rodzaje broni państwom sojuszniczym, które następnie przekażą Ukrainie broń z własnych zapasów (a więc niekoniecznie tę właśnie zakupioną), na swój koszt lub w ramach własnych rozliczeń, co równie dobrze będą mogły sobie odpisać od wymaganych w NATO limitów minimalnych wydatków na obronność… Obwieszczając te nowe zasady gry, Donald Trump wysłał światu wiadomość, że Ameryka nie zostawia Ukrainy samej na pastwę rosyjskich ataków, ale jednocześnie jasno dał do zrozumienia amerykańskim podatnikom i wyborcom znużonym interwencjonizmem zbrojnym, że tak naprawdę USA jedynie odpłatnie umożliwiają swym sojusznikom dalsze wspieranie Ukrainy, zarabiając przy tym i jednocześnie zrzucając odpowiedzialność za potencjalną klęskę na kraje europejskie. Im – w razie wojny – równie dobrze można zarzucić, że niewystarczająco zaangażowały się w konflikt, który w końcu geograficznie i politycznie dotyczył ich o wiele bardziej bezpośrednio niż odległe Stany Zjednoczone. W posunięciu Donalda Trumpa jest zatem dla krajów Europy podwójna pułapka.

Po pierwsze, poprzez przejęcie pełnego ciężaru za bezterminowe finansowanie wojny, która – wedle konsensu dowódców i co bardziej trzeźwych polityków – na polu bitwy rozstrzygnięta być nie może, przynajmniej nie przez Ukrainę. Po drugie, poprzez wzięcie przez te kraje zasadniczej odpowiedzialności politycznej za potencjalną klęskę Ukrainy – tu zaś trzeba pamiętać, że choć dostawy zachodniej broni są bezwzględnie potrzebne do podtrzymania oporu jej sił zbrojnych, to główną bolączką tych ostatnich jest akurat chroniczny brak chętnych do zasilania ich szeregów przy jednoczesnych rekordowo licznych aktach dezercji lub uchylania się od służby wojskowej. W konsekwencji rozrzedzające się linie obrony Ukrainy umożliwiają dziś penetrację grup dywersyjnych operujących na ich tyłach – co już nastąpiło w Pokrowsku – a zupełne przeciążenie tych linii równie dobrze umożliwiłoby Rosjanom przełamanie frontu. Na razie jednak nie każdy sojusznik USA pisze się na skupowanie od Ameryki udziałów w tej potencjalnej masie upadłościowej, a bardziej słychać o krajach wymijających się od podobnych zakupów niż o właściwych chętnych. Stanowczo oporne Węgry są akurat wierne swej linii od początku konfliktu; Włochy, wiadomo, są mistrzami lawirowania, gdy idzie o wydatki; Francja chce stawiać na rozkręcenie własnego przemysłu zbrojeniowego, więc również nie skorzysta z propozycji Trumpa, a uchylając się od zaproszenia, Petr Fiala najwyraźniej chce zminimalizować widmo klęski swego rządu w zbliżających się październikowych wyborach parlamentarnych w Czechach. Ze strony Niemiec płyną doniesienia o możliwości zakupu kilku baterii Patriot dla Ukrainy – co jest akurat najbardziej pilne – natomiast jako wstępnie zainteresowanych propozycją Trumpa Reuters wymienił jeszcze kraje skandynawskie, Wielką Brytanię, Holandię oraz Kanadę. Ze strony Polski brak na razie stanowiska w tej kwestii – wprawdzie Radosław Sikorski lobbuje za finansowaniem zakupów broni dla Ukrainy z zamrożonych aktywów rosyjskich (z czym z kolei wiążą się inne bolączki), niemniej doświadczenie pokazuje, że nie ma ofiar finansowych i skali zadłużania kolejnych pokoleń Polaków, na które nie przystałyby rządy PO czy PiS, gdy idzie o wojnę na Ukrainie – więc równie dobrze można spodziewać się najbardziej obciążających nas wariantów, a przynajmniej warto je in blanco oprotestowywać.

Samo rozwiązanie Trumpa niesie ze sobą jednak jeszcze dwie kluczowe niewiadome: proces dozbrajania Ukrainy jest procesem czasochłonnym, podczas gdy rosnąca przewaga Rosjan w powietrzu ma miejsce tu i teraz – stąd pytanie, czy ruch Białego Domu jest rzeczywiście założeniem strategicznym czy doraźną akcją PR-owską. Ponadto, obok outsourcingu dozbrajania Ukrainy jego planowi towarzyszy 50-dniowe ultimatum dotyczące, w przypadku braku wypracowania rozejmu, totalnej wojny celnej z Rosją i krajami z obozu BRICS, poprzez wymianę handlową utrzymującą gospodarkę rosyjską w dość dobrej kondycji. Tu znowu rodzą się ważne pytania. Pierwsze: Czy aby Waszyngton nie daje przypadkiem Moskwie półtoramiesięcznego okienka na przeprowadzenie letniej ofensywy ostatniej szansy? Drugie: Czy w przypadku twardej postawy Kremla BRICS okaże się solidarny i czekają nas globalne turbulencje handlowe (Chiny oznajmiły ostatnio przecież oficjalnie, że nie pozwolą Rosji tej wojny przegrać)? Do tej kwestii trzeba będzie zatem powrócić w miarę dalszego rozwoju sytuacji, natomiast dziś nie ma wątpliwości, że Stany Zjednoczone swoim ruchem przerzucają rachunek za dalsze trwanie wojny na jej różnego rodzaju protagonistów, po obu stronach konfliktu. Oferta wojny na sprzedaż to wprawdzie rzadkość, aczkolwiek to też nie powód do inwestycji, nawet na przecenie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fdc20b0008

Szaszką i nahajką

Żołnierz Kozackiej Brygady Zmechanizowanej

FOT. ALEXANDER REKA/ZUMA PRESS/FORUM

Maciej Pieczyński

Bojówkarze z nahajkami, walczący z wewnętrznymi i zewnętrznymi wrogami Kremla. Odtwórcy historyczni, którzy kontynuują tradycję imperium. Współczesne kozactwo rosyjskie to zarówno wojsko, folklor, polityka, jak i opłacalny biznes

Moskwa bardzo chętnie korzysta z usług nieregularnych, formalnie oddolnych organizacji paramilitarnych. Najbardziej znane to prywatne firmy wojskowe, z osławioną Grupą Wagnera na czele. Mniej słyszy się o Kozakach, których – według różnych szacunków – przez ukraiński front od początku tzw. specoperacji przewinęło się od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy. Kozacy walczą z Ukrainą zarówno jako żołnierze regularnych jednostek, zaciągnięci w ramach częściowej mobilizacji, jak i w szeregach kozackich oddziałów ochotniczych podlegających Ministerstwu Obrony. Te ostatnie zaczęły powstawać na początku „specoperacji".

Batalion „Don" im. Arcystratega Michaiła (w prawosławnej tradycji – dowódcy anielskich zastępów, a także patrona Rusi i… Kijowa) został sformowany już w marcu 2022 r. i walczył najpierw pod Mariupolem, potem pod Iziumem. Od tamtej pory, podobnie jak niektóre inne bataliony ochotnicze, rozrósł się do poziomu brygady. Oprócz zadań bojowych dońscy Kozacy na ukraińskim froncie zajmują się – według oficjalnej wersji – również działalnością humanitarną. Stacjonując na Mierzei Kinburskiej w obwodzie chersońskim, najpierw dostarczali żywność

eprasa.pl fdc20b0008

tamtejszym cywilom, a potem pomagali w ich ewakuacji. Tymczasem, jak ujawnili ukraińscy dziennikarze śledczy z portalu Schemy, Kozacy prowadzili stamtąd ostrzał artyleryjski cywilnej infrastruktury Oczakowa – miasta położonego po drugiej stronie Limanu Dnieprowskiego.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Dowódcą „Donu" został Aleksiej Kondratiew, w latach 1998–2010 żołnierz rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU, gdzie dosłużył się stopnia pułkownika. Walczył w Czeczenii, Kosowie i Gruzji. Po odejściu do cywila został politykiem prezydenckiej partii Jedna Rosja – był merem Tambowa i senatorem Rady Federacji. Inicjatorem powstania jednostki był naczelny ataman Związku Kozaków-Wojowników Rosji i Zagranicy, Nikołaj Diakonow. W latach 1998–2009 służył w Siłach Zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Potem doradzał deputowanemu do Dumy Państwowej z ramienia Jednej Rosji. Z pochodzenia, po ojcu, Kozak doński. Działał w rosyjskich organizacjach kozackich. Brał udział w protestach przeciwko obrazoburczej wystawie fotografii „Ostatnia zakąska" (parodia „Ostatniej wieczerzy"), napadł też z grupą Kozaków na biuro Stowarzyszenia Ochrony Praw Konsumentów, szukając tam (choć bezskutecznie) dowodów współpracy tej instytucji z ukraińskim Majdanem. W 2014 r. brał udział w aneksji Krymu. I właśnie wtedy tak naprawdę rozpoczął się szlak bojowy współczesnych rosyjskich Kozaków na wojnie z Ukrainą – wtedy jeszcze na hybrydowym etapie tego konfliktu. Diakonow przyjechał na Krym w marcu 2014 r. i zjednoczył wokół siebie istniejące tam już wcześniej prorosyjskie organizacje kozackie, które zajmowały się terroryzowaniem miejscowych Tatarów, patrolowaniem linii brzegowej i wystawianiem posterunków wokół Sewastopola. Tak powstał Krymski Pułk Kozacki, który potem walczył z Ukraińcami na Donbasie. Następnie Diakonow i jego ludzie wrócili do Rosji, by ponownie – podobnie jak wcześniej na okupowanym półwyspie – wykonywać funkcje policyjne, jako bojówka luźno związana z Kremlem. W maju 2018 r. Krymski Pułk Kozacki rozpędził demonstrację zwolenników Aleksieja Nawalnego przy użyciu nahajek.

To prawdziwy powrót do przeszłości. W czasach carskich formacje kozackie nie tylko były używane jako siła zbrojna, lecz także z uwagi na konserwatywne przekonania i lojalność wobec władcy – pełniły funkcje policyjne, pacyfikując antyrządowe manifestacje, właśnie z nahajkami w ręku.

Wojna o Donbas była renesansem działalności ruchów kozackich. Ich teoretycznie oddolny, nieregularny charakter oraz bogate tradycje służby dla imperium sprawiały, że idealnie pasowali do roli sprzymierzeńców prorosyjskiego separatyzmu, który też przecież kreowany był na spontaniczny, „obywatelski" zryw miłośników Moskwy. W kwietniu 2014 r. powstała Kozacka Gwardia Narodowa Wszechwielkiego Wojska Dońskiego atamana Nikołaja Kozicyna. Zajęła kilka miejscowości na wschodzie Ukrainy „na prośbę braci Kozaków stanowiących 80 proc. ludności", żeby uniemożliwić tam „groźbę powtórzenia wydarzeń z Majdanu". Gwardia, skonfliktowana z władzami separatystycznych republik ludowych, a także skompromitowana w oczach miejscowej ludności z powodu pijackich burd, pod koniec roku się wycofała. Sama formacja nie jest rejestrowa. Wszechwielkie Wojsko Dońskie, na bazie którego powstała gwardia, również. Jednak do rejestru państwowego wpisana jest już Wojskowa Wspólnota Kozacka Wszechwielkie Wojsko Dońskie, będąca jedną z wielu tego typu organizacji.

Wspomniany Nikołaj Kozicyn, jak zauważyła w wydanej kilka lat temu broszurze Ośrodka Studiów Wschodnich pt. „Kozacy Putina" Jolanta Darczewska, przeszedł karierę wojskową typową dla kozackiej generalicji. Po ukończeniu w 1985 r. charkowskiej uczelni MSW służył w kolonii karnej. Zwolniony za nadużycia służbowe zajął się prywatną przedsiębiorczością i odradzaniem kozactwa dońskiego. Brał udział w konflikcie w Naddniestrzu, walczył po stronie serbskiego przywódcy Slobodana Miloševicia, separatystów abchaskich i osetyjskich w Gruzji w 2008 r. Działa niezależnie od rejestrowego Wojska Dońskiego. Jawnie realizuje misje powierzone mu przez Kreml. Jak sam twierdzi, podlega jedynie Panu Bogu i prezydentowi Putinowi.

Wiosną 2022 r. obok „Donu" na front ruszyły też inne ochotnicze oddziały kozackie: „Tauryda", „Kubań", „Jermak", z czasem powstawały kolejne. Pierwsze dwa, jak same nazwy wskazują, zostały sformowane z Kozaków krymskich i kubańskich. „Jermak" rekrutował się spośród członków kozackich wspólnot: orenburskiej, wołżańskiej, syberyjskiej i wielu innych. Nazwa oddziału odsyła do słynnego atamana Jermaka, który pod koniec XVI w., działając na zlecenie kupieckiej rodziny Stroganowów, z błogosławieństwem carskiego dworu ruszył na podbój Syberii z oddziałem liczącym tysiąc Kozaków. Część batalionów rozrosła się do poziomu brygad. Z reguły formowane były jeszcze przed wojną, w ramach Bojowej Armii Rezerwy Kraju (BARS). Projekt BARS został opracowany w 2015 r., ale ruszył w 2021 r. Utworzono kilkadziesiąt batalionów, pełniących rolę rezerwy mobilizacyjnej. Moskwa już się wówczas przygotowywała do inwazji na Ukrainę. Potrzebowała przeszkolonych rezerwistów, których można było wykorzystać na froncie. Członkowie paramilitarnych stowarzyszeń kozackich, już wcześniej mający pojęcie zarówno o broni czy taktyce, jak i o wojskowej dyscyplinie i hierarchii, świetnie się do takich celów nadawali. Szli na wojnę dobrze przygotowani. Część oddziałów, jak np. „Tauryda", po pewnym czasie spod kurateli Ministerstwa Obrony przeszła w skład Rosgwardii, stając się formacjami policyjnymi.

DWA PROJEKTY KOZACTWA

Żeby zrozumieć, czym jest współczesne kozactwo, trzeba się cofnąć do odległej historii. W Polsce, dzięki „Trylogii" Sienkiewicza, kojarzy się ono głównie z Ukrainą. Tymczasem jest to zjawisko wspólne dla obu walczących dziś ze sobą narodów i państw. Kozakami nazywano mieszkańców południowych rubieży Rzeczypospolitej i Moskwy tworzących militarne wspólnoty, których przedstawiciele (rekrutujący się ze zbiegłych chłopów pańszczyźnianych, plebsu miejskiego i biednej szlachty) szczycili się umiłowaniem wolności (byli niezależni od hierarchii społecznej) i równości (wszyscy członkowie wspólnoty brali udział w wybieraniu atamana – dowódcy wojskowego). Kozacy zajmowali się grabieżą i wojaczką, strzegli granic swojego państwa, ale też często się przeciwko niemu buntowali. Byli przywiązani do wiary prawosławnej, stąd – niezależnie od tego, po której stronie granicy polsko-moskiewskiej żyli – pod względem kulturowym bliżej

eprasa.pl fdc20b0008

im było do cara niż do króla. W Rosji najliczniejszą grupą byli Kozacy dońscy. Na arenie dziejów pojawili się w XVI w. Wtedy zaczęli zasiedlać stepy nad dolnym biegiem rzeki Don. Walczyli z Turkami i Tatarami, czasem pod komendą moskiewską, czasem z własnej samowoli.

W połowie XVII w. zdobyli potężną turecką twierdzę Azow przy ujściu Donu do Morza Azowskiego. Po fakcie poprosili Moskwę o wsparcie, ta jednak odmówiła, nie chcąc eskalować napięcia z imperium osmańskim, i nakazała Kozakom opuścić twierdzę – co też ci uczynili, uprzednio ją burząc. Również w XVI w. nad Terekiem, na Kaukazie, swoje stanice zaczęli zakładać Kozacy tereccy, a nad rzeką Jaik – Kozacy jaiccy. Ci ostatni dwa wieki później stali się główną siłą buntu Pugaczowa, czyli największego w dziejach Rosji powstania chłopskiego. Było ono dla Katarzyny II tak wielką traumą, że nakazała zmianę nazwy rzeki na Ural, która funkcjonuje do dziś. W czasach tej władczyni pojawili się Kozacy kubańscy. Tak nazwano Kozaków zaporoskich, po likwidacji Siczy przesiedlonych z Ukrainy na stepy nad rzeką Kubań (uchodzącą, podobnie jak Don, do Morza Azowskiego). Carom udało się z wolnych i niezależnych Kozaków uczynić swoją najwierniejszą gwardię, używaną zarówno do tłumienia antyrządowych demonstracji, jak i do walki na frontach wojen. Kozacy tereccy, kubańscy i dońscy żyli na pograniczu z Kaukazem. Stąd od zawsze aż do dziś widoczne są ich niejednoznaczne związki z tamtejszym światem muzułmańskim.

Z jednej strony, jako tradycyjnie bardzo radykalni obrońcy prawosławia, odegrali wielką rolę w krwawym podboju tego regionu. Z drugiej strony, kultura kozacka w ogromnej mierze kopiuje kulturę muzułmańską. Papachy i charakterystyczne płaszcze z kieszonkami na naboje (tzw. czerkieski) – kozackie stroje ludowe – wzorowane są na folklorze górali Kaukazu. Kozacy tańczą nawet lezginkę – rozpowszechniony w regionie, tradycyjny dagestańsko-czeczeński taniec ludowy, w wersji kozackiej urozmaicony o „taniec z szaszką", polegający na efektowym wymachiwaniu szablą. „Ojsja, ty ojsja", najpopularniejsza kozacka pieśń ludowa – przerabiana i unowocześniana na setki sposobów – świetnie obrazuje zaś niejednoznaczny stosunek do Kaukazu. Tytułowe „ojsja" to pogardliwe określenie górala kaukaskiego, od okrzyku „ossa!", wydawanego podczas lezginki. W tekście pojawia się też satyra na islam: „młody Czeczen kupił prosiaczka, całą drogę go całował, myślał, że to dziewczynka". Jednak generalnie piosenka oparta jest na melodii lezginki właśnie.

W czasie wojny domowej po przewrocie październikowym wielu Kozaków dońskich walczyło po stronie białych, broniąc starego świata przed upadkiem. Opowiada o tym epopeja „Cichy Don" Michaiła Szołochowa, której znakomita zresztą serialowa adaptacja z 2015 r. to jedno z wielu świadectw współczesnej „mody" na kozactwo. Bolszewicy tępili Kozaków jako siłę konserwatywną i samowolną zarazem.

Gdy rozpadał się ZSRS i kolejne regiony ogłaszały niezależność od Moskwy, odradzające się kozactwo proklamowało republiki Dońską i Terecką, licząc na autonomię w ramach Rosji.

Już od początku XX w. istniały dwa projekty kozactwa: etniczny i imperialny

Generalnie już od początku XX w. istniały dwa projekty kozactwa: etniczny, zakładający odrębność narodową, i imperialny, w myśl którego Kozacy to specyficzni, ale jednak Rosjanie, służący państwu. Przyszłość przed sobą miał tylko ten drugi. Szczególnie, że Kozacy co prawda mają swój folklor, ale etnicznie są Rosjanami (kubańscy mają dodatkowo korzenie ukraińskie, jako potomkowie Zaporożców). Postsowiecka Rosja najpierw zrehabilitowała Kozaków, a następnie ich upaństwowiła. Powstał rejestr stowarzyszeń kozackich, które angażowane są do służby państwowej. Przy czym granica między Kozakami rejestrowymi a nierejestrowymi nie ma większego znaczenia, bo również ci drudzy współpracują z Kremlem.

Historycznie to zjawisko dotyczy głównie stepów południowej Rosji. Dziś organizacje kozackie powstają w całym kraju, również tam, gdzie takich tradycji nigdy nie było. Żeby przystąpić do danego stowarzyszenia, nie trzeba mieć korzeni nad Donem czy Kubaniem. Najważniejsze to utożsamiać się z tym ruchem i wyznawać ideały kozackie. Czyli być rosyjskim patriotą wyznania prawosławnego, chętnym do przeszkolenia wojskowego. W Rosji istnieje 12 wojskowych stowarzyszeń kozackich, czyli zhierarchizowanych zjednoczeń lokalnych organizacji, działających na konkretnym terenie, z naczelnym atamanem na czele. Kozacy mają własne mundury i rangi (czyli stopnie), nadawane przez władzę państwową. Najwyższą rangę – generała kozackiego – nadaje sam prezydent, któremu zresztą bezpośrednio wojska kozackie są podległe.

Kozacy mogą posiadać broń białą (szaszki) i nahajki. Formalnie stowarzyszenia mają charakter oddolny, w praktyce służą państwu, pełniąc różne funkcje, jako rezerwa mobilizacyjna armii regularnej; obrona cywilna lub obrona terytorialna; jednostki pomocnicze straży granicznej i policji; nieregularne formacje ochotnicze walczące w konfliktach zbrojnych, w których Rosja oficjalnie nie uczestniczy (Naddniestrze, Donbas); bojówki do rozpędzania demonstracji opozycji. Ponadto Kozacy się samofinansują, oferując prywatne usługi ochroniarskie czy zajmując się uprawą roli na przygranicznych ziemiach, nadanych przez państwo na preferencyjnych warunkach. Wojskowe stowarzyszenia kozackie to nie są regularne oddziały sił zbrojnych, tylko organizacje paramilitarne, z których dopiero rekrutują się oddziały kozackie walczące na froncie. Jak widać, są one w pełni podległe Moskwie. A jednak w kremlowskiej propagandzie przedstawiane są jako trzeci sektor. Gdy mniej więcej w 2012 r. Putin, w obawie przed kulturowo-polityczną ekspansją „zgniłego Zachodu", obrał kurs tradycjonalistyczny, kozactwo posłużyło jako przykład zdrowego, konserwatywnego wariantu społeczeństwa obywatelskiego, które jest (oficjalnie) oddolne, a zarazem ma charakter propaństwowy.

Kozacy służą Rosji nie tylko szaszką i nahajką. Kozackie zespoły pieśni i tańca pełniły przed wojną podobną rolę co Chór Aleksandrowa. Występując za granicą, rozsławiały kulturę rosyjską w jej atrakcyjnym dla ucha i oka wydaniu. Dziś kozacki folklor również pełni funkcję kremlowskiej soft power – tyle że głównie wobec samych Rosjan.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fdc20b0008

FOT. ADOBE STOCK

WĄŻ W MELINIE

Pięć kotów, dwa psy i olbrzymi pyton birmański zostały znalezione w melinie w brytyjskim mieście Hetton-le-Hole. Wąż leżał wychłodzony w małym terrarium bez odpowiedniego źródła ciepła. Zaniedbane zwierzęta nie miały dostępu do wody. Wobec ich właścicieli – kobiety i mężczyzny – zostały wyciągnięte prawne konsekwencje. Para została ukarana grzywną w wysokości 90 funtów, a także 10-letnim zakazem zajmowania się jakimikolwiek zwierzętami.

POMŚCIĆ KURĘ

W Key West na Florydzie jadąca samochodem kobieta zatrzymała się, żeby przepuścić kurę przechodzącą przez jezdnię. Tuż za jej autem jechał inny pojazd. Również prowadziła go kobieta. Ta się śpieszyła, więc kiedy samochód przed nią się zatrzymał, ominęła go, i w efekcie rozjechała kurę. Kobieta, która chciała przepuścić ptaka, postanowiła „dać jej nauczkę". Ruszyła za nią w pościg. Po zatrzymaniu ściganego samochodu siedzące w nim dwie osoby spryskała gazem pieprzowym. Stanie za to przed sądem.

NA ŁONIE NATURY

W indyjskim stanie Karnataka policjanci znaleźli 40-letnią Rosjankę i jej dwie córki (lat sześć i pięć). Wszystkie trzy mieszkały w jaskini położonej w lesie pełnym dzikich zwierząt. Kobieta twierdziła, że przebywanie na łonie natury daje zdrowie i szczęście. Nie wiadomo, w jakich okolicznościach ona i jej dzieci trafiły w to miejsce. W Indiach przebywały bez ważnych dokumentów, zapadła więc decyzja o ich deportacji do Rosji.

KURS POD PRĄD

Na autostradzie w Hiszpanii, niedaleko granicy z Portugalią, policja namierzyła samochód, który przejechał ponad 8 km pod prąd. Według świadków wydarzenia siedząca za kierownicą kobieta nawet nie próbowała korygować kursu. Droga, którą poruszało się auto, ma jeden kierunek i dwa pasy. Tymczasem kobieta uznała, że jest inaczej – na lewym pasie trzeba się poruszać w kierunku przeciwnym. Na szczęście do żadnej kolizji nie doszło.

MAŁY BOHATER

Pewien turysta spacerował po lodowcu Fee w Szwajcarii ze swoim psem rasy chihuahua, a więc drobnym czworonogiem. Nagle spadł z wysokości ok. ośmiu metrów do szczeliny. Przeżył. Następnie próbował przez amatorską krótkofalówkę wezwać pomoc. Ratownicy odebrali sygnał SOS, lecz nie mogli namierzyć mężczyzny. Udało się im to, dopiero gdy ze śmigłowca dostrzegli małego, niepozornego psa, który warował przy szczelinie. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Zwarcie z rzeczywistością

A taki był ładny, amerykański i... elektryczny... Szkoda... Tak filmowy Kazimierz Pawlak mógłby zareagować, gdyby dowiedział się o najnowszej decyzji koncernu General Motors. Fabryka Orion w Michigan przez lata była centrum zielonej, elektrycznej rewolucji. To tu zarząd GM wyłożył aż 4 mld dol., aby przygotować zakład do produkcji aż 600 tys. elektrycznych pick-upów rocznie.

Kłopot w tym, że Amerykanie e-aut nie chcą. Szefowie koncernu przestali więc wierzyć w banialuki i przejrzeli na oczy: popyt na samochody elektryczne w USA nie tylko nie rośnie w zapowiadanym tempie, lecz także spada (w czerwcu rok do roku zmalał o 4,4 proc.).

Koncern ogłosił więc pod koniec lipca, że w Michigan produkowane będą spalinowe modele: Cadillac Escalade, GMC Sierra i Chevrolet Silverado. Koncern zamierza też zainwestować miliardy w... rozwój produkcji aut spalinowych. Po tej decyzji kurs GM istotnie wzrósł.

Menedżerowie General Motors nie są jedynymi, którzy sparzyli się na „elektrykach". W połowie 2021 r. szefowie Audi zapowiadali, że do 2033 r. zakończą sprzedaż aut spalinowych. Kilka tygodni temu koncern w Ingolstadt oficjalnie wycofał się z tych planów. Tym razem nie podano nowej daty. Rozstanie z autami spalinowymi ma zależeć od „warunków rynkowych". W 2024 r. sprzedaż „elektryków" spadła zaś o niemal 20 proc.

Czy po rozum do głowy poszli też urzędnicy UE? Pytanie retoryczne. Jak podał „Bild", Komisja Europejska pracuje nad prawem, zgodnie z którym od 2030 r. wypożyczalnie i korporacje nie będą mogły nabyć pojazdów innych niż elektryczne. Od 2036 r. nowego auta spalinowego w UE nie będzie mógł kupić już nikt. ©℗

eprasa.pl fdc20b0008

Krezusi wśród bogaczy

Jacek Przybylski

Wśród supermiliarderów – czyli najzamożniejszych z najbogatszych – trwa zacięta rywalizacja. Larry Ellison, współzałożyciel i prezes Oracle, w rankingach Bloomberga i „Forbesa" wyprzedził już nie tylko założyciela Amazona Jeffa Bezosa, lecz także współtwórcę Facebooka Marka Zuckerberga. Tym samym jest już drugim najbogatszym Ziemianinem

Bycie zwykłym miliarderem nie daje dziś specjalnego prestiżu. Klub miliarderów nigdy nie był bowiem większy niż obecnie. Takim statusem pierwszy raz w historii może w tym roku pochwalić się już bowiem według „Forbesa" ponad 3 tys. osób (w ciągu roku ich liczba wzrosła o 247). Również Hurun Global Rich List 2025, czyli ranking najbogatszych ludzi na świecie, publikowany przez Hurun Research Institute, wskazuje na wzrost liczby miliarderów o 5 proc. do 3442.

Około 900 miliarderów mieszka w Stanach Zjednoczonych (najwięcej w Nowym Jorku), nieco ponad pół tysiąca w Chinach (wraz z Hongkongiem), a ponad dwie setki w Indiach. Konsekwentnie od lat ubywa za to miliarderów w krajach Starego Kontynentu…

Łącznie miliarderzy z tegorocznej listy „Forbesa" zgromadzili majątek szacowany na 16,1 bln dol., czyli o 2 bln wyższy niż w roku 2024 (aby łatwiej sobie tę kwotę wyobrazić, zauważę tylko, że nasi eksperci cieszyli się w czerwcu, iż produkt krajowy brutto całej Polski za ostatnie 12 miesięcy prawdopodobnie przekroczył już magiczną granicę jednego biliona dolarów).

MILIONY MILIONERÓW

O marnych milionerach w zasadzie wstyd jest w takim tekście wspominać, ale z kronikarskiego obowiązku odnotuję, że według tegorocznego raportu „Global Wealth Report 2025" szwajcarskiego banku UBS liczba milionerów w Stanach Zjednoczonych wzrosła tylko w ubiegłym roku o ponad 379 tys. (czyli średnio o ponad ty-

eprasa.pl fdc20b0008

Larry Ellison ma już majątek szacowany na niemal 300 mld dol.
FOT. JOHN G. MABANGLO/EPA/PAP

siąc nowych milionerów dziennie). W skali świata liczba milionerów (z uwzględnieniem majątku w dolarach amerykańskich) wzrosła o ponad 684 tys. osób.

Globalna liczba milionerów tzw. EMILLI (skrót od „everyday millionaire", czyli „codziennych milionerów", to jest osób, które posiadają od 1 mln do 5 mln dol.) od roku 2000 wzrosła już czterokrotnie i pod koniec ubiegłego roku szacowana była przez UBS na mniej więcej 52 mln. Z kolei autorzy raportu firmy doradczej Capgemini szacują liczbę osób o majątku, którego wartość w 2024 r. przekroczyła poziom 1 mln dol. na 23,5 mln.

Rekordowa liczba bogaczy rodzi nowe dylematy. Jak bogaty człowiek ma się poczuć naprawdę zamożny w świecie, na którym żyje już kilkadziesiąt milionów milionerów? I kogo można już oficjalnie uznać za krezusa, a kogo za ultrabogacza?

W lutym obecnego roku amerykański dziennik „The Wall Street Journal" przypomniał, że gdy „Forbes" publikował pierwszą listę miliarderów, było na niej zaledwie 140 osób, których łączny majątek wynosił 295 mld dol. Najbogatszy wówczas człowiek świata – Japończyk Yoshiaki Tsutsumi – mógł się zaś pochwalić majątkiem wynoszącym marne 20 mld dol. We współczesnych czasach, gdy zaroiło się nie tylko od milionerów, lecz także od miliarderów, „WSJ" wprowadził więc nowe określenie mające ułatwić oddzielenie ziarna od plew. Słowo, które ułatwi opisywanie grupy najzamożniejszych ludzi na Ziemi – czyli tych, którzy mają co najmniej 50 mld dol. – brzmi krótko: to po prostu „supermiliarderzy". Trzeba przyznać, że słowo wpada w ucho i jest łatwe do zapamiętania nawet dla tych, którzy fortunę jedynie odziedziczyli. Jest też prostsze w zapisie niż funkcjonujące już od kilku lat określenie „centimiliarderzy". Tym mianem określane są osoby, których łączna wartość majątku przekracza 100 mld dol.

Jak zauważył „Forbes", gdy w 1987 r. w magazynie tym tworzono pierwszą listę najbogatszych ludzi świata, sam koncept centimiliarderów był trudny do wyobrażenia. Do powstania pierwszego przedstawiciela tej grupy doprowadziła dopiero bańka internetowa – dzięki szalonemu napędzaniu cen akcji Microsoftu majątek Billa Gatesa na krótko wyniósł go w 1999 r. ponad magiczny wówczas poziom 100 mld dol. Krach, który nadszedł wkrótce, wymazał sporą część tych zysków.

W roku 2000 grono centimiliarderów tworzyło zaledwie czterech ultrabogaczy: Jeff Bezos, Bill Gates, Mark Zuckerberg oraz Elon Musk. W 2021 r. było ich już 10. Ekskluzywne grono, poza wymienioną wcześniej czwórką, tworzyli wówczas jeszcze Bernard Arnault (wreszcie jakiś Europejczyk), współtwórca Google Larry Page, drugi współtwórca Google Sergey Brin, Warrent Buffett, a także Larry Ellison oraz wieloletni dyrektor generalny Microsoftu Steve Ballmer.

W ubiegłym roku na liście centimiliarderów było już 14 nazwisk, a w roku obecnym jest ich aż 15. Łączna wartość majątków tej piętnastki wynosi 2,4 bln (!) dol., niemal 400 mld dol. więcej niż przed rokiem. Tym samym – jak zauważył „Forbes" – zasoby 15 centimiliarderów przewyższają łączne majątki 1,5 tys. „najbiedniejszych" miliarderów razem wziętych. Innymi słowy: centimiliarderzy to grupa stanowiąca zaledwie 0,5 proc. ze wszystkich 3028 miliarderów, ale dysponują majątkami o wartości aż 15 proc. wszystkich miliarderów. Nieźle! Mimo to, aby obecnie należeć do ścisłej elity elit wśród najbogatszych z bogatych, 100 mld to już za mało. Trzeba mieć majątek netto o wartości przekraczającej 200 mld dol. Wówczas jest się w grupie czterech najbogatszych osób stąpających po Ziemi.

NOWA ARYSTOKRACJA?

Aby utrzymać się w czołówce, trzeba jednak ciągle walczyć. Według prognoz międzynarodowej organizacji pomocowej Oxfam w ciągu najbliższej dekady pięć najbogatszych osób świata dorobi się majątku przekraczającego już bilion dolarów.

W 2000 r. było zaledwie czterech centimiliarderów. Obecnie na liście jest już 15 nazwisk

Sama kolejność na liście najbogatszych zmienia się w zależności od aktualnych wycen spółek, których akcje posiadają najzamożniejsi ludzie świata. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", pierwsza dziesiątka przedstawiała się następująco. Bezsprzecznie najbogatszy jest Elon Musk z majątkiem szacowanym przez „Forbesa" na 415 mld dol. Polak zarabiający średnią pensję, aby osiągnąć taki majątek, musiałby pracować ok. 20 tys. lat – przy optymistycznym założeniu, że wszystko, co zarobi, zaoszczędzi. I to właśnie szef takich spółek jak Tesla i SpaceX ma teoretycznie szanse jako pierwszy na Ziemi zostać bilionerem.

W pierwszej trójce najbogatszych obecnie ludzi globu znaleźli się także Larry Ellison (wyceniany na 283,5 mld dol.) oraz Mark Zuckerberg (243,9 mld dol.). Czwarte miejsce zajął Jeff Bezos (mimo niezwykle

eprasa.pl fdc20b0008

wystawnego ślubu w Wenecji jego fortunę szacowano w ubiegłym tygodniu na 240,8 mld dol.), a piąte Larry Page (z majątkiem wartym 157,5 mld dol.). Pierwszą dziesiątkę dopełniali Sergey Brin (urodzony w Związku Sowieckim 51-letni obecnie współtwórca wyszukiwarki Google), Jensen Huang (na skórzaną kurtkę i nie tylko stać go dzięki ogromnemu wzrostowi kursu spółki NVIDIA), francuski biznesmen Bernard Arnault z rodziną, wyrocznia z Omaha Warren Buffett oraz wspomniany już wyżej były CEO Microsoftu Steve Ballmer.

Autorzy międzynarodowej organizacji pomocowej Oxfam zauważają, że najbogatsi pomnażają swoje majątki, wykorzystując wpływy w polityce i gospodarce (patrząc na historię gospodarczą świata, brzmi to jednak nieco jak truizm), a także przestrzegają, że jesteśmy świadkami powstania „nowej arystokracji" lub – co gorsza – współczesnej oligarchii. Organizacja wezwała więc światowe rządy do podjęcia szybkich działań w celu radykalnego zmniejszenia nierówności majątkowych. Na razie nic nie wskazuje jednak na to, aby apel o rychłe i skuteczne opodatkowanie najbogatszych miał być wcielony w życie.

ENKLAWA LUKSUSU

Ultrabogacze też wolą mieszkać bliżej bardziej zamożnych i wpływowych osób. Zapewne m.in. z tego powodu amerykański miliarder Larry Ellison – który w 2023 r. wskoczył na trzecie miejsce podium wśród najbogatszych z bogatych, a niedawno zajął miejsce drugie – rozpoczął realizację najnowszego projektu: zaledwie 20 minut jazdy od zimowej rezydencji Trumpa w Mar-a-Lago buduje kameralną enklawę przeznaczoną dla najbogatszych.

Na realizację pomysłu stworzenia superluksusowego osiedla w cichym miasteczku Manalapan, obok Palm Beach na Florydzie, współzałożyciel firmy Oracle Corporation wydał już pół miliarda dolarów. Kupił tam m.in. pięciogwiazdkowy Eau Palm Beach Resort & Spa, czyli liczącą ponad 300 pokoi największą nieruchomość w mieście. W historii bywali tu tak zacni goście jak przyszła królowa Elżbieta I czy członkowie najzamożniejszych amerykańskich rodów (od Fordów poczynając).

Próba stworzenia luksusowej enklawy na Florydzie to już kolejny projekt inwestycyjny Ellisona. W 2012 r. kupił od innego miliardera – Davida Murdocka – za ok. pół miliarda dolarów wyspę Lanai na Hawajach.

Okazało się jednak, że nawet własna wyspa nie rozwiązuje wszystkich problemów bogaczy. Wbrew obietnicom Ellison nie stworzył na niej samowystarczalnego ekologicznego raju. Co więcej, gdy w styczniu 2023 r. mknął na kolację z dziećmi swoją pomarańczową corvettą po należącej do siebie wyspie, został zatrzymany przez policję za niezatrzymanie się przed znakiem „stop" i za przekroczenie prędkości.

WIZJA PRZYSZŁOŚCI

Zanim Larry Ellison został w lipcu obecnego roku drugim najbogatszym człowiekiem świata, przekonał do wielkich inwestycji w rozwój sztucznej inteligencji (AI) prezydenta Donalda Trumpa (amerykański przywódca ogłosił od razu na początku swej prezydentury, że zainwestuje w centra danych AI co najmniej 100 mld dol).

Budowa luksusowej enklawy to kolejny projekt Ellisona. W 2012 r. miliarder kupił wyspę Lanai na Hawajach

Plany inwestycyjne gospodarza Białego Domu sprawiły, że Oracle znów stało się oczkiem w głowie inwestorów. Wcześniej akcje spółki, której duży pakiet ma w portfelu Ellison, wzrosły niemal trzykrotnie od czasu debiutu bota ChatGPT w listopadzie 2022 r. Tylko od stycznia obecnego roku kurs akcji Oracle Corporation poszybował w górę o ponad 45 proc. Do prześcignięcia Zuckerberga na liście najbogatszych przyczyniło się zaś bezpośrednio ogłoszenie decyzji amerykańskich władz o zniesieniu części ograniczeń wprowadzonych za rządów Joe Bidena i zezwoleniu takim firmom jak NVIDIA czy Advanced Micro Devices na eksport niektórych półprzewodników do Chin. Tylko ta informacja sprawiła, że akcje Oracle zdrożały jednego dnia o ok. 6 proc.

Coraz bogatszy Ellison ogłosił, że zmienia plany dotyczące losów swego majątku. W 2010 r. był jednym z sygnatariuszy inicjatywy Giving Pledge, która zachęca najbogatszych ludzi świata do przekazania większości swojego majątku na cele charytatywne, i zobowiązał się do przekazania co najmniej połowy swojego majątku na cele dobroczynne. W lipcu zmienił jednak zdanie i ogłosił na platformie X, że więcej pieniędzy przekaże na założony dwa lata temu Ellison Institute of Technology. Instytut koncentruje się na innowacjach w różnych dziedzinach życia, takich jak zdrowie, rolnictwo, zielona energia czy sztuczna inteligencja.

Ellison zachęca również polityków z różnych stron świata do projektu zebrania wszystkich danych ludzi – informacji geograficznych, gospodarczych, zdrowotnych, genetycznych etc. – w jednym miejscu, aby sztuczna inteligencja mogła najskuteczniejszej „wspomagać rządy w podejmowaniu decyzji", poprawiać jakość życia czy zwiększać wydajność rolnictwa. I chociaż maruderzy obawiają się, że system byłby wykorzystywany głównie do wprowadzenia masowej kontroli ludności na skalę nieznaną dotąd w historii ludzkości, to wśród miliarderów pomysł ma sporo zwolenników.

Wielu ultrabogaczy chce bowiem zapewnić sobie nie tylko rezydencję na Florydzie, ale przede wszystkim nieśmiertelność, a przynajmniej długie lata w dobrym zdrowiu (np. Sam Altman, dyrektor generalny Open AI, zainwestował w start-up Retro Biosciences, którego celem jest znaczące wydłużenie życia ludzi). Wydają więc fortuny na próby mające nie tylko zatrzymać proces starzenia, lecz także go cofnąć. Jednym z fanów forsowanej przez Larry'ego Ellisona wizji budowy coraz potężniejszej sztucznej inteligencji jest więc Bryan Johnson – miliarder znany z tego, że swój majątek wydaje na kuracje mające odwrócić skutki starzenia i zażywa pod kontrolą całego sztabu lekarzy kilkadziesiąt różnych leków dziennie. Zdaniem Johsona sztuczna inteligencja ma szansę przynieść niebywały przełom w opiece zdrowotnej, diagnostyce nowotworów czy tworzeniu nowoczesnych szczepionek. Czy dzięki temu ludzie jeszcze za naszego życia staną się nieśmiertelni? Przełomowe rozwiązania mają pojawić się w ciągu dekady.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fdc20b0008

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Tak szkodzi PO-PiS

Wkrótce stuknie 20 lat rządów duopolu PO–PiS, czyli naprzemiennych rządów Platformy i PiS wraz z ich przystawkami – które to rządy trwają u nas bez przerwy od jesieni 2005 r. Rządów, na zmianę, ekipy Kaczyńskiego i ekipy Tuska, z których obie rządziły w tym czasie Polską z grubsza po połowie, czyli po mniej więcej 10 lat, poczynając od pierwszego rządu PiS, który rozpoczął urzędowanie 31 października 2005 r.

No i właśnie jednym z podsumowań tych rządów jest sporządzony niedawno przez firmę Grant Thornton ranking państw z największymi barierami dla biznesu, w którym to zestawieniu Polska – na 30 przebadanych największych gospodarczo państw świata – sklasyfikowana została na beznadziejnym, bo aż trzecim miejscu. Tylko w dwóch państwach – w Singapurze i Indiach – barier utrudniających prowadzenie działalności gospodarczej jest więcej niż w Polsce. To, przyznają państwo, fatalna dla nas wiadomość – dla całej Polski i wszystkich Polaków, bo przecież jeśli gdzieś, jak w tym przypadku w Polsce, przepisy tak bardzo nie sprzyjają przedsiębiorcom, czyli pracodawcom, to tracą przez to nie tylko oni, lecz także pracobiorcy, dla których jest mniej – i to przeważnie tej lepiej płatnej – pracy.

Natomiast mniej barier dla biznesu niż w Polsce zanotowano w zasadzie wszędzie indziej, bo i w Grecji, i we Włoszech, i w Turcji, i w Korei Południowej, i w Niemczech, i w Szwecji, i w Indonezji, i w Brazylii, i w USA, i w Kanadzie, i w Malezji, i w Irlandii.

A z kolei przedsiębiorcy działający w Polsce skarżą się właściwie na wszystko, lecz najbardziej dokuczają im koszmarnie wysokie koszty pracy – głównie za sprawą corocznych, morderczych podwyżek płacy minimalnej oraz kosmicznie wysokie ceny energii, powodowane przez Zielony Ład – a wszystko to wynalazki sprowadzone do Polski w ciągu ostatnich dwóch dekad.

Ale czy mogło być inaczej, skoro Polskę, a więc i jej przedsiębiorców, właśnie na owe dwie długie dekady, na już niemal aż 20 lat, wziął w dwa ognie ów zabójczy dla aktywności gospodarczej, nastawiony na populistyczne rozdawnictwo pieniędzy podatników, głównie przedsiębiorców, duopol PO-PiS? Z – na czele – takimi mistrzami w tej morderczej dla biznesu dyscyplinie, jak premierzy Morawiecki i Tusk? Którzy w dodatku – godzi się przypomnieć – do cna zniweczyli dobry, liberalny dorobek Zyty Gilowskiej, wicepremier i minister finansów w pierwszych rządach PiS z lat 2005–2007, kiedy to jeszcze mogło się wydawać, że PO-PiS, a więc i Platforma, i PiS, może zrobić dla polskiej przedsiębiorczości, czyli dla Polski, wiele dobrego. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Straszna rura w Lipnie

W Lipnie nad Wełtawą w południowych Czechach, tuż przy granicy z Austrią, gdzie spędziłem większość wakacji, jedną z największych atrakcji – poza największym w kraju sztucznym zbiornikiem wodnym z lat 50. – jest ścieżka w koronach drzew, czyli Stezka korunami stromů. Zbudowaną całkowicie z drewna konstrukcję postawiono w ciągu zaledwie 60 dni w 2012 r. Na trasę wchodzi się z poziomu gruntu, po czym idzie się wznoszącym się stopniowo podestem między drzewami, który na końcu przechodzi w spiralę, tworzącą wieżę o wysokości ponad 40 m. Mniej więcej w dwóch trzecich wysokości wieży można skorzystać z szybkiej drogi na dół: rury o dużym przekroju, w której zjeżdża się przez ok. 10 sekund na specjalnych matach. I teraz uwaga: nie ma tam żadnych kasków, żadnych wymogów dotyczących ubioru, nie ma też żadnej obsługi – bilet kupuje się w automacie, a zjeżdżający sami decydują np. o tym, czy swoje małe dziecko wezmą ze sobą czy może jest już dość duże, żeby jechać samo.

Patrząc na to, jak kolejne osoby znikają we wnętrzu owej rury (i w tej samej liczbie wkrótce potem pojawiają się na jej drugim końcu), pomyślałem o najnowszym pomyśle władzuchny, a konkretnie pana ministra Klimczaka z PSL, który postanowił wpisać się w tradycję aktywizmu prawnego oraz tworzenia regulacji nikomu niepotrzebnych i zapowiedział rozwiązanie ustawowe, nakazujące jazdę w kasku osobom do 16. roku życia na hulajnogach czy rowerach. Uzasadnienie jest jak zwykle to samo: to dla dobra ludzi.

Pomijam fakt, że – co także jest standardem – pomysłu nie poprzedziły żadne analizy stanu obecnego czy potencjalnych skutków kaskowego przymusu. Uwagę zwraca przede wszystkim nieposkromiona skłonność polityków do wtrącania się w każdą najdrobniejszą kwestię – dla naszego dobra.

Nie wiem, jak pan minister Klimczak zareagowałby na lipiecką zjeżdżalnię. Może uznałby, że sprawą trzeba się zająć na poziomie unijnym, bo przecież nie może być tak, że ktoś będzie sobie taką rurą zjeżdżał bez kasku, stroju ochronnego, a także ukończenia stosownego kursu zjeżdżania rurą.

Politycy i urzędnicy, zwłaszcza w Europie, od kilku dekad wychowują obywateli na bezwolnych idiotów, którzy boją się własnego cienia. Niestety, w Polsce to wychowanie jest wyjątkowo intensywne, a ogromne zasługi w tej dziedzinie położyły pospołu wszystkie partie głównego nurtu. ©℗

eprasa.pl fdc20b0008

Z Mateuszem Łakomym, autorem książki „Demografia jest przyszłością. Czy Polska ma szansę odwrócić negatywne trendy?"
rozmawia Tomasz Cukiernik

Jest ryzyko, że zostanie tylko garstka Polaków

TOMASZ CUKIERNIK: Kiedy Polacy wymrą jako naród?

MATEUSZ ŁAKOMY: To zależy od tego, jak będzie kształtowała się polska dzietność. Jeżeli utrzymałaby się taka, jak jest obecnie – a moje szacunki za rok 2024 wskazują na ok. 1,11 dziecka na kobietę, to jest mniej niż jeszcze w poprzednim roku, gdzie już mamy oficjalne dane 1,16 – jest ryzyko, że ok. 2600 r. może pozostać naprawdę garstka Polaków. Oczywiście jest to tylko pewna symulacja, ponieważ trudno się spodziewać w rzeczywistości, że nie nastąpią jakieś zmiany, np. dotyczące dzietności, migracji, nie wiadomo, jak się zmieni sentyment społeczny. Natomiast jeżeli byśmy chcieli odejść od modelu czysto matematycznego i iść w kierunku świata realnego, raczej należy się spodziewać reakcji kulturowej, politycznej, która by bardziej sprzyjała dzietności, i odwrotu od procesu niskiej dzietności.

Czyli jednak jest pan optymistą?

Myślę, że mamy zdolność, by zebrać w sobie siły i zdolności gospodarcze, polityczne i społeczne do oddziaływania na zjawiska demograficzne. Oczywiście im szybciej to się stanie, tym szybciej ten proces zakończy się na wyższym poziomie liczby ludności.

Przez 20 lat, czyli od kiedy Polska weszła do Unii Europejskiej, liczba ludności spadła o 4 proc. Dlaczego?

Ja bym tego nie wiązał z członkostwem w Unii Europejskiej, ponieważ podobnym procesem jak Polska są dotknięte także państwa niebędące w Unii – kraje Dalekiego Wschodu, Ameryki Północnej, Ameryki Południowej. Tam bardzo szybko spada dzietność. Natomiast dlaczego spada liczba ludności? Zacząć trzeba od lat 90. Rok 1990 to był pierwszy rok, kiedy w Polsce mieliśmy dzietność poniżej zastępowalności pokoleń. Od tego czasu błyskawicznie spadała ona do bardzo niskiego poziomu. Przez większość XXI w. dzietność balansowała między 1,2 a 1,4, w ostatnich latach spadła jeszcze poniżej tego progu, zatem jest to przede wszystkim związane z niską dzietnością. Częściowo mamy do czynienia także z ujemnym saldem migracji.

To już jest w pewnym sensie wina Unii Europejskiej.

W pewnym sensie tak, jeśli za winę postrzegamy to, że była po prostu znacznie zamożniejsza. Oczywiście migracja następowała także wcześniej, jeszcze zanim Polska weszła do UE.

eprasa.pl fdc20b0008

FOT. ADOBE STOCK

Tak, ale to bardzo mocno przyspieszyło od 2004 r.

Tak, ponieważ pojawiła się strefa Schengen i te różnice, zwłaszcza gospodarcze między Polską a Wielką Brytanią czy Niemcami, były bardzo znaczące 20 lat temu. A jeszcze w Polsce mieliśmy dosyć sporo młodych ludzi w takim wieku, który jest najbardziej podatny na migrację, dwudziestoparolatków. To był impuls.

Jednak biorąc pod uwagę procentową część populacji, Polska, obok Czech i Słowenii, była w czołówce krajów, gdzie ta migracja i tak była stosunkowo najmniejsza spośród byłych krajów komunistycznych. Była mniejsza niż w większości krajów naszego regionu, takich jak Rumunia, Litwa.

Jaki wpływ na spadek dzietności ma istnienie zabezpieczenia emerytalnego?

Jest udokumentowane, że istnienie emerytur tzw. repartycyjnych, gdzie ZUS płaci emeryturę, jest czynnikiem sprzyjającym spadkowi dzietności. Natomiast jeszcze większym czynnikiem sprzyjającym spadkowi dzietności jest model, w którym każdy sam oszczędza na swoją emeryturę (tzw. emerytury kapitałowe), tak jak jest np. w Stanach Zjednoczonych.

Istnienie zabezpieczenia emerytalnego ma zatem pewien wpływ, natomiast, w mojej ocenie, on nie łapie się do pierwszej dziesiątki najważniejszych czynników wpływających na spadek dzietności, przynajmniej w Polsce.

Ale przecież w USA jest dodatni przyrost naturalny.

Przyrost naturalny jeszcze jest dodatni, natomiast dzietność już jest niska – za ubiegły rok ok. 1,6. To już nie są te czasy, kiedy Stany Zjednoczone były wyjątkiem demograficznym, czym się bardzo chwaliły jeszcze na początku XXI w., gdzie rzeczywiście w znacznej większości krajów europejskich była dzietność znacznie poniżej zastępowalności pokoleń, a tam nie. To już się skończyło.

Jest taka popularna teza, że ludzie nie chcą mieć dzieci, bo nie mają pieniędzy, bo ich nie stać na wychowanie, na kupno mieszkania. Natomiast jeśli popatrzymy na historię, to w XIX w. przecież wieś galicyjska czy litewska była skrajnie biedna, a ludzie mieli po 10 dzieci, a nawet i więcej. Zatem ta teza jest sprzeczna z tym, co mówi historia.

Trzeba spojrzeć z perspektywy długoterminowej. Rzeczywiście przez znaczną większość historii ludzkości, tak naprawdę do XIX–XX w., przeciętnie rodziło się ok. sześciorga dzieci na kobietę. Natomiast różnica polegała na tym, że była bardzo duża umieralność dzieci, w szczególności niemowląt. Rzadko kiedy więcej niż jedna córka dożywała wieku, kiedy mogła mieć własne dzieci. To się zaczęło zmieniać bardzo mocno w wieku XIX, kiedy w związku z odkryciami w zakresie medycyny przeżywalność dzieci wzrastała. W związku z tym pojawiła się i upowszechniła myśl, że w jakiś sposób tę liczbę dzieci należy ograniczać. I rzeczywiście, terytorium Polski na początku XX w. było gdzieś w tym procesie. Nawet jest dosyć duże historyczne zróżnicowanie.

Rzeczywiście, Galicja i ówczesne wschodnie województwa miały w okresie międzywojennym wysoką dzietność. Natomiast regiony zachodnie, a już zwłaszcza zurbanizowane, miały bardzo niską. Na przykład Warszawa przed wojną miała dzietność poniżej zastępowalności pokoleń. Polska przechodziła więc ten proces w sposób nierównomierny. Obecnie wylądowaliśmy w sytuacji, która jest charakterystyczna dla krajów bardzo rozwiniętych, gdzie prawie w pełni kontrolujemy nasz proces prokreacji. Dostępność środków antykoncepcyjnych, w mniejszym stopniu aborcji, pozwala nam go kontrolować. W związku z tym to, ile mamy dzieci, jest teraz bardziej sterowane naszą wolą – ile chcemy, jakie są nasze aspiracje – niż czynnikami czysto biologicznymi, które decydowały o naszej dzietności przez prawie całą dotychczasową historię.

eprasa.pl fdc20b0008

To dlaczego ludzie nie chcą mieć dzieci. Z biedy?

Nie, to nie jest istotny czynnik. Im bardziej osoby są zamożne w krajach najbardziej rozwiniętych, tym mają więcej dzieci. Natomiast w mojej ocenie najważniejszym pojedynczym czynnikiem, który decyduje, jest w ogóle nasza trudność w stworzeniu związku, w wejściu w związek. Badania, które były przeprowadzone w 2019 r., pokazują, że w Polsce ok. 40 proc. młodych dorosłych w wieku od 20 do 39 lat – a to jest ważny okres, bo wtedy rodzi się prawie 95 proc. wszystkich dzieci – nie było w żadnym związku. Niebycie w związku właściwie wyklucza możliwość posiadania dzieci. Okazjonalne współżycie seksualne, które powoduje nieplanowaną ciążę, to bardzo rzadkie i statystycznie dla dzietności całej populacji nieistotne zjawisko.

Jest kilka rzeczy, które decydują o tym, czy wchodzimy w związek. Zmiana polega na tym, że kobiety oceniają atrakcyjność mężczyzn i mężczyźni oceniają atrakcyjność kobiet dla siebie do stworzenia związku. Najważniejszym, chociaż niejedynym czynnikiem, który decyduje, jest podobieństwo pod względem tzw. statusu społeczno-ekonomicznego – czy jesteśmy mniej więcej z podobnej grupy społecznej, z podobnej – kiedyś byśmy powiedzieli – klasy społecznej, czy mamy podobne zainteresowania, podobny sposób funkcjonowania, ale też podobne dochody i podobny szacunek społeczny.

Ten nasz status społeczno-ekonomiczny długofalowo określa nasze wykształcenie. W Polsce i w innych krajach rozwiniętych istnieje nierównowaga między kobietami a mężczyznami w zakresie odsetka osób, które mają wyższe wykształcenie. O wiele większy odsetek kobiet niż mężczyzn ma wyższe wykształcenie. Ta luka w Polsce, w porównaniu z innymi krajami naszego regionu, jest gdzieś w środku stawki, ale w krajach Zachodu te luki są znacznie mniejsze. To powoduje, że część kobiet z wyższym wykształceniem nigdy nie znajdzie partnera, który byłby w stanie im się spodobać, w którym byłyby w stanie się zakochać i stworzyć związek. Jednocześnie część mężczyzn z wykształceniem średnim też nie znajdzie kobiet, które dla nich byłyby odpowiednie, i nie stworzy związku. Druga rzecz to jest historia rodziny.

Osoby, które pochodzą z rodzin funkcjonalnych, opartych na trwałym związku małżeńskim, biologicznych rodzicach, który był choć w miarę zgodny, mają największe szanse na wejście samemu w związek i ten związek będzie trwały, bezpieczny i będzie się miało dzieci. Natomiast wszystkie sytuacje, które w jakiś sposób odbiegają od tego – rodzina się rozpadła, ktoś był wychowany przez samotnego rodzica, były bardzo poważne konflikty, które zostawiają ślady – powodują, że my gdzieś wewnętrznie boimy się wchodzić w związek, tracimy zdolność do tego, żeby ten związek był trwały. One się częściej rozpadają i też ludzie częściej chcą mieć mniej dzieci, bo „nie chcę tego zrobić moim dzieciom, co mi się przydarzyło, kiedy ja dorastałam". A już teraz w wiek posiadania własnych dzieci weszły całkiem liczne roczniki, które były wychowywane w latach 90., wczesnych 2000, gdzie te rozpady związków już nie były takie rzadkie. I tak trwałość rodzin jest stosunkowo wysoka jak na standardy europejskie, ale mimo wszystko jednak istotna część związków niestety się wciąż rozpada.

Najważniejszym pojedynczym czynnikiem wpływającym na dzietność jest trudność w stworzeniu związku. Niebycie w związku właściwie wyklucza możliwość posiadania dzieci

Widzi pan związek między religijnością a posiadaniem potomstwa?

Bardzo dobrze udokumentowane jest w literaturze demograficznej, że istnieje bardzo silny związek pozytywny. Im większa jest religijność (mówimy o katolicyzmie), tym więcej ma się dzieci. Jest bardzo wiele czynników, które na to wpływają jednocześnie. Po pierwsze, dla osób bardziej religijnych posiadanie dzieci jest większą wartością niż w przypadku osób niereligijnych. Dziecko jest pewnym dobrem, o które warto bardziej się postarać. Nie dostrzegamy jednak żadnej „niefrasobliwości" ze strony osób głęboko wierzących. Bariery czy trudności, które się wiążą z posiadaniem dzieci, koszty finansowe czy to, że trzeba rezygnować z pracy, są bardzo podobnie postrzegane między osobami religijnymi i niereligijnymi. Religijni mają jednak większe przekonanie, że to dobro jest ważniejsze i warto się o nie bardziej starać niż jakiś awans zarobkowy czy zawodowy. Druga rzecz to jest to, że osoby bardziej religijne co do zasady mają większą trwałość związku. Częściej wchodzą w trwałe, bezpieczne związki, jakimi są małżeństwa. Wchodzą w te związki wcześniej niż osoby niewierzące, a wiemy, że im dłużej jest się w trwałym związku, tym wcześniej rodzi się pierwsze dziecko, tym co do zasady ma się więcej dzieci. Po trzecie, osoby religijne zwykle same pochodzą z rodzin religijnych – religijność dziedziczy się po rodzicach i ci rodzice często są bardziej skłonni do pomocy w wychowywaniu wnuków, a możliwość wsparcia ze strony najbliższych rodzicom potencjalnych dziadków jest bardzo silnym czynnikiem sprzyjającym posiadaniu dzieci.

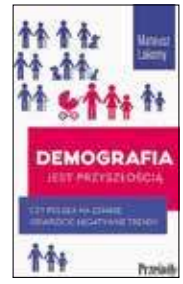

MATEUSZ ŁAKOMY „DEMOGRAFIA JEST PRZYSZŁOŚCIĄ" PRZEŚWITY 2024

Jaki wpływ na posiadanie dzieci mają Internet i korzystanie ze smartfonów?

To jest nowy temat w badaniach demograficznych. Biorąc pod uwagę badania, które są dosyć szerokie w innych obszarach dotyczących oddziaływania na psychikę dziecka, na zdolności emocjonalne w ramach dorastania czy nawet w zakresie kwestii komunikacji lękowej, można wyciągnąć wniosek, że ma wpływ bardzo istotny. Być może obecnie jest nawet najważniejszym czynnikiem wyjaśniającym, dlaczego w krajach najbardziej rozwiniętych mniej więcej od roku 2010 bardzo istotnie spada dzietność. Nawet w takich krajach, które kiedyś były sztandarowymi krajami o wysokiej dzietności, jak Francja, Szwecja czy Finlandia.

eprasa.pl fdc20b0008

To działa na bardzo wiele różnych sposobów. Po pierwsze, wychowywanie się ze smartfonem w ręku i w mediach społecznościowych zmniejsza u niektórych osób – zwłaszcza takich, które bardziej tego potrzebują – kontakty międzyludzkie w miarę dorastania. Rzadziej wychodzimy na podwórko, rzadziej spotykamy się ze znajomymi, więc nie uczymy się relacji z różnymi ludźmi, z takimi, którzy nam odpowiadają i którzy nam nie odpowiadają. Tracimy pewną zdolność do budowania kontaktów i nauczenia się funkcjonowania w relacji.

Po drugie, Internet, media społecznościowe, do których dostęp uzyskuje się przede wszystkim przez smartfon, negatywnie wpływają na naszą kondycję psychiczną. Jeżeli ktoś ma słabą kondycję psychiczną, to chce też mieć mniej dzieci.

Po trzecie, media społecznościowe i informacje, które docierają do nas głównie przez smartfon, często mają charakter bardzo lękowy. Łatwiej rozchodzą się informacje negatywne, w związku z tym często redakcje preferują formułowanie komunikatu w sposób negatywny, więc wszelkiego typu zawirowania pod tytułem „kryzys finansowy", „inflacja", „ryzyko wojny" są w percepcji odbiorcy, przytłoczonego tego typu informacjami w krótkim czasie, przesadzone. Subiektywny obraz rzeczywistości powoduje, że boimy się bardziej, niż powinniśmy w oparciu o prawdopodobieństwo, że jakieś negatywne zjawisko nas faktycznie dotknie.

Po czwarte, kwestia pornografii. Dla młodzieży dostępność pornografii jest bardzo łatwa i często młodzież z niej niestety korzysta, co sprzyja uprzedmiotowieniu kobiety, uprzedmiotowieniu relacji z kobietą. U kobiet notabene działa to podobnie, ma charakter samouprzedmiotowienia. Sprzyja temu, że relacje traktuje się powierzchownie. Jeśli związek powstanie, to sprzyja zdradzie małżeńskiej. Mężczyźni, którzy regularnie oglądają pornografię, są sześciokrotnie bardziej skłonni do zdrady małżeńskiej niż ci, którzy nie oglądają. Kobiety trzykrotnie częściej.

Czy można postawić tezę, że program „Rodzina 800 Plus" nie spełnił pokładanych w nim nadziei?

Najpierw musielibyśmy sobie odpowiedzieć na pytanie, co było tymi nadziejami. Jeżeli ktoś wierzył, że to jest taki Święty Graal, który rozwiąże wszystkie problemy, to oczywiście nie mógł spełnić, ponieważ nie oddziałuje na te wszystkie bariery dla dzietności. Trzeba móc wejść w związek, i na to działają inne rzeczy. Trzeba mieć zdolność do zbudowania głębokiej relacji. W tym 500 czy 800 zł miesięcznie nic nie pomoże. Natomiast program ten odpowiedział na istotną barierę finansową utrzymania dziecka przez cały okres jego życia. A badania socjologiczne pokazują, że jest to szczególnie istotna bariera, kiedy chce się mieć rodzinę wielodzietną, bo jednak każde dziecko to jest dodatkowy wydatek. Po wprowadzeniu „500+" widzieliśmy znaczne zwiększenie odsetka urodzin trzecich i dalszych. Ten dość wysoki udział urodzeń trzecich i dalszych właściwie cały czas się utrzymuje.

Dlaczego w latach 90. nie nastąpiło echo echa powojennego wyżu demograficznego?

Mieliśmy do czynienia z olbrzymią transformacją społeczno-gospodarczą wynikającą z wyjścia z systemu komunistycznego, która bardzo mocno podmyła poczucie bezpieczeństwa Polaków. Pojawiły się olbrzymie bezrobocie, likwidacja zakładów pracy, pewne zwijanie polityki społecznej – chociażby ograniczenie liczby żłobków, które kiedyś miały ograniczoną jakość, ale były. Doszło do anomii społecznej, czyli pewnego poluzowania więzi społecznych z rodzicami, sąsiedztwem, bliskimi osobami, które były silniejsze jeszcze w latach 80. i wcześniejszych.

Jednocześnie dla części osób pojawiła się pewna możliwość awansu finansowego, zawodowego, więc to uruchomiło procesy migracyjne do miast, gdzie te możliwości awansu były stosunkowo najlepsze. Bardzo istotne było zmniejszenie stabilności zatrudnienia. Upowszechnienie się pracy na czas określony podmyło poczucie bezpieczeństwa finansowego. Można do tego jeszcze dodać upowszechnienie edukacji wyższej. Suma tych czynników spowodowała, że związki były zakładane później. Rosła liczba osób, które nie wchodziły w związki. Związki zaczęły się rozpadać. A nawet jeżeli pojawia się później inny związek, nowy partner czy partnerka, to jednak jakiś czas z okresu reprodukcyjnego mamy „stracony". Ta suma czynników spowodowała tę niską dzietność.

Co należałoby zrobić, by odwrócić trend wymierania Polaków? Czy państwo w ogóle powinno się do tego wtrącać?

Oczywiście, że się powinno w to zaangażować, ponieważ państwo ma na to olbrzymi wpływ. Zarówno z tej strony pozytywnej, że może zmniejszać te bariery do posiadania dzieci, jak i może je zwiększać. Państwo przez swoje działanie lub też brak działania powodowało to, że dzieci powszechnie używają smartfonów. To, że tak bardzo powszechnie jest dostępna praca na czas określony. Tradycyjnie polityki wpływające na dzietność dzieli się na bezpośrednie, pośrednie i nieplanowe. Często te nieplanowe okazują się być bardzo znaczące. To takie, które wpływają na dzietność mimo braku świadomości władz publicznych, że one ten wpływ mają. Na przykład to, co sobie powiedzieliśmy o okresie transformacji. Państwo powinno wpływać, ponieważ to, jak wygląda demografia, to nie jest tylko kwestia prywatna – mimo że decyzje są podejmowane bardzo osobiście, w oparciu o ocenę naszego związku, naszą miłość, nasze preferencje – ale wynik tego jest znaczący dla państwa, spraw publicznych, gospodarki, bezpieczeństwa i nawet dla długofalowego trwania kraju.

To w pierwszej kolejności co pan by zrobił, gdyby miał pan możliwość decydowana w tej kwestii?

Najważniejsze to zdać sobie sprawę, że pojedyncze działania nie wystarczą. Trzeba podejść kompleksowo i oddziaływać na wszystkie ważne czynniki, które wpływają na dzietność w zakresie rynku pracy, zdrowia psychicznego, edukacji, mieszkalnictwa. Trzeba kompleksowo działać w kierunku rozwiązywania tych problemów w sposób wytrwały, ponieważ to nie jest do zrobienia w tydzień, a nawet w ciągu jednej kadencji. Odwrócenie niskiej dzietności jest działaniem rozłożonym na lata, które wymaga konsekwencji i pewnej sztafety działania między kadencjami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Mateusz Łakomy** – ekspert do spraw demografii, specjalizuje się w obszarze czynników wpływających na dzietność.*

eprasa.pl fdc20b0008

Między średniowieczem a lotnictwem

Kazimierz Dolny to sztandarowy przykład tego, jak można spożytkować walory turystyczne Wisły FOT. ADOBE STOCK

Cezary Gmyz

Gdyby takie obiekty jak marina w Puławach zostały zbudowane na całym szlaku śródlądowym królowej rzek, to bez wątpienia przyczyniłoby się to do rozwoju wiślańskiej turystyki

Środkowy bieg Wisły, który zaczyna się w Sandomierzu, a kończy w Toruniu, ma swoje liczne perełki. Jednym z najciekawszych odcinków jest ten między Kazimierzem Dolnym i Janowcem a Dęblinem, z przystankiem w Puławach. Jednostką pływającą jesteśmy w stanie ten odcinek pokonać bez problemu w jeden dzień, podobnie jak samochodem. Jednak chcąc dokładnie poznać okolicę, warto poświęcić na to przynajmniej dwa dni.

Kazimierz i mniej znany Janowiec to niewątpliwie sztandarowy przykład, jak można spożytkować walory turystyczne Wisły. Choć na brzegach królowej rzek znajduje się wiele miejsc o podobnym potencjale, to jednak żadne z miasteczek nie cieszy się aż taką popularnością. Dość powiedzieć, że rocznie Kazimierz nawiedza aż milion turystów, co jest absolutnym rekordem, jeśli chodzi o miasteczka tej wielkości.

Wbrew powszechnemu przekonaniu miasteczko nie zawdzięcza swojej nazwy Kazimierzowi Wielkiemu, który na miasteczku niewątpliwie odcisnął swoje piętno, lecz Kazimierzowi Sprawiedliwemu. Miał on przekazać osadę, która nazywała się Wietrzna Góra, siostrom norbertankom. Jednak władcą, który lokował miasto na prawie polskim, był Kazimierz Wielki, który wzniósł też w tym miejscu zamek na wzgórzu. Z zamkiem w Janowcu, położonym na lewym brzegu rzeki, to miejsce stanowiło swoistą bramę na Mazowsze od strony południowej. Oba miasta lata swojej świetności zawdzięczają Wiśle, a przede wszystkim handlowi zbożem. Warto pamiętać, że wówczas bieg rzeki był trochę inny, co doskonale widać po kazimierskim spichlerzu, który pierwotnie leżał nad samą rzeką, a statki były załadowywane wprost na rzece. Dziś obiekt ten od rzeki oddalony jest o ok. 400 metrów.

Legenda mówi, że właśnie w Kazimierzu doszło do płomiennego romansu ostatniego Piasta na polskim tronie ze śliczną Żydówką Esterą. Dokumenty z epoki nic o tym romansie nie wspominają. Dopiero Długosz o nim napomyka. Miał być on przyczyną przychylności króla dla ludności żydowskiej, co akurat jest faktem historycznym. Romans miał się zawiązać w nieodległej od Kazimierza Bochotnicy, gdzie do dziś pokazuje się ruiny dworku Estery. Faktem jest jednak, że Żydzi aż do Holokaustu stanowili stały element pejzażu Kazimierza i to właśnie oni obok polskich i ormiańskich rodów kupieckich przyczyniali się do rozwoju miasta.

Jednak największy rozkwit odnotowało ono w epoce renesansu, za Jagiellonów. To wtedy powstaje słynna fara na wzgórzu, a kamieniczki przy Rynku uzyskują wygląd przypominający dzisiejszy, z charakterystycznymi attykami. Kres rozwojowi miasteczka kładą potop szwedzki, wojny kozackie i wreszcie pożary, które dużą część grodu obracają w perzynę. Włączenie miasta do zaboru austriackiego jeszcze pogarsza sytuację, bo pojawiają się na rzece bariery celne, które w znacznym stopniu ograniczają to, co było długo źródłem pomyślności miasta – transport i handel śródlądowy. W rezultacie miasteczko staje się zapyziałą dziurą, typowym brudnym żydowskim sztetlem, w którym codzienne życie wcale nie przypominało „Skrzypka na dachu".

Miasteczko zostaje ponownie odkryte w międzywojniu za sprawą Tadeusza Pruszkowskiego, który maluje liczne pejzaże i zwozi tutaj swoich studentów z Warszawy na plenery. To właśnie oni tworzą w tym miasteczku grupę znaną jako Bractwo św. Łukasza. Łukaszowców, jak ich powszechnie nazywano, przyrów-

eprasa.pl fdc20b0008

nać można do prerafaelitów, bo podobnie jak oni zwrócili się ku przeszłości, czerpiąc wzorce z dawniejszego malarstwa. Międzywojenny Kazimierz utrwaliła Maria Kuncewiczowa w zekranizowanej później książce „Dwa księżyce".

Trzeba przyznać, że to dziedzictwo po wojnie na szczęście nie zostało zmarnowane. W latach 50. i 60. XX w. miasteczko poddano gruntownej renowacji. Paradoksalnie przyczynili się do tego Sowieci. A konkretnie Lew Rudniew i jego współpracownicy, projektujący Pałac Kultury i Nauki. Chcąc nadać polski charakter sowieckiej budowli, odwiedzili w podróży studyjnej m.in. Kazimierz. W efekcie attyki zdobiące PKiN były wzorowane właśnie na tych, które zobaczyli w miasteczku. A skoro towarzysze sowieccy się zachwycili, to trzeba było zadbać, by kazimierskie zabytki zachować dla potomności. To jeden z nielicznych przykładów tego, że Sowieci przyczynili się do czegoś pożytecznego.

ZESPÓŁ PAŁACOWY W PUŁAWACH

Płynąc dalej w dół rzeki, docieramy do Puław. I tutaj czeka nas prawdziwa niespodzianka, bo właśnie w tym mieście znajduje się najlepiej zaprojektowana i utrzymana marina na całym szlaku Wisły. Gdyby takie obiekty zostały zbudowane na całym szlaku śródlądowym królowej rzek, to bez wątpienia przyczyniłoby się to do rozwoju wiślańskiej turystyki. Jedynym problemem bywają zbyt niskie stany wody, które czasem utrudniają zawijanie do portu i wychodzenie z niego.

Jednak Puławy to nie tylko marina. Perłą miasta jest niewątpliwie tutejszy zespół pałacowy powszechnie zwany arkadią. I nie ma w tym krzty przesady. Pierwszy pałac w Puławach zaprojektował słynny Tylman z Gameren dla Lubomirskich. Jednak to nie Lubomirscy, a Czartoryscy odcisnęli na Puławach największe piętno. A konkretnie Izabela z Flemmingów Czartoryska. Wychodząc za mąż za Adama Kazimierza Czartoryskiego, nie da się ukryć, była dość szpetna. Nosiła ślady niedawno przebytej ospy i w niczym nie przypominała późniejszej piękności, którą się zaczęła stawać po urodzeniu dziecka. Powiedzieć, że Czartoryscy byli małżeństwem otwartym, to nic nie powiedzieć. Dość wspomnieć, że mąż woził swoją małżonkę na schadzki z późniejszym królem Polski, Stanisławem Poniatowskim. Tenże Poniatowski, wspólnie z mężem Izabeli, wepchnął ją w ramiona rosyjskiego ambasadora Nikołaja Repnina. W trakcie trwania tego związku Izabela powiła syna Adama Jerzego, którego za swoje dziecko uznał prawowity małżonek. Jednak rzut oka na portrety Repnina i Adama Jerzego nie pozostawiają dużo miejsca na wątpliwości co do tego, kto był biologicznym ojcem późniejszego przywódcy Wielkiej Emigracji. Nie był to ostatni romans pięknej Izabeli. Z wiekiem jednak się ustatkowała. Do Puław Czartoryscy sprowadzili się w 1783 r. Izabela uczyniła z tej posiadłości perełkę dorównującą dworowi królewskiemu. Niestety, rezydencja została splądrowana przez Rosjan w czasie insurekcji kościuszkowskiej, pod nieobecność Czartoryskich, którzy przebywali za granicą. Całą resztę życia Czartoryska poświęciła upiększaniu Puław, z których stworzyła najpiękniejszą rezydencję magnacką w Polsce. Po abdykacji Stanisława Augusta odgrywała ona rolę zastępczego dworu królewskiego. Dość powiedzieć, że to właśnie w Puławach, w Domku Gotyckim, wisiały trzy najcenniejsze dzieła, jakie kiedykolwiek były w polskich kolekcjach – „Dama z łasiczką" Leonarda da Vinci, „Portret młodzieńca" Rafaela i „Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem" Rembrandta. Kres świetności Puław położyło powstanie listopadowe. W 1831 r. Czartoryska na zawsze opuściła Puławy. Zmarła pięć lat później, mając 90 lat. Jej syn Adam Jerzy, cieszący się wcześniej przyjaźnią z carem, musiał uchodzić z kraju, zaocznie skazany na ścięcie toporem. Choć był biologicznym synem rosyjskiego ambasadora, a właściwie namiestnika carskiego, stał się wzorem polskiego patriotyzmu. Na szczęście Puławy Czartoryskich, splądrowane przez Rosjan po raz kolejny, zachowały się do dziś. I mimo że dziś nie znajdziemy tam ani Rembrandta, ani Leonarda, ani Rafaela, którego obraz zaginął w czasie drugiej wojny światowej, to bez wątpienia zespół pałacowy stanowi jeden z najpiękniejszych i wartych zwiedzenia obiektów po dziś dzień.

TWIERDZA W DĘBLINIE

Płynąc w dół rzeki, docieramy do Dęblina, a konkretnie do położonej na brzegu olbrzymiej twierdzy znanej wcześniej jako Iwanogród – nazwanej tak na cześć pogromcy powstania listopadowego gen. Iwana Paskiewicza. To jedna z największych tego typu budowli militarnych na terenie naszego kraju. Impulsem do jej budowy okazało się właśnie powstanie listopadowe. Aż do pierwszej wojny światowej budowla nie odgrywała roli militarnej, choć niewątpliwie spełniła swoją rolę prewencyjną. W czasie powstania styczniowego była już tak potężna, że powstańcy nie zdecydowali się jej zdobywać. Nawiasem mówiąc, wcześniej w Iwanogrodzie służył późniejszy dyktator powstania Romuald Traugutt, jeszcze jako oficer armii rosyjskiej.

W czasie pierwszej wojny światowej twierdza odegrała ważną rolę w bitwie dęblińskiej (iwanogrodzkiej) w roku 1914, w której toku zablokowano marsz Paula von Hindenburga na Warszawę. W roku 1917 na terenie twierdzy doszło do kryzysu przysięgowego, kiedy to Polacy służący w armii niemieckiej odmówili złożenia przysięgi na wierność cesarzowi Niemiec. Dodajmy, że rok wcześniej twierdza przeszła w ręce niemieckie. Po zakończeniu pierwszej wojny twierdzę obsadziło Wojsko Polskie. Już dwa lata później odegrała ona bardzo ważną rolę podczas wojny polsko-bolszewickiej, będąc m.in. miejscem koncentracji wojsk przed manewrem uderzenia znad Wieprza, elementu Bitwy Warszawskiej. W kampanii wrześniowej twierdza nie odegrała już prawie żadnej roli, ilustrując zmierzch tego typu fortyfikacji w warunkach nowoczesnej wojny. Mimo to do dziś obiekt pozostaje we władaniu wojska i dlatego jego zwiedzanie trzeba wcześniej uzgodnić z dowódcą jednostki.

Nie trzeba się natomiast umawiać na zwiedzenie słynnego Muzeum Sił Powietrznych w Dęblinie, mieszczącego się na terenie słynnej Szkoły Orląt. O lokalizacji tej szkoły zadecydowało właśnie położenie tego terenu w widłach Wisły i Wieprza. W czasach, kiedy nie było jeszcze GPS, podczas lotów lotnicy orientowali się, gdzie są, na podstawie topografii terenu. A cóż może być lepszym puntem orientacyjnym niż jedna duża rzeka wpadająca do drugiej większej?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fdc20b0008

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Zemsta Diabła Łańcuckiego

Jeśli ktoś ma odwagę jechać na Ukrainę w tych trudnych czasach, to może wybrać się szlakiem zemsty zza grobu Stanisława Stadnickiego, starosty zygwulskiego, awanturnika i warchoła zwanego „Diabłem Łańcuckim". Piszę „zza grobu", gdyż właściciel Łańcuta i klucza okolicznych wsi został zabity 20 sierpnia 1610 r. w Bieszczadach pod Tarnawą nieopodal Chyrowa, gdzie oczekiwał na przybycie zwerbowanych w Siedmiogrodzie oddziałów sabatów. Pod nazwą tą należy rozumieć formacje zbrojne wystawiane przez Szeklerów – mniejszość węgierską, która do dziś żyje w Rumunii. Stadnicki zgromadził ok. 6 tys. tego wojska, dość potężnego, sabaci mieli bowiem zarówno jazdę uzbrojoną w kopie, tarcze i pancerze, jak i piechotę z półhakami, strzelbami i toporami. Pierwsze oddziały wtargnęły już 28 sierpnia przez Przełęcz Użocką, nieopodal źródeł Sanu, blisko Sianek. Dziś jest ona po wschodniej stronie najbardziej wysuniętego na wschód punktu granicy polsko-ukraińskiej. Kolejne przybywały tutaj w następnych dniach. Ponieważ Stadnicki już nie żył i nie miał kto dowodzić sabatami, a zapewne także im nie zapłacił, przeprowadzili własny najazd na województwo ruskie Rzeczypospolitej, który zapisał się krwawo w historii południowo-wschodnich kresów. Bandy te rozłożyły się najpierw w górskich wsiach po polskiej stronie Karpat – w Husnym (dzisiejsze Husne Niżne), Krywce tuż obok, Żupaniu położonym jeszcze dalej na południowy wschód, Rykowie, Jabłonowie i Wysocku Wyżnym. Jak pisze Władysław Łoziński, „tam znaleźli sabatowie chętnych niestety sprzymierzeńców i przewodników z drobnej szlachty, jak u Komarnickich, Czernickich, Wysoczańskich, a jeszcze chętniejszych między zdradzieckimi kniaziami i sołtysami wspomnianych włości, którzy pierwsze ich straże potajemnie ukrywali po swych domostwach". Prawdopodobnie już wówczas dowiedzieli się o śmierci Diabła Łańcuckiego, postanowili zatem powetować sobie długi marsz z Siedmiogrodu przynajmniej zagarnięciem łupów okolicznej szlachty, mieszczan i chłopów.

RYS. MART

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Pierwszym celem stała się Topolnica, wieś położona na południe od Starego Sambora. Znajdowały się tutaj cerkwie i dwory drobnej szlachty – Turzańskich i Kopystyńskich – które zostały złupione i puszczone z dymem. Stamtąd sabaci ruszyli na Stary Sambor, a po drodze zdobyli i ograbili monastyr bazylianów w Spasie. Następnie dotarli do miasteczka, gdzie podzielili się na dwa oddziały. Jeden z nich wyruszył na wschód – na Straszewice, Kobło Stare i w końcu dotarł do Błażowa. We wszystkich tych miejscowościach znajdowały się cerkwie i dwory, które zostały doszczętnie splądrowane i często spalone. W Błażowej zaatakowali rodzinę szlachecką Andrzeja Błażowskiego. Jego dwór został doszczętnie złupiony, żona pohańbiona, a brat, przeszło 70-letni starzec, był wzięty na męki, aby wskazał miejsce ukrycia kosztowności, potem zaś zabity. Sam właściciel wsi wyszedł z tego napadu poważnie porąbany i pobity.

W tym samym czasie drugi oddział sabatów wyruszył na północny wschód – na Sozań, Bereźnicę i Taranowice. Być może chodzi o dzisiejsze Torczynowice, gdzie Szeklerzy napadli na pogrzeb szlachecki cześnika halickiego Taranowskiego. Wpadli do dworu, kiedy trwała stypa, pozabijali szlachtę, pohańbili panny i mężatki, ograbili zarówno wszystkich obecnych, jak i całą wieś, rozłupując skrzynie i zdzierając z niewiast suknie oraz klejnoty.

W miarę upływu czasu sabaci zaczęli się rozdzielać. Pozbawieni wodza, którego zwłoki za pewien czas miały być prezentowane w Przemyślu, a potem w Sanoku, rozproszyli się, sięgając pojedynczymi grupami i bandami najdalej do Drohobycza i Stryja. Ostatnim, najdalszym punktem w górach, który osiągnęli, była Tuchla na południowy zachód od Stryja i Kałusza.

Najazd wywołał trwogę i wściekłość szlachty z Rusi Czerwonej. Na najbliższym sejmiku w Sądowej Wiszni panowie bracia domagali się odszkodowania od księcia siedmiogrodzkiego Gabriela Batorego pod groźbą zemsty całej ziemi lwowskiej. Szlachta miała wówczas urządzić wyprawę odwetową. Nie doszło jednak do żadnych działań, aczkolwiek dziewięć lat później Siedmiogród doczekał się łupieżczej wyprawy lisowczyków przeprowadzonej od strony Jasła i Krosna, zwanej czasami nie bez przesady pierwszą odsieczą wiedeńską. Elearzy polscy wygrali bowiem bitwę pod Humiennem, a ich dywersja odegrała dużą rolę w nakłonieniu do przerwania oblężenia Wiednia przez księcia Bethlena Gábora w początkach wojny trzydziestoletniej. ©℗

eprasa.pl fdc20b0008

FOT. JAP

KIA CEED KOMBI 1,5 T-GDI

Testowany model nie jest ani SUV-em, ani napakowanym gigantycznymi wyświetlaczami iPhone'em na czterech kołach, ani wyścigówką wciskającą w fotel przy muśnięciu pedału gazu. Dynamicznie zarysowane kombi południowokoreańskiej marki jest za to przestronnym, praktycznym i rodzinnym samochodem, którego projektanci nie zmieniają na siłę sprawdzonym przez lata rozwiązań.

Tym razem zacznijmy od bagażnika, który ma aż 625 l pojemności. Tak olbrzymi, ustawny kufer pozwala już wybrać się całą paczką w daleką podróż. Dla porównania: Opel Astra Sports Tourer oferuje „tylko" 597 l, Ford Focus Kombi 608 l, a Volkswagen Golf Variant 611 l.

Kabina jest przestronna i ergonomiczna. Przednie fotele (z możliwością podgrzewania) są wygodne, a zagłówki komfortowe (choć nie tak jak w EV9). Wnętrze w wyższych wersjach wyposażeniowych zostało wykończone przy użyciu przyjemnych w dotyku, wysokiej jakości materiałów. Kabina mogłaby być jednak lepiej wyciszona (zwłaszcza przy wyższych prędkościach hałas silnika zaczyna przeszkadzać).

Ekran systemu multimedialnego ma przekątną wynoszącą zaledwie 10,25 cala. To zaskakująca wielkość w czasach, gdy ekrany w niektórych modelach liczone są w dziesiątkach cali. I chociaż nie da się tutaj na postoju pograć w gry wideo, to wiele analogowych przycisków i pokręteł umożliwia proste i szybkie sterowanie większością funkcji bez konieczności odrywania oczu od drogi. Testowana KIA umożliwia też bezprzewodową obsługę Android Auto i Apple CarPlay.

Ceed Kombi trzyma się drogi jak przyklejona, a precyzyjny układ kierowniczy sprawia, że auto prowadzi się pewnie i przyjemnie. Nie jest to jednak model dla osób, które marzą o wielkich sportowych emocjach. Automatyczna dwusprzęgłowa skrzynia biegów 7DCT bywa czasem zaskoczona nagłym dociśnięciem gazu. Nie znaczy to, że „kijance" brakuje dynamiki. Półtoralitrowy silnik benzynowy ma moc 140 KM. Maksymalny moment to 253 Nm. Sprint od zera do pierwszej setki zajmuje ok. 9 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 210 km/h. Auto w trasie pali ok. 6,5 l/100 km, a po mieście ok. 8 l/100 km.

Na pokładzie jest też sporo asystentów rzeczywiście zwiększających bezpieczeństwo (monitorujących martwe pola lusterek, pilnujących pasa ruchu i alarmujących o ryzyku kolizji). W tym gronie jest też sprytnie pomyślany asystent jazdy po autostradzie, który działa nie tylko jak aktywny tempomat, ale dzięki danym z nawigacji potrafi w razie potrzeby samodzielnie zwolnić przed ostrym zakrętem, aby potem bezpiecznie wrócić do zadanej prędkości.

Najtańsza wersja z benzynowym silniczkiem o pojemności 1.0 i manualną skrzynią biegów kosztuje 105,4 tys. zł. Warto dołożyć, by mieć pod maską silnik o pojemności 1.5 l – wówczas faktura będzie opiewać na co najmniej 108,4 tys. zł. Wersja z silnikiem 1.5 T-GDI i automatyczną skrzynią to wydatek 122,4 tys. zł. Ceed Kombi w najwyższej wersji wyposażenia GT Line kosztuje 143,4 tys. zł. Jak na dzisiejsze realia to bardzo atrakcyjne ceny. ©℗

TELEWIZOR SAMSUNG THE FRAME 2025

Matowa matryca, HDR, naturalne kolory, niski pobór mocy podczas wyświetlania dzieł sztuki oraz specjalny design, który sprawia, że telewizor ten przypomina wiszący na ścianie obraz – to największe zalety tegorocznej wersji telewizora z ekranem w technologii QLED z popularnej serii południowokoreańskiego producenta.

Telewizory z serii The Frame stworzono dla osób, którym nie podoba się to, że w ich salonie stoi często nieużywany duży, czarny, prostokątny ekran. Zaprojektowano je więc tak, aby jeśli akurat nie wyświetlają filmów lub seriali, nieustannie pokazywały zdjęcia lub obrazy światowej sławy twórców (dostęp do e-galerii z dziełami sztuki jest płatny). Telewizor może wisieć na ścianie lub stać na sztaludze. Ramki telewizora są wymienne (kosztują 300–500 zł). Można więc łatwo dostosowywać wygląd największego elementu w salonie do nowego stylu domu. Dzieła sztuki na matowym ekranie wyglądają zaś bardzo realistycznie.

Matryca QLED o rozdzielczości 4K (3840 x 2160) została pokryta matową powłoką, dzięki której nawet w jasnym pokoju w słoneczny letni dzień można oglądać filmy bez martwienia się o jakieś refleksy. Na pochwałę zasługuje wysoka częstotliwość odświeżania obrazu (maksymalnie do 144 Hz). Kolory są żywe i nasycone. Plusem jest również obsługa technologii HDR10+ oraz Dolby Atmos.

Telewizor całkiem nieźle sprawdza się też w grach wideo. Po przejściu na specjalny tryb Gry input lag jest niewielki (choć mógłby być jeszcze niższy), a obraz HDR odpowiednio skalibrowany. Model został też wyposażony w port HDMI 2.1 (szkoda, że tylko jeden).

Aby nie psuć efektu obrazu wiszącego w salonie obrazu plątaniną kabli, Samsung zastosował w tym modelu moduł One Connect. Pozwala on podpiąć do zewnętrznego modułu zasilanie, dekoder od kablówki, soundbar, konsolę etc. Z modułu prowadzi zaś tylko cieniutki, niemal niewidoczny kabelek.

Minusy? Brak wsparcia dla Dolby Vision. Poza tym czerń w tym modelu wygląda kiepsko. Zdecydowanie lepsze powinny być też kontrast i kąty widzenia.

I chociaż The Frame nie jest najlepszym modelem na rynku, to do codziennego podziwiania dzieł sztuki, oglądania seriali czy śledzenia zmagań sportowców jest wystarczający. Model o wielkości 43 cali kosztuje 3999 zł, wariant 55-calowy 4999 zł, a 65-calowy 6499 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl fdc20b0008

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Młoda kapusta

Dopóki trwa lato i kapusta jest jeszcze młoda, dopóty jedzmy ją jak najczęściej. Właśnie latem jest najsmaczniejsza, a także bogata w witaminy C i K oraz błonnik. Dobroczynnie wpływa na naszą odporność, którą właśnie teraz powinniśmy budować, aby nas wspierała jesienią i zimą. Kapusta jest bardzo zdrowa, a witamina K wspiera krzepliwość. Jest niskokaloryczna, więc śmiało możemy się nią zajadać. Jeśli chcemy przygotować gołąbki, to z młodej kapusty zrobimy to znacznie szybciej, ale pamiętać musimy o tym, żeby główka miała u nasady cztery liście a nie na przykład trzy – wtedy mamy pewność, że kapusta będzie idealna do tego dania. Kapustę możemy też poddusić i dodać do niej podsmażonej cebuli cukrowej z kiełbaską albo boczkiem i solidnie posypać koperkiem – uzyskamy w ten sposób kultowe danie z młodej kapusty. Możemy także przygotować kapustę pieczoną – coś w rodzaju steków z kapusty.

Ostatni weekend spędziliśmy z rodziną i przyjaciółmi na kajakach na Pilicy – to wyjątkowo malownicza trasa kajakarska. Rozbiliśmy biwak i rozpaliliśmy małego grilla, każdy przywiózł własny prowiant – pyszne kanapeczki, mięso na ruszt, ciasto z jagodami, a koleżanka przygotowała pieczoną młodą kapustę, taką właśnie à la steki. Była wyśmienita – idealna jako dodatek do mięsa, a także jako osobne danie – zjedliśmy z apetytem nie dlatego, że byliśmy wymęczeni wiosłowaniem, ale dlatego, że naprawdę była wyjątkowo smaczna. Warto wiedzieć, że taką kapustę możemy przygotować, czyli podpiec nieco wcześniej, a potem tylko podgrzać, jak w naczyniu na grillu, albo po prostu zjeść na zimno – też jest smaczna. Polecamy do kapusty młode ziemniaczki pieczone i sos jogurtowo-śmietanowy.

Steki z kapusty możemy podać z mozzarellą oraz orzechami pistacjowymi lub prażonymi orzechami włoskimi.

FOT. ADOBE STOCK

Steki z kapusty

• 1 główka kapusty młodej • przyprawy: sól, pieprz, bazylia, oregano – wszystkiego po ok. 0,5 łyżeczki • 1/4 szklanki oliwy z oliwek lub innego dobrego oleju do smażenia albo masła • 1 duży pomidor, pokrojony na plastry • 2–3 ząbki czosnku • świeża mozzarella i tarty parmezan • garść podprażonych pistacji lub orzechów włoskich • świeża zielenina: koperek, bazylia lub pietruszka

Kapustę kroimy na ćwiartki, odcinamy nadmiar głąba, usuwamy brzydkie liście, delikatnie solimy i podsmażamy na rozgrzanej patelni z każdej ze stron przez ok. 3 min na części oliwy. Przekładamy do naczynia żaroodpornego, posypujemy przyprawami i czosnkiem, polewamy resztą oliwy i zapiekamy ok. 30–40 min do pełnego zarumienienia się i do miękkości. Po wyjęciu podajemy z mozzarellą lub/i posypujemy parmezanem i orzechami. Możemy podać z ziemniaczkami pieczonymi i sosem czosnkowo-jogurtowym oraz posypać koperkiem lub pietruszką. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Ostatni turnus

Zasłona prysznicowa od początku naszego pobytu pokryta była nalotem czegoś, co przypominało pleśń. Na wannie wyrosły trzy grzybki – trudno powiedzieć, czy jadalne, nie próbowaliśmy. Wytarte, sfatygowane obicia fotela oraz wysłużony stolik jamnik, który niegdyś był eleganckim meblem na wysoki połysk, wysłużyły się przez lata.

Nikt się takimi drobiazgami nie przejmował. Była pogoda i trzy cynowe widelce z wyłamanymi zębami musiały wystarczyć na pięć osób. Pani Krysia (jak w piosence Młynarskiego), kierowniczka ośrodka Termokoru, opuszczała ręce. – Klienci pokradli – wzdychała.

A jednak uwielbialiśmy Białogórę i ten obleśny domek, do którego przyjeżdżaliśmy co rok. Nie byliśmy wczasowiczami, przyjeżdżaliśmy „prywatnie". Zresztą wtedy, w późnych latach 80., system wczasów pracowniczych zaczynał się powoli rozpadać razem z resztą gospodarki i zakłady pracy otwierały swoje obiekty wczasowe dla gości z zewnątrz. I wciąż spora grupa ludzi zahartowanych w boju, tych, którzy z humorem traktowali grzybki w kabinie, przyjeżdżała do Białogóry.

Przyciągały piękne plaże i leśna droga do morza. Na głównym placyku co roku spotykało się te same twarze: inteligencja z Warszawy, Poznania, Krakowa. Ludzie się nie znali, ale mijali i czasem pozdrawiali, jak starzy znajomi. Dzieci chodziły na gofry (nigdzie nad polskim morzem gofry nie są tak dobre jak w Białogórze), wieczorem graliśmy w karty, jedząc kanapki z paprykarzem szczecińskim.

Po południu defilada opalenizny przenosiła się do kawiarni Regent. Do tego uroczego miejsca w starym stylu, z dobrymi ciastkami, przyjeżdżali do nas nawet z Dębek – tam nie było czegoś takiego. Ho, ho – Białogóra była dumna z Regenta.

Sąsiednie Dębki pielęgnowały przedwojenny jeszcze mit, ale przygniotła je fala komercji i prostackiego szpanerstwa. Starzy dębkowicze nie pokazują się na zatłoczonej plaży, szukają dalszych, mniej zaludnionych miejsc. Albo chodzą się kąpać o świcie, kiedy młodzież z wesołych grup jeszcze śpi. Główną alejką, obok domków w ogrodach, wzdłuż kebabów i smażalni, przejeżdżają wolniutko wśród pieszych lexusy i volva.

Mają swój mit Jurata i Jastarnia. Białogóra jest ubogą krewną tych dwóch potentatów – jest w sumie miejscowością brzydką, chaotycznie zabudowaną, przywaloną tandetą. Niektórzy ze starych bywalców przetrwali, innych odstręcza wakacyjny tłum, w którym już nie spotka się znajomych twarzy. Nie wiem, czy dziś chciałabym tam pojechać. Chyba już nie. ©℗

eprasa.pl fdc20b0008

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Podwójna nieskuteczność Tuska

Ostatnio pracownia IBRiS opublikowała wyniki badań opinii publicznej. Widać na ich przykładzie, jak ważny jest sposób zadawania pytań, by ustrzec się pułapek interpretacyjnych. Zapytano Polaków o to, czy według nich premier Tusk jest skuteczny. Wyniki były nie tyle zaskakujące, ile pogrążające Tuska osobiście. Nie pytano bowiem o popularność partii, koalicji, ale konkretnego polityka. A wyniki były złe – 55,2 proc. respondentów stwierdziło, że premier jest nieskuteczny, a 37,2 proc. pytanych uznało, że jest skuteczny. Ale gdyby się wgłębić w wyniki, to aż 73 proc. tych, którzy zakwestionowali skuteczność Tuska, zrobiło to zdecydowanie, podczas gdy takich zdecydowanych co do jego skuteczności wśród akceptujących go było tylko 30 proc. A więc tych „bardziej na nie" było o wiele więcej niż w grupie na „tak". A to znaczy, że Tusk jest oceniany zdecydowanie jako nieskuteczny.

Teraz wróćmy do zadanego pytania. Bo, o dziwo, negatywnie odpowiedzieć mogły obie strony plemiennego sporu. Za nieskutecznego premiera nie tylko mogli uznać go jego antagoniści z prawej strony – do nich mogli dołączyć także ci z lewej strony, którzy uważają, że ich doniedawny idol też jest nieskuteczny. No, przecież nie w kwestii dowiezienia 100 konkretów, nie zawyżajmy tu poziomu oczekiwań zwolenników uśmiechniętej (przez zaciśnięte zęby) Polski. Ta grupa może mieć uzasadnione pretensje do Tuska, że ten nie dowozi właściwie jedynego postulatu: ośmiu gwiazdek. To na nim bowiem wjechał do Sejmu, bo przecież żaden rozsądny człowiek, nawet na poziomie rozgrzanych zwolenników Tuska, nie wierzył w programowe podpuchy. A tu Tusk nie dowiózł ośmiu gwiazdek, a więc nie dorżnął do końca watahy PiS.

I tu się okazuje, że redukcja Koalicji Obywatelskiej jedynie do jednego, emocjonalnego postulatu nie dodaje popularności, gdyż po pierwsze jest niedowożona, a po drugie – ludzie może chcieliby jednak czegoś konkretnego, co zaspokaja ich potrzeby inne niż polityczna wendeta. Tusk sam się złapał we własne sidła, gdyż rozgrzani rozliczacze, popędzani przez Giertycha mają nieposkromione apetyty, ale te kierują obecny rząd na dwa drzewa – utratę popularności (jak widać) i przyszłe konsekwencje, z kryminalnymi włącznie. Jeśli zmieni się władza, to postulat odegrania się na obecnej koalicji będzie wręcz wymogiem programowym ludu wyborczego. Prostym i łatwo aplikowalnym. Odkąd Tusk złamał niepisaną zasadę, że PO-PiS PO-PiS-em, ale kopiemy się tylko po kostkach, nie wyżej. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Upaństwowienie dzieci

18 lipca Senat bez poprawek przyjął projekt nowelizacji ustawy o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta oraz ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty, uchwalony przez Sejm 25 czerwca 2025 r. Zmiana pozwala na uzyskiwanie świadczeń zdrowotnych w zakresie opieki psychiatrycznej przez młodzież od 13. roku życia, bez zgody i wiedzy rodziców.

„Wszystkie dzieci nasze są" – śpiewała kiedyś Majka Jeżowska i, jak widać, parlamentarzyści koalicji rządowej, przy braku sprzeciwu największej partii opozycyjnej (w Sejmie i w Senacie przedstawiciele PiS wstrzymali się od głosu!), realizują przesłanie piosenki w praktyce. Przyjęta zmiana odsuwa rodziców od istotnych, często przesądzających o przyszłości dziecka decyzji terapeutycznych. Pozwala psychologom, psychiatrom czy terapeutom bez wiedzy rodziców ingerować w kondycję zdrowotną dziecka. Wiadomo, że wielu uczniów zmaga się z różnymi dolegliwościami. Wśród przyczyn są także nie zawsze właściwe relacje w rodzinie, ale nowelizacja rozbija zaufanie i może pogłębiać konflikty w środowisku rodzinnym. Doświadczenia krajów Zachodu pokazują, że podobne rozwiązania wystawiały dzieci na ideologiczną indoktrynację prowadzącą do procedur tranzycji płci. Występujące często w okresie dojrzewania zaburzenia tożsamości po kilku latach, wraz z dorastaniem, mijają. Następuje stabilizacja, która umożliwia młodym tworzenie normalnych, heteroseksualnych relacji. Zważywszy na klimat panujący w humanistyce i naukach medycznych, istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że dziecko w gabinecie spotka ideologicznie rozgrzanego terapeutę.

W mojej dziennikarskiej działalności widziałem tragiczne konsekwencje afirmacji przez diagnostów i terapeutów zaburzeń identyfikacji seksualnej i tzw. nagłej dysforii płci. Czy nawet w mniej groźnych przypadkach bez wywiadu w rodzinie można odróżnić zwykłe napięcia w relacjach nastolatka z rodzicami od realnych zagrożeń? Przyjęta nowelizacja jest przede wszystkim niezgodna z konstytucją (art. 18 i 48) i sprzeczna z Europejską Konwencją Praw Człowieka. Nie była też poddana konsultacjom. Choć zamówione przez organizacje prorodzinne opinie prawne nie zostawiły na projekcie suchej nitki, to głos środowisk rodzicielskich został przez ustawodawcę zignorowany. Ekipa Donalda Tuska nie kryje swojej wrogości wobec rodziny, ale czym tłumaczyć brak sprzeciwu „konserwatywnej" „prawicowej" opozycyjnej partii? Teraz nadzieja w prezydencie, który (miejmy nadzieję) odeśle szkodliwą nowelizację do Trybunału Konstytucyjnego lub po prostu ją zawetuje. ©℗

eprasa.pl fdc20b0008

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Z zębami do połowy

A może jesteśmy częścią jakiegoś społecznego eksperymentu? Stop. Ktoś się nam przygląda i sprawdza, czy zaakceptujemy każdy absurd, bzdurę, każdą głupotę wielopoziomową? Stop. Oto ministrem sprawiedliwości zostaje facet, który żądał od państwa pieniędzy na zęby! Stop. Czy rozumiemy, co napisałem? Bo ja np. nie rozumiem. Stop. Facet mówi, że zgrzytał zębami i mu się przez zgrzyty zęby starły, a zgrzytał w wyniku stresu, a stres był wynikiem represji ze strony państwa i ma teraz zęby do połowy, a chce mieć całe. Stop. Jeżeli to nie jest eksperyment, to może oglądamy kabaret? Stop. Ten sam facet, jako jedyny znany mi na świecie facet, chciał od córki alimenty, a dokładnie zwrot alimentów, bo uznał, że nadpłacił córce, i poszedł z tym do sądu, a jest sędzią, to wiedział, dokąd pójść. Stop. Czy rozumiemy, co napisałem? Bo ja np. nie rozumiem. Stop. Tenże Żurek Waldemar sędzia miał 10 postępowań dyscyplinarnych i paradował w todze w politycznych marszach przeciw politykom czy tam przeciw władzy wykonawczej, sam będąc w innej władzy, sądowniczej. Stop. Ktoś mógłby powiedzieć, że upokarzany wcześniej Żurek teraz będzie chciał się mścić, ale ja tak nie powiem, gdyż boję się zemsty. Stop. Mnie się zdaje, że Żurek wykipi.

A może jesteśmy częścią jakiegoś społecznego eksperymentu? Stop. Ministrem sportu został Jakub Rutnicki, znany z tego, że śpiewał piosenki w TVN-owskim „Idolu" i nawet dostał się tam do finału. Stop. Dzięki temu, że śpiewał ładnie, wyśpiewał sobie Sejm. Stop. Czy ja śnię? Czy to jest w ogóle poważne? Stop. Powiedziałbym, że mi tego posuniętego z ministerstwa Sławomira Nitrasa szkoda. Ale po co miałbym kłamać? Stop. Tak bardzo chciał ten Nitras opiłowywać katolików, a sam zdradziecko został przez Tuska wypolerowany. Stop.

Przy całej tej rekonstrukcji miejmy świadomość, że Tusk łagodnie sobie z nas pozbytkował. Stop. Zapowiadał obcięcie ministerstw, oszczędności, a jeśli się dokładnie przyjrzeć, to wyskakuje Kotula. Stop. Mało kto już dziś pamięta, że Katarzyna Kotula z Lewicy była ministrem do spraw równości. Stop. Natomiast każdy pamięta, że Kotula zapomniała, że nie jest magistrem, a myślała, że jest magistrem, a potem, jak jej przypomniano, to powiedziała, że może i nie jest, choć pisała, że jest, i doszło do nieporozumienia. Stop. Według mnie taki minister od równości byłby potrzebny, gdyby zajął się np. drogami szybkiego ruchu czy autostradami, bo dużo jest tu do zrobienia, ale Kotula tym się zajmować nie chciała. Stop. Teraz zajmuje się tym samym, czyli nie wiadomo czym, będąc w Kancelarii Premiera Rady Ministrów. Stop. Takie to oszczędności. ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Najważniejsza ze sztuk

Słowa Włodzimierza Lenina, że sztuka filmowa jest najważniejszą ze sztuk, nabierają w USA niespodziewanego wymiaru. Prezydent Donald Trump, który podczas kampanii wyborczej wielokrotnie obiecywał swoim zwolennikom wyjaśnienie afery Jeffreya Epsteina, niespodziewanie zmienił w tej kwestii zdanie. Afera ma być rzekomo mistyfikacją demokratów, a żadna lista klientów Epsteina, jak się okazało, nie istnieje. Jej nagłe i niespodziewane zniknięcie przypomina równie tajemniczą historię tzw. magicznej kuli, która, wielokrotnie zmieniając kierunek lotu, przyczyniła się do śmierci prezydenta Kennedy'ego. Znikająca lista Epsteina uderzyła boleśnie w reputację prezydenta Trumpa, dokonując rozłamu w ruchu MAGA.

Nagrywający harce swoich gości z nieletnimi dziewczętami Jeffrey Epstein nie był w otoczeniu Donalda Trumpa jedynym filmowcem amatorem. Ojciec Jareda Kushnera, zięcia amerykańskiego prezydenta, pochwalić się może podobnym hobby. On także traktował je jako pożyteczne narzędzie szantażu. W roku 2005 Charles Kushner, aktualny teść córki Donalda Trumpa, Ivanki, skazany został na dwa lata więzienia za kilkanaście przestępstw, takich jak defraudacja, oszustwa podatkowe i próba wpływania na przebieg śledztwa.

Ostatnie wykroczenie miało postać szczególną. Charles Kushner najął dwie prostytutki, których zadaniem było uwiedzenie zeznających przeciw niemu świadków i zdobycie narzędzi szantażu. Jedna z nich zaciągnęła do łóżka męża siostry Kushnera, zeznającego przeciw szwagrowi. Kochankowie trafili do naszpikowanego kamerami pokoju hotelowego, w którym nagrane zostały ich erotyczne igraszki. Prostytutka oraz organizujący całe nagranie prywatny detektyw nagrodzeni zostali sumą 25 tys. dol., a nagranie trafiło następnie do siostry Charlesa Kushnera, mając skłonić ją oraz kochliwego małżonka do powstrzymania się od zeznań. Sprawa wyszła na jaw i pechowy biznesmen filmowiec odsiedział, także z tego powodu, 14 miesięcy w więzieniu, zapłacił pół miliona dolarów grzywny i utracił prawo praktykowania zawodów prawniczych w Nowym Jorku, New Jersey i Pensylwanii.

Donald Trump ułaskawił Charlesa Kushnera pod koniec swojej pierwszej kadencji, w roku 2020. W roku 2025 mianował go ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Paryżu. Oświadczenia licznych polskich polityków, którzy na wyścigi ogłaszali się polskimi odpowiednikami Donalda Trumpa, wydają się, w kontekście rodzinnych i towarzyskich perypetii amerykańskiego przywódcy, co najmniej niepokojące. ©℗

eprasa.pl fdc20b0008

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wakacyjna zagadka

Podobno niedługo ma ruszyć program wyjazdów edukacyjnych dla studentów amerykańskich uczelni zatytułowany „Against populist nationalism. Towards better understanding" (Przeciw populistycznemu nacjonalizmowi. W stronę lepszego zrozumienia"). Idea narodzić się miała w czasie spotkania kierownika ambasady RP w Waszyngtonie z przedstawicielami amerykańskiego oddziału Niemieckiego Instytutu Historycznego oraz waszyngtońskiej placówki Fundacji im. Friedricha Naumanna (autora słynnej książki „Mitteleuropa").

W internetach krąży ramowy plan pierwszego wyjazdu studyjnego. Wszystko ma się zacząć w Berlinie, gdzie młodzi Amerykanie zwiedzać mają odbudowany niedawno od fundamentów zamek królewski Hohenzollernów, który nazywa się obecnie Forum Humboldtów. Tam będą mogli zapoznać się z tym, jak bardzo władcom Prus zależało na gromadzeniu wartościowych kolekcji malarstwa, ilu z nich było zapalonymi bibliofilami i który z Hohenzollernów – prekursor zjednoczenia Europy na podstawie współpracy niemiecko-francuskiej – regularnie korespondował z Wolterem, a w wolnych (od gromadzenia obrazów i nadzorowania melioracji terenów rolnych) chwilach grał na flecie.

Opowiedziana ma zostać cała prawda o trudnej historii relacji polsko-niemieckich. Również o współudziale Polaków w nazistowskim Holokauście

Jednocześnie zwiedzając ekspozycję stałą w Humboldt Forum, amerykańscy studenci dowiedzą się, jak bardzo dolegliwa w życiu jednego z braci Humboldtów okazała się „dominująca, homofobiczna kultura" w Prusach w pierwszej połowie XIX w. Nie wszystko w tym państwie Hohenzollernów było więc godne pochwały.

Następnie uczestnicy wycieczki udadzą się do usytuowanego w stolicy Niemiec Centrum Pamięci Niemieckiego Ruchu Oporu, nowoczesnej placówki pokazującej opór społeczeństwa niemieckiego przeciw kroczącemu podbojowi Niemiec (w czasie kolejnych wyborów parlamentarnych od września 1930 r. do marca 1933 r.) przez nazistów. W czasie tej wizyty Amerykanie zapoznają się również z wystawą dokumentującą udział Niemców w armiach antynazistowskiej koalicji w latach drugiej wojny światowej.

Następnego dnia rano zaplanowana jest wizyta przy głazie oznaczającym miejsce, w którym stanie w niedalekiej przyszłości Polsko-Niemiecki Dom Historii. Jak wyjaśnił pilot wycieczki, zatrudniony na stałe w jednym z polskich NGO-sów zajmujących się monitorowaniem zachowań rasistowskich i ksenofobicznych, w tym miejscu opowiedziana zostanie cała prawda o trudnej historii relacji polsko-niemieckich. Również współudział Polaków w nazistowskim Holokauście.

W godzinach popołudniowych planowany jest przelot do Wrocławia. Tam uczestników wycieczki oprowadzać będzie jeden z pracowników Centrum im. Willy'ego Brandta, który kompetentnie wyjaśni amerykańskim studentom, dlaczego populistycznym nacjonalistom w Polsce przeszkadza odkrywanie wspólnych, polsko-niemieckich miejsc pamięci, jak np. mostu Cesarskiego (Kaiserbrücke) czy uniwersyteckiej Auli Leopoldyńskiej z portretem króla Prus Fryderyka II. Po obiedzie uczestnicy wycieczki wysłuchają w rzeczonym Centrum wykładu pt. „Ostpolitik, czyli pokojowe współistnienie. Od Fryderyka Wielkiego do Willy'ego Brandta", który wygłosi jeden z polskich członków Rady Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Następnego dnia planowane są przelot do Gdańska i zwiedzanie w miejskim muzeum wystawy „Nasi chłopcy". Amerykańscy uczestnicy wycieczki zapoznają się ze służbą Polaków w Wehrmachcie, dla których okres ten przez długie lata pozostał w pamięci jako ekscytujący czas poznawania nowych ludzi i nowych krajów. Późnym popołudniem planowana jest wizyta w Muzeum II Wojny Światowej, gdzie wiceprezydent Gdańska wygłosi prelekcję o roli mowy nienawiści jako destruktora relacji polsko-niemiecko-żydowskich na przykładzie przedwojennej publicystyki o. Maksymiliana Kolbego w „Rycerzu Niepokalanej".

Wczesnym rankiem ostatniego dnia wycieczki planowany jest wyjazd do Gdyni. Pilot wycieczki, żegnając się ze swoją grupą, oprowadzi ją szlakiem „Gdyni wielu narodów i wielu kultur", a więc szlakiem, który chcą zatrzeć populistyczni nacjonaliści w Polsce. Amerykańscy uczestnicy wycieczki zatrzymają się przed domem w Rumii, w którym urodziła się w trudnych dla Polaków i Niemców latach drugiej wojny światowej Erika Steinbach. Przejazd do Gdańska i wylot do Nowego Jorku przez Frankfurt nad Menem.

Zagadka dla szanownych czytelników: Co w tym felietonie jest przejęzyczeniem? ©℗

eprasa.pl fdc20b0008

POZYTYWY

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski korespondencja z USA

Wróciłem do Polski. Wolę polskie lato od upałów w Arizonie. Poza tym mam w Polsce gospodarstwo, czyli żniwa do zrobienia, oraz stoisko na Jarmarku Dominikańskim (nr stoiska 636 – jestem w czwartki, piątki i soboty).

Wróciłem i mnie moi na wsi pytają: „Co tam w Ameryce?" i ja im opowiadam zdarzenia, które mogłyby się wydarzyć również w Polsce i wszystkim by się od tego poprawiło: likwidacja podatków od emerytur, zniesienie podatków od napiwków i od nadgodzin oraz masowa deportacja nielegalnych imigrantów. Bo władza ma się zajmować bezpieczeństwem obywateli (deportacja) oraz taką organizacją życia, aby panował dobrobyt.

***

Zero podatków od nadgodzin – to niekoniecznie oczywiste dla Polaka, dlatego objaśnię. Skoro ktoś bierze nadgodziny, to znaczy, że jest pracowity, dorabia się – takich ludzi należy wspierać, a nie karać podatkami za dodatkowe godziny spędzone w pracy. Może też być tak, że osoba biorąca nadgodziny ma ciężką sytuację życiową i takiej osoby tym bardziej nie powinno się karać podatkami za to, że pracuje dłużej. Inni poszli na plażę po ośmiu godzinach, a ty zostałeś w pracy na kolejne cztery nadgodziny, bo chcesz lub musisz – w USA państwo nie naliczy ci podatku od nadgodzin. W Polsce taki przepis oznaczałby, że zarobiłbyś KOLOSALNIE więcej niż teraz. No ale w Polsce prawica i lewica mają w tyłku to, jak tobie się żyje, ile pracujesz i czy w ogóle pracujesz – oni zajmują się sobą, a nie tobą.

***

Likwidacja podatków od emerytur – obietnica wyborcza Trumpa, którą skutecznie przepuścił przez Kongres i stała się prawem państwowym. Uzasadnienie: emerytura to nie jest dochód ani zarobek, więc nie podlega opodatkowaniu. To znowu może nie być oczywiste dla Polaka, dlatego objaśnię: Moja Mamusia w Polsce najpierw płaciła składki ZUS i podatek dochodowy od pensji, a teraz płaci kolejny podatek od emerytury, czyli od forsy, którą już wcześniej opodatkowano kilka razy. A przecież emerytura to nie jest ani zarobek, ani dochód – emerytura to wypłata ubezpieczenia. ZUS to Zakład UBEZPIECZEŃ Społecznych. Płacisz składkę na ubezpieczenie, a potem, gdy dochodzi do wypłaty kwoty ubezpieczenia, masz jeszcze od tej kwoty zapłacić podatek dochodowy? NIEUCZCIWE. Ubezpieczenie emerytalne jest takim samym ubezpieczeniem jak każde inne, takim samym jak ubezpieczenie mieszkania od zalania lub samochodu w ramach AC. Rozwaliłeś auto, dostajesz forsę z ubezpieczalni. Tu powinien się kończyć temat. ALE w przypadku ubezpieczenia emerytalnego rząd chce jeszcze podatek. NIEUCZCIWE. Trump w USA to naprawił – podatków od emerytur nie będzie.

***

Zero podatków od napiwków. Napiwek to prezent od klienta. OSOBISTY prezent pomiędzy dwiema osobami. Napiwek to nie jest część pensji kelnerki. Napiwek to PREZENT. Jakim prawem wredne państwo pobiera podatki od prezentów? Podarowałem kelnerce moje pieniądze i one były wcześniej opodatkowane. Jakim prawem mają być opodatkowane ponownie, gdy ja tę forsę wydam nie na siebie bezpośrednio, ale podaruję komuś?

Podatki od darowizny są ZŁEM. Podatek od napiwków lub od każdej innej darowizny da się opowiedzieć w sposób następujący: Jakiś pan dał pani Zosi bombonierkę i rząd chce kilka czekoladek z tej bombonierki. Taki rząd jest bezczelnym chamem i złodziejem! Taki rząd mamy w Polsce. W USA podatek od napiwków uległ ustawowej likwidacji, razem z podatkiem spadkowym – Ojciec zapisał synowi gospodarstwo, a państwo brało od tego podatek, bo „syn się wzbogacił"… Tę niesprawiedliwość w USA zlikwidowano. Syn się wzbogacił o tyle samo, o ile jego ojciec zbiedniał, więc nie ma mowy o podatku – bilans dochodu jest zerowy – tak teraz jest w USA. Idzie ku dobremu, ceny spadają, podatki spadają, żyje się lepiej.

***

Po powrocie do Polski opowiedziałem moim na wsi o tym, co dobrego w Ameryce, a potem oni opowiedzieli mi, co złego w Polsce:

Imigracja. Temat pierwszy, ale krótki – bo o czym tu gadać? Konieczna jest masowa deportacja, WSZYSCY WON. Nie spotkałem absolutnie nikogo, kto popiera imigrację.

Drugi temat to Szkopy. (Operujemy teraz słownictwem i emocjami jak za niemieckiej okupacji w czasie wojny). Przykład: Niemcy torpedują pomysł wydobycia ropy na Bałtyku. Nie chcą widoku na platformy wiertnicze, bo widok platform psuje im pejzaż.

W sieci naturalna reakcja tłumu: A widok farm z wiatrakami jest OK? Widok kominów krematoriów był OK?

Komentarze złośliwe i trafne, ale OBOK głównego tematu. Przecież wcale nie chodzi o to, czy platforma wygląda ładnie czy brzydko. Autostrada A1 przebita przez Bory Tucholskie też nie wygląda ładnie w porównaniu z Borami bez autostrady. Nie o to chodzi. Rozwój kosztuje, dobrobyt kosztuje, ropa kosztuje, coś za coś – o to chodzi.

Gdy Trump komentował ocieplenie klimatu, stwierdził, że ci zieloni debile nie są w stanie przewidzieć pogody na jutro i zaskakuje ich powódź, ale jednocześnie są pewni, że za lat sto woda w oceanach się podniesie o cal. A potem dodał: Gdyby woda w oceanach podniosła się naprawdę, to byłoby DOSKONALE z gospodarczego punktu widzenia – więcej wody oznacza więcej parceli z widokiem na morze, czyli zarobek dla deweloperów, hotelarzy i właścicieli nieruchomości, inwestycje, bogactwo, turystyka, nowe porty…

Na platformy na Bałtyku można patrzeć jak na coś pożytecznego i potrzebnego, jak na autostradę A1 przez Bory, lub można na wszystko patrzeć okiem złym.

Platformy u brzegów USA są OZDOBĄ – ludzie się cieszą, bo widzą miejsca pracy i bogactwo, a dookoła platform wiertniczych kwitnie życie morskie, jest więcej krewetek i ryb. Liczba kutrów rybackich rośnie wraz ze wzrostem liczby platform. W przypadku farm wiatrakowych jest na odwrót – zwierzęta morskie nie lubią wiatraków, ale lubią platformy. ©℗

eprasa.pl fdc20b0008

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER: „BAJECZNA CHORWACJA" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1463~~ ZŁ

496,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 967 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl fdc20b0008

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl fdc20b0008